



- **Rumunia** – kraj, który nie lubi kryminalistów
- Torfowiska – znikające archiwum ludzkości



**WYSOKIE
OBCASY**
Babcia Róża
podbija TikTok



MAGAZYN
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

**KARDYNAŁ
GRZEGORZ RYŚ
PRZYPOMINA
EPISKOPATOWI
O CHRYSTUSIE ▶9**

FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL



**Niewolnicy
przyjemności**
Smartfon to dealer
idealny ▶4

**Mazurskie
jeziora za płotem**
Nawet jeź się nie
przeciśnie ▶14



FOT.123RF

**W Omanie
szariat,
ale stringi
wybaczą ▶18**

**Mężczyzny
w żałobie
nikt nie
przytula ▶25**

Agnieszka
Kublik

Wszystkie dzieci są nasze? Nie zawsze

Wariujemy. Albo histeria. Albo znieczulica. To przypadki z ostatnich dni. Histeria: Wałbrzych, dwóch Polaków pobilo Paragwajczyk, który od pół roku mieszka tu i pracuje. Legalnie.

Bawiące się na placu zabaw dzieci zgłosiły rodzicom, że ktoś nagrywa je telefonem komórkowym. Podejrzany był właśnie ów 40-letni Paragwajczyk. Jeden z ojców uderzył go w twarz. Ktoś zawiadomił policję. Funkcjonariusze Paragwajczyka wylegitymowali i przejrzyli jego telefon. Ani zdjęć, ani filmów z dziećmi.

Ale po kilku godzinach tam, gdzie Paragwajczyk dzieci nie nagrywał, zebrali się ci, którzy myśleli, że nagrywał. Więc dwaj polscy, młodzi – 22 i 26 lat – obywatele pobili go tak, że trafił do szpitala. Grozi im do trzech lat więzienia.

Następnego dnia pod hostelem, w którym mieszka ów Paragwajczyk oraz kilku dziesięciu cudzoziemców, pracujących w Wałbrzychu legalnie, zebrali się inni chętni, by Obcym dać w mordę. Przyszło aż kilkudziesięciu kiboli, mieli ze sobą race. Musiała interweniować policja. Fakty są takie, że w Wałbrzychu i w powiecie

wałbrzyskim na ponad 1800 ustalonych przestępstw w ciągu tego pierwszego półrocza 18 dotyczyło obcokrajowców – to oficjalne dane policji.

To była histeria wzniecona fałszywą informacją, która padła na podatny grunt nienawiści do Obcych, którą wytwarzają nacjonaliści, by potem udawać, że mają przed kim bronić patriotów. Przy czym ich patriotą to nie jest Polak kochający Polskę, to Polak nienawidzący tych, których politycy każą mu nienawidzić.

Znieczulica:

Brzesko Okocim, stacja kolejowa, policja zatrzymuje dziadków – 54-latkę i 60-latkę – z pięcioletnim wnuczkem. Wysiedli na tej stacji z pociągu po klótni z jego kierownikiem, gdyby nie to, podróżowali dalej. Dopiero tu ktoś zauważył, że są nietrzeźwi. Zjawili się policja, przebadali ich alkomatem – babcia miała 1,3 promila alkoholu, dziadek – 2,3 promila.

Gdyby nie awantura z kierownikiem, ci pijani dziadkowie pewnie jechaliby dalej na wycieczkę z wnuczkem. Nikt wcześniej nie zauważył, że są pijani? Sąsiedzi? Pasażerowie? Wdzieli, ale nie chcieli się mieszać? Bo dziadkowie to biali, swoi? A gdyby to byli Paragwajczycy? Dostaliby w mordę?

Dziadkom za narażenie malucha na niebezpieczeństwo utraty zdrowia bądź życia grozi nawet pięć lat pozbawienia wolności.

Fakty są takie, że w 2023 r. ponad 17 tys. dzieci zostało skrzywdzonych w rodzinie – policyjne dane.

Każda skrajność to niebezpieczeństwo. Kierujemy się empatią, może nie zwariujemy. ●

Andrzej rysuje



Na moście Black Sabbath Pożegnanie Księcia Ciemności



„Ozzy Osbourne ur. 1948 Zm. (kiedyś tam). Odgryzł leb nietoperzowi” – tak opisał swój nagrobek sam Ozzy w swojej biografii. Wiadomo już, że „kiedyś tam” to 22 lipca 2025. Wyznawcy i wyznawczynie żegnają go między innymi na moście Black Sabbath Bridge w Birmingham

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend***

N7U43T3

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 26-27.07.2025 r.

Liczba dnia

PROC.

– tylko tyle Polek korzysta z darmowej mammografii i ten procent spada. Rak piersi jest u nas bardziej śmiertelny niż w innych krajach UE

Początek końca hodowli futerkowych Superdrapieżnik w opalach

Unia Europejska dodała norkę amerykańską do listy inwazyjnych gatunków obcych (IGO) stanowiących zagrożenie na terenie całej wspólnoty. To oznacza zakaz hodowli, sprzedaży, przetrzymywania, transportu i uwalniania tego zwierzęcia.

Te norki zostały sprowadzone do Europy na początku XX wieku w celu hodowli na futra. Te, które uciekały z klatek (albo były uwalniane przez prozwyerzących aktywistów), świetnie adaptowały się do nowego środowiska.

– Jest to jeden z najgroźniejszych inwazyjnych gatunków obcych w naszym regionie – mówi dr hab. Wojciech Solarz, profesor Instytutu Ochrony Przyrody PAN. – Tam, gdzie się pojawia, drastycznie spada liczba ptaków wodnych, m.in. łysek, perkozów. Ten superdrapieżnik żeruje też na rybach, płazach, gadach i na ssakach.

„Zakaz hodowli i utrzymywania norek amerykańskich w UE może położyć kres okrutnej hodowli na futra 6 milionów norek w Europie” – pisze organizacja Humane World for Animals.

Może, ale nie musi, jeśli Komisja Europejska znów zezwoli państwom członkowskim na odstępstwa. Solarz przypomina, że tak było np. z je-



notem, który kilka lat temu trafił na unijną listę IGO. Polska zwróciła się z wnioskiem o możliwość prowadzenia hodowli i ją otrzymała. Bezterminowo.

Dlatego HWfA zapelowała do Komisji Europejskiej, by nie rozpatrywała wniosków o odstępstwo do czasu opublikowania odpowiedzi na petycję Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej. Wzywa do wprowadzenia zakazu hodowli zwierząt na futra w całej UE, a podpisało się pod nią 1,5 mln osób.

„Do marca 2026 r. KE ma przedstawić wniosek legislacyjny, który mógłby utorować drogę do wprowadzenia zakazu hodowli” – pisze organizacja. ● **Robert Jurszo**

W poniedziałek Duży Format

Słyszące dzieci głuchych

Tłumaczyć zaczynają już w przedszkolu. Artur: „Tłumaczyłem też, kiedy moja mama poroniła. Dziecko nie udało się uratować. I to też musiałem mamie powiedzieć. Miałem wtedy dwanaście lat”.

Reportaż Arkadiusza Lorenc



Rekonstrukcja rządu

Koniec żałoby po wygranej Nawrockiego

Zmiany w koalicyjnym gabinecie Donalda Tuska to zapowiedź twardej gry z PiS i nowym prezydentem.

Wielowieyska



Premier Donald Tusk ogłosił nowe otwarcie: rekonstrukcja rządu okazała się głębsza, niż się spodziewano. Nominacja Waldemara Żurka na ministra sprawiedliwości, czy Marcina Kierwińskiego na szefa MSWiA, to zapowiedź twardej gry z PiS. Żurek ma pokazać większą sprawczość w rozliczeniach poprzedniej ekipy i w przywracaniu praworządności. Choć wiadomo, że prezydent Karol Nawrocki będzie wszelkie tego typu inicjatywy blokował. Gdyby wybory wygrał Rafał Trzaskowski, ustępujący szef resortu sprawiedliwości Adam Bodnar mógłby przetrwać to tsunami, wysłałby parlamentowi i prezydentowi pakiet ustaw porządkujący wymiar sprawiedliwości i sprawy toczyłyby się swoim torem. Z Nawrockim tak się nie potocz, więc Tusk postawił na Żurka, bo reprezentuje tę część wymiaru sprawiedliwości, która domagała się bardziej radykalnych i szybszych działań, niezależnie od tego, kto siedzi w Pałacu Prezydenckim.

Za zbyt ostrożnego uważany był też Tomasz Siemoniak, dotychczasowy minister spraw wewnętrznych. Także inne zmiany zwiastują, że Tusk szykuje się na ciężką batalię z Nawrockim. Przesłanie? Koniec żałoby po wygranej PiS w wyborach prezydenckich, rząd ma wciąż wiele instrumentów w ręku, piłka jest wciąż grze, zwieramy szyki.

Szef MSZ Radosław Sikorski awansował na wicepremiera, żeby rząd stał się bardziej popularny. Sikorski ma dobrą passę, jest bardzo chwalony. Ale taka nominacja ma także inną zaletę. Prezydent-elekt zapowiada ciągle zwolywanie Rady Gabinetowej (posiedzenie rządu z prezydentem), aby wciąż istnieć w przestrzeni politycznej i sekować rząd. Szef rządu może tam w razie czego wysłać wicepremierów, a kto jak kto, ale Sikorski na pewno sobie poradzi w starciu werbalnym z Nawrockim. Po rekonstrukcji priorytety są jasne: bezpieczeństwo, gospodarka, szczególnie sektor energetyczny i mocna riposta dla PiS.

Ale problem niskich notowań rządu i koalicji pozostaje. Przegrana rządzących w wyborach prezydenckich dała wiatr w żagle PiS-owi i Konfederacji. Czy Tusk ma pomysł na to jak odwrócić zły trend? Wedle sondaży obecna opozycja przejmie władzę w 2027 roku, ale przez te dwa lata wiele może się zdarzyć. Niewątpliwie PiS z Konfederacją mają szansę na miażdżącą większość, nawet konstytucyjną, bo PSL, PL 2050 i Razem mogą wypaść z Sejmu.

Jakie warianty mogą być brane pod uwagę? Premier może planować zbudowanie jednej listy z PSL i Polską 2050 albo jej niedobitkami. Lewica poszłaby do wyborów osobno,

może dogadałaby się z Razem. Taki układ na pewno zabezpieczałby przed sytuacją, w której konfederaci z Nowogrodzką mają większość konstytucyjną. Wstępem do tego planu jest zintegrowanie Platformy Obywatelskiej i z Nowoczesną, i Inicjatywą Polską Barbary Nowackiej. Mając jednolitą partię, można dyskutować o koalicji. Jak Tusk miałby przekonać ludowców i posłów od Szymona Hołowni? Według nieoficjalnych informacji Platforma zleciła badania, by sprawdzić, kto na stanowisku szefa rządu mógłby sprawić, że rząd byłby bardziej lubiany: Radosław Sikorski czy Rafał Trzaskowski.

To może być przygrywka do nowego rozdania i także dlatego Sikorski awansował. Tusk od 2023 roku chciał odbudować swój wizerunek, dewastowany od lat przez PiS. Był bardzo aktywny na platformach społecznościowych, ocieplał swój wizerunek, budował narrację: jestem fajnym facetem. Sam wziął na siebie rolę rzecznika rządu, bo chciał kontrolować komunikację z opinią publiczną i liczył na to, że zdobędzie sympatię Polaków. Notowania Tuska się jednak nie poprawiły, co wyraziła b. wiceministra edukacji Joanna Mucha w swoim wpisie na jednej z platform społecznościowych. Skrytykowała strategię KO w wyborach prezydenckich. A jeden z punktów tej analizy brzmiał tak: „PiS potrafi ukryć Kaczyńskiego, Morawieckiego, nie eksponować ich, nie mobilizować najtwardszego elektoratu przeciwników.

W kampanii Platformy w kluczowym momencie komunikację przejmie Pan Premier Donald Tusk! Ktoś to w końcu musi powiedzieć: Panie Premierze, oni przez osiem lat swoich rządów SKUTEKZNIE nadali Panu zły wizerunek. Nie zmienił Pan tego. Czy naprawdę badania zaufania społecznego nic dla Pana nie znaczą?”

W koalicji słyszę, że Donald Tusk nie ma żalu do Muchy, jej wpis miał skomentować stwierdzeniem: „Taka jest polityka”. Chodziło mu o to, że każdy prowadzi walkę polityczną o przetrwanie, jak może. Ale premier bierze pod uwagę takie opinie.

Jeżeli jego notowania i samego rządu się nie poprawią, może być szykowany nowy scenariusz, np. na początku 2027 roku Tusk oddałby stanowisko Sikorskiemu, zachowując przywództwo w partii. Sikorski – wbrew rozgłaszanym plotkom – jest lojalny wobec premiera. Nawet jeśli miałby stanąć na czele rządu, to wie, że nie panuje nad partią. To Tusk jest tu rozgrywającym. Obaj musieliby stworzyć tandem, który pociągnie ten wózek. Symptodem przygotowań do tego typu rozwiązań są nieoficjalnie informacje, że Platforma Obywatelska zleciła pogłębione badania, kto byłby popularniejszym nowym premierem: Trzaskowski czy Sikorski.

Zmiana premiera w samej końcówce może być kartą przetargową w negocjacjach z PSL i Polską 2050 i zachęci te partie do scenariusza wspólnej listy. Przecież to właśnie PSL opowiadał się za tym, aby Koalicja 15 Października wystawiła jednego kandy-

data na prezydenta, którym miałby być Sikorski.

Tusk nie odrzuca więc strategii à la Kaczyński: czyli zarządzania obozem z tylnego rzędu i wystawiania na pierwszą linię polityków bardziej popularnych. I może w rankingach popularności szef rządu nie bryluje, ma duży elektorat negatywny, rząd ma słabe notowania, ale gdy sondażownicy pytają badanych, czy warto zamienić Tuska na innego polityka Koalicji 15 Października, entuzjazmu wśród respondentów nie ma. Bo premier jest uważany za twardego gracza, i można na niego narzekać, punktować słabości, ale i tak spośród całej tej gromadki najbardziej skutecznie radzi sobie z rządem i jest niekwestionowanym liderem w elektoracie KO, nie można zapominać, że gdy go zabrakło Platforma, leciała w dół. Dlatego Tusk odda stanowisko premiera tylko w ostateczności.

Wystawienie Sikorskiego ma też inną zaletę: otwarcie furtki do rozmów z Konfederacją po wyborach w 2027 roku. Kto jak nie szef MSZ nadaje się do tego najlepiej? Symbolem jest przecież słynne piwo w pubie Sławomira Mentzena w czasie kampa-

Jeśli notowania Donalda Tuska i samego rządu się nie poprawią, może być szykowany nowy scenariusz, np. na początku 2027 roku lidera Koalicji Obywatelskiej oddałby stanowisko premiera Radosławowi Sikorskiemu, zachowując przywództwo w partii

nii prezydenckiej, które Sikorski firmował. Większość (choć nie całość) elektoratu KO dopuszcza koalicję z Konfederacją, jeżeli byłaby to jedyna możliwość zablokowania powrotu PiS do władzy. Oczywiście ten wariant bardzo nie podoba się narodowcom Krzysztofa Bosaka, ale już wolnościowcy Mentzena patrzą na to inaczej, a dziś to oni mają przewagę nad ruchem narodowym dzięki dobremu wynikowi ich lidera w wyborach prezydenckich.

Taka opcja jest łatwiejsza w sytuacji, gdy Koalicja 15 Października idzie na jednej liście do wyborów, poza Lewicą, która startuje osobno. Obozowi demokratycznemu oplaca się taka gra z wielu powodów. Jeśli Mentzen w przyszłości będzie mógł szachować Kaczyńskiego potencjalnym układem z KO, to wzmacnia jego pozycję przetargową. Wówczas Konfederacja staje się równorzędnym partnerem dla Nowogrodzkiej, ogranicza pole manewru prezesowi PiS, a to Kaczyńskiego wprawia w zły humor. Równoważenie sił w takiej koalicji oznacza, że trudniejsze będzie np. krycie złodziejstwa w szeregach PiS.

Najważniejsze jednak z punktu widzenia tej koalicji jest utrzymanie jej spójności. Nasilenie wewnętrznych kłótni powoduje erozję zaufania. Najbardziej chwiejnym partnerem jest Polska 2050. Lista żalów jest długa.

– Jak wyglądają spotkania liderów Koalicji 15 Października? Tusk zaczyna krzyczeć, Kosiniak-Kamysz robi się czerwony, Szymon wpada w stupeń, a Czarzasty ma spokojną, znudzoną minę, bo ma wszystko w głębokim poważaniu i chce dotrwać do chwili, w której zostanie marszałkiem Sejmu-słyszysz opinię w kuluarach Sejmu.

Szymon Hołownia i ministra rozwoju Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz od dawna publicznie krytykują rząd, ustawiają się w roli recenzenta. Choć nie przyniosło to dobrych rezultatów, bo PL 2050 ma notowania na poziomie 4-2 proc., to dalej jej liderzy kontynuują tę politykę. W koalicji krążyły wieści, że jedna z prominentnych postaci Polski 2050 na zebraniach władz partii przekonywała, że najlepszą opcją jest wyjście z rządu na rok przed wyborami i ustawienie się w pozycji partii Razem. Część partii uważa to za absurd, zwraca uwagę na marny los Unii Wolności czy PSL po dokonaniu takiego manewru. Jednocześnie Polska 2050 bardzo zaskoczyło to, że wyszły na jaw tajne, nocne spotkania Szymona Hołowni z Kaczyńskim w mieszkaniu Adama Bielejana. I to w momencie, kiedy lider tego ugrupowania walczył jeszcze o zachowanie stanowiska marszałka Sejmu. Wrażenie fatalne. W klubie powstał ferment, część uważa, że łódź tonie i trzeba szukać szalupy. Mówi się o chętnych do przejścia do Konfederacji, Ryszard Petru wspomina o nowej partii, są koncepcje całkowitego rebrandingu formacji.

Hołownia, świadomy tego chaosu informacyjnego, miał uroczyste zapewnianie na spotkaniu liderów Koalicji 15 Października, że jego ugrupowanie pozostanie w rządzie do końca tej kadencji. Na konferencji prasowej po ogłoszeniu nowego składu rządu marszałek Sejmu deklarował, że na jesień zaplanował „restart” swojego ugrupowania.

A co z PSL, które też ma notowania poniżej 5 proc.? – Szukają nowego żywiciela – słyszę w Polsce 2050. W jednych wyborach sprzymierzył się z Kukizem, w drugich – z Hołownią. Pytanie co dalej? Ludowcy rozmawiają ze wszystkimi: z PiS i Kaczyńskim włącznie, także z Konfederacją i otoczeniem Nawrockiego. To nie oznacza, że Kosiniak-Kamysz jest nielojalny. Zamierza być w koalicji do końca kadencji, mocno negocjować swoją pozycję, ale po wyborach w 2027 roku wiele może się zmienić i PSL nie zamyka sobie żadnej furtki. Ostrą strategię antypisowską pozostawia KO.

Paradoksalnie po miesiącach przepychanek w koalicji rządzącej to właśnie Karol Nawrocki, reprezentant skrajnej prawicy, może zintegrować obóz rządzący. Nic tak nie jednocy jak radykalny przeciwnik polityczny. ●

Dominika Wielowieyska



Niewolnicy przyjemności

Coraz więcej moich pacjentów ma naprawdę dobre życie,
przyjaciół, kochającego partnera, wymarzoną pracę.
A i tak się uzależniają

DR ANNA LEMBKE, PSYCHIATRĄ Z UNIWERSYTETU
STANFORDA, AUTORKĄ „NIEWOLNIKÓW DOPAMINY”
ROZMAWIA AGNIESZKA JUCEWICZ

AGNIESZKA JUCEWICZ: „Zanurz się we własnym życiu, nie uciekaj od niego” – karteczkę z cytatem z pani książki nakleilał sobie nad biurkiem po naszej ostatniej rozmowie. To było cztery lata temu. Okazało się, że nie jest to wcale proste. Jak to zrobić najlepiej?

DR ANNA LEMBKE: Starając się nie unikać bólu za wszelką cenę i traktując bolesne doświadczenia jako okazję do nauki.

Bardzo przemawia do mnie koncepcja, że nasze cierpienie ma znaczenie i sens, tylko musimy być cierpliwi, by to odkryć. To stara, lecz niepopularna dziś myśl. Współczesna kultura skoncentrowana jest na podsuwaniu nam kolejnych sposobów na ucieczkę od bólu oraz na „optymalizacji” przyjemności. Na dłuższą metę nam to nie służy.

Dlatego wartościowe wydaje mi się ćwiczenie umiejętności postrzegania tego, co trudne, w ogóle niewygody, jako czegoś, co może wzbogacić nasze życie. Nawet jeśli w danym momencie wydaje się nam to niemożliwe. Odruchowo ciągnie nas do przyjemności, jednak ewolucyjnie zostaliśmy zaprogramowani na ból.

Natura stworzyła nas do wyzwani i zmagani. Jej intencją jest, abyśmy nieustannie próbowali rozwiązywać zagadki, wysilali się, podejmowali ryzyko. To się nam pozwalało rozwijać, a także adaptować do środowiska.

Można powiedzieć, że w pewnym sensie odnieśliśmy na tym polu zbyt duży sukces.

Co ma pani na myśli?

– Współczesne życie jest często za wygodne, zbyt uporządkowane. Jeśli jest nam za gorąco – włączamy klimatyzację, jeśli za zimno – podkręcamy temperaturę. Jedzenie mamy często na wyciągnięcie ręki. Podobnie jak niekończącą się rozrywkę.

Mój mąż pracuje w jednym ze start-upów w Dolinie Krzemowej. Mają tam każdy rodzaj kawy, jaki tylko można sobie wyobrazić. Każdy rodzaj mleka, śmietanki. A ludzie i tak są wiecznie niezadowoleni. Narzekają: „Jak to możliwe, że nie ma jeszcze takiego mleka?”. „Dlaczego nie ma innego ekspresu do kawy?”.

Mam wrażenie, że nasza pogoń za tym, abyśmy dostali dokładnie to, czego chcemy, poszła za daleko. Przez to pod wieloma względami świat, w którym żyjemy, stał się nudny. Brakuje nam wyzwań. A potem wydarza się coś tak strasznego, jak na przykład wojna w Ukrainie, która przypomina nam nie tylko o okropieństwach, jakie dotyczą ludzkości, ale też o tym, jak wiele z naszych problemów sami sobie stwarzamy. Nie celowo, podświadomie.

Zastanawiam się, czy nie jest czasem tak, że kiedy rzeczywistość nas nudzi i popadamy w marazm, nasza psychika specjalnie zaczyna kreować chaos i problemy, żebyśmy znów mogli się poczuć żywi.

Co może być takim chaosem?

– Na przykład właśnie nałóg. Dla osoby uzależnionej to potężne wyzwanie.

Całą jej uwaga, wysilek, zasoby są wkładane w zdobywanie używki i ukrywanie uzależnienia przed innymi. Nagle taki człowiek ma cel! Tyle że to, co na początku sprawiało przyjemność, z czasem staje się całodobową walką o przetrwanie.

Nazywa to pani „paradoksem obfitości”. Jak to właściwie możliwe, że przyjemność w nadmiarze nam szkodzi?

– Ośrodki przetwarzania bólu i przyjemności są zlokalizowane w tych samych częściach mózgu, który usilnie stara się utrzymać je w równowadze. Co to oznacza w praktyce? Kiedy robimy coś przyjemnego, w naszym układzie nagrody uwalnia się więcej dopaminy, co sprawia, że czujemy się świetnie.

Za każdym razem jednak, gdy szalki tej niewidzialnej wagi wychylają się w stronę przyjemności, potężne mechanizmy samoregulacyjne sprawiają, że potem szalka wychyla się w stronę przeciwną, czyli w stronę bólu.

To dlatego po euforii często przychodzi przygnębienie. I teraz, jeśli nieustannie bombardujemy mózg przyjemnymi doznaniem, nie dając mu szansy na osiągnięcie spontanicznej równowagi, musi się on zaadaptować do tych warunków.

Jak?

– Zmniejszając naturalne wydzielanie dopaminy, ale nie do wyjściowego poziomu, tylko poniżej tego progu, co może prowadzić do jej chronicznego deficytu.

Wtedy taki człowiek, żeby osiągnąć ten sam efekt co wcześniej, będzie potrzebował więcej swojej używki – więcej alkoholu, więcej godzin spędzonych na graniu czy w serwisach społecznościowych, silniejszych narkotyków. A kiedy nie będzie miał do niej dostępu, zacznie odczuwać głód i z czasem może utracić umiejętność odczuwania jakiegokolwiek satysfakcji.

Nic już nie będzie go w stanie zaspokoić.

– A używać będzie już tylko po to, by nie czuć się złe.

Dziś neurobiologia potwierdza wnioski, do których zbiorowa mądrość doszła wieki temu...

...że „co się wzniesie, musi opaść”?

– A także: że wszystko ma swoją cenę.

Używki mają różną moc. Czekolada zwiększa wydzielanie dopaminy o 55 procent, nikotyna o 150 procent, kokaina o 225 procent, a metaamfetamina aż o 1000 procent. Im większy wyrzut dopaminy, tym bardziej uzależniająca używka. Czy wiemy, jak bardzo podnoszą jej poziom „cyfrowe” narkotyki?

– Zaznaczę tylko, że badania, o których pani mówi, przeprowadzono na szczurach. Z prostego powodu, u szczurów laboratoryjnych jesteśmy w stanie wprowadzić sondę w odpowiednie miejsce w mózgu i zmierzyć bezwzględną wartość dopaminy, u człowieka – nie.

Niestety, nie mamy malutkich szczurzych smartfonów, żeby sprawdzić, jak szczurze mózgi reagują na różne aplikacje czy serwisy społecznościowe.

Poza tym trochę się jednak od szczurów różnimy. Na przykład, im bardzo trudno się uzależnić od alkoholu.

Dysponujemy jednak badaniami obrazowania mózgu, które pokazują, że pole brzuszne nakrywką śródmózgowia, które przebiegają ścieżki dopaminowe, aktywuje się w reakcji na Facebooka, Tik-Toka czy inne serwisy społecznościowe.

Nowsze badania pokazują z kolei, że osoby uzależnione od platform społecznościowych wykazują takie same zmiany w mózgu, jak osoby uzależnione od hazardu. Co nie zaskakuje, bo te platformy wykorzystują te same mechanizmy, co gry hazardowe.

Na przykład zasadę nieregularnych wzmocnień, na której w dużej mierze opiera się działanie algorytmów. Nigdy nie mamy pewności, czy kolejna rolka, filmik, czy post nam się spodoba, ale to, że nie wiemy, czy „wygramy”, czy „przegramy”, jeszcze bardziej przyciąga nas do ekranu.

Od prawie 30 lat leczy pani uzależnionych pacjentów. Jak w tym czasie zmienił się problem uzależnień?

– Zmienił się bardzo.

Kiedy zaczynałam w późnych latach 90. XX wieku, zgłaszali się głównie pacjenci uzależnieni od alkoholu, narkotyków i papierosów. Na początku lat dwutysięcznych pojawiła się nowa grupa – uzależnionych od leków na receptę. Głównie opioidów, środków uspokajających takich, jak xanax i inne benzodiazepiny, a także stymulantów przepisywanych między innymi na ADHD.

W kolejnej dekadzie po pomoc zaczęło przychodzić coraz więcej mężczyzn w średnim wieku poważnie uzależnionych od pornografii w internecie, kompulsywnej masturbacji, a także z innymi rodzajami uzależnienia od seksu.

Najczęściej ci mężczyźni korzystali z pornografii już wcześniej, jednak upowszech-

W poszukiwaniu raju

tu, na Ziemi, wyruszamy właściwie nieustannie. Zbyt często bywa rajem-chwilówką, jak ten dopaminowy, o którym opowiada dr Anna Lembke - ale podpowiada, gdzie dotknąć trwalszej błogości.

• Albo rajem utraconym – pisze o nim obok Michał Rusinek.

• Rajski romans na rajskiej plaży? Za tydzień opowieść o letniej zdradzie.

• A potem raj odnaleziony w podróży.

• A gdzie jest, czy był, wasz raj – prawdziwy lub zwodniczy? Gdzie i kiedy czuliście się jak w raju? Podzielcie się swoją historią.
Piszcie: magazyn@wyborcza.pl

nienie się bezprzewodowego internetu spowodowało, że to używanie całkowicie wymknęło się im spod kontroli, powodując poważne konsekwencje w życiu zawodowym i prywatnym.

Gdzieś w roku 2011 czy 2012 zaczęło się zgłaszać coraz więcej pacjentów z poważnym uzależnieniem od gier wideo. Głównie nastoletnich chłopców. Mówimy o dzieciach, które przestawały spać, chodzić do szkoły, w ogóle wychodzić z domu. Jedynie, co chciały, to grać.

Kiedy rodzice próbowali interweniować, miały koszmarnie objawy odstawienne – dostawały napadów wściekłości, krzyczały,



Odruchowo ciągnie nas do przyjemności, jednak ewolucyjnie zostaliśmy zaprogramowani na ból

groziły samobójstwem. Mniej więcej w tym samym czasie uwidoczniło się też uzależnienie od serwisów społecznościowych. I z tym problemem zgłaszały się głównie nastoletnie dziewczęta.

Ostatnio lawinowo przybywa pacjentów poważnie uzależnionych od zakładów sportowych online. Kiedyś, żeby uprawiać hazard, trzeba było się wysilić: znaleźć kasyno, bukmachera, pojechać, ośmielić się wejść. Dziś nie trzeba nawet wychodzić z domu, wystarczy smartfon.

Wygląda na to, że smartfon to idealny współczesny diler. Wszystko można przez niego zamówić: alkohol, narkotyki, leki, seks.

– A jak wiemy z badań, jednym z najważniejszych czynników sprzyjających uzależnieniu jest łatwy dostęp do używki. Dziś jest on otwarty.

Wielu specjalistów twierdzi, że u podstaw uzależnienia zawsze leży jakaś trauma: albo wczesnodziecięca, w relacjach z najbliższymi opiekunami, albo późniejsza, np. bycie ofiarą albo świadkiem przemocy. Jak to wygląda z pani perspektywy? Czy przybywa uzależnionych, którzy nie mieli takich traumatycznych wydarzeń w swoim życiu?

– Zdecydowanie tak i dziękuję, że pani o to pyta. Oczywiście, trauma jest czynnikiem ryzyka, jeśli chodzi o uzależnienie. Ludzie, którzy żyją w zagrożeniu, poddani przewlekłemu stresowi, mają większość skłonność do sięgnięcia po coś, co pozwoli im od tego uciec, co jest jakoś zrozumiałe. Z drugiej strony, jeśli za bardzo skupiamy się na analizowaniu tego, dlaczego się uzależniliśmy,

istnieje niebezpieczeństwo, że nie zmienimy swojego postępowania.

W moim przekonaniu, jeśli chodzi o wychodzenie z uzależnień, najlepiej sprawdza się zasada: „Najpierw działanie, potem uczucia”.

Czyli najpierw uwalniamy się od używki, a dopiero potem spoglądamy w przeszłość. Poza tym błędem jest moim zdaniem postrzeganie każdego uzależnienia jako skutku traumy. Niektórzy moi pacjenci – i jest ich coraz więcej – mają naprawdę dobre życie, oddanych rodziców, zaufaną grupę przyjaciół, kochającego partnera, partnerkę, wymarzoną pracę, a i tak się uzależniają, ponieważ mają właśnie niczym nieograniczony dostęp do wysoce uzależniających substancji i zachowań.

Czy w takim razie każdy ma „swój” narkotyk, kwestia tylko, czy na niego trafi?

– Tak sądzę. Mój ojciec był chirurgiem, a do tego wysoko funkcjonującym alkohikiem. Potrafił nie pić miesiącami, po czym wpadał w ciąg i znikał dla świata. Ponieważ alkohol jest mi całkowicie objętny, założyłam, że nie odziedziczyłam po ojcu „genu uzależnienia”, jednak w połowie życia, będąc pasjonatką czytania, odkryłam powieści romantyczne, a potem erotyczne i przepadłam, rozwijając ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu łagodne uzależnienie.

Współczesny świat nie tylko obfituje w coraz silniejsze, coraz bardziej uzależniające wersje starych narkotyków, lecz również dostarcza nam nowych. Na przykład właśnie w postaci pornografii i hazardu online, zakupów przez internet, serwisów społecznościowych, gier wideo.

Potrafimy narkotyzować się też rzeczami kiedyś powszechnie uznawanymi za zdrowe, jak ćwiczenia fizyczne.

Mamy te wszystkie gadżety, które mierzą tętno, pokazują, ile spalamy kalorii, jak śpiemy, i tak dalej. Są osoby, które bez przerwy to monitorują.

Przechodzą na restrykcyjne diety, zażywają mnóstwo suplementów, ćwiczą coraz więcej i coraz intensywniej kosztem swojego zdrowia. I nie zawsze jest to wynikiem traumy.

Doświadczenia z wczesnego dzieciństwa niewątpliwie nas kształtują, ale środowisko, w jakim obecnie żyjemy, ma na nas często większy wpływ, niż to, co się nam przydarzyło, gdy mieliśmy pięć lat.

Wracając do pani uzależnienia: można porównywać uzależnienie od czytania erotycznych powieści do uzależnienia od alkoholu czy leków?

– Przywołując swój przykład, co wielokrotnie podkreślałam, nie chcę umniejszać doświadczeń osób, które zmagają się z poważnymi uzależnieniami zagrażającymi życiu. Tylko pokazać, że uzależnienie to pewne continuum i że wszyscy mamy układ nagrody, który reaguje na przyływy i odpływy dopaminy. A jeśli trafimy na „swój” narkotyk i nie poddamy tego refleksji, nie wiadomo, dokąd nas to do prowadzi.

Dziś, kiedy słucham pacjentów, którzy cierpią z powodu poważnego uzależnienia od seksu, myślę sobie, że gdybym się w porę nie zorientowała, co się ze mną dzieje, kto wie, być może dziś, jak jeden z moich pacjentów, budowałabym zmyślną maszynę do masturbacji.

Zorientowała się pani, bo pojawiły się koszty. Zarywała pani noc, zaczęła pani czytać pomiędzy wizytami pacjentów, dystansując się do pracy, pani więź z mężem i dziećmi osłabła.

– No i moje uzależnienie było łagodne, więc stosunkowo łatwo mi było zmienić moje zachowanie. Ale tak jest w przypadku większości osób. Większość osób, które piją alkohol, nie rozwija uzależnienia. Co więcej, niektórzy z tych, którzy nawet spełniają kryteria uzależnienia, zdrowieją spontanicznie. W pewnym momencie orientują się, że nałóg rujnuje im życie, re-

lacje, i decydują się przestać pić. Mam chyba szczęście należeć do tej kategorii.

Gdybym się jednak w porę nie zreflektowała, najpewniej coraz bardziej unikałabym kontaktu z bliskimi, byłabym coraz bardziej poirytowana, coraz trudniej byłoby mi odczuwać radość. Owszem, nie jest to zagrażające dla życia, jednak moje dzieci wracałyby do domu do mamy, która byłaby coraz bardziej nieobecna. Mój mąż wracałby do nieobecnej żony. A czy ona byłaby nieobecna, bo czyta nałogowo powieści erotyczne, czy dlatego, że pije – w sumie na jedno wychodzi.

Pracuje pani w Klinice Podwójnej Diagnosty, czym się tam zajmujecie?

– Osoby, które trafiają do nas, albo zmagają się z uzależnieniem, albo mają inne zaburzenia psychiczne, głównie depresję, zaburzenia lękowe, czasem chorobę afektywną dwubiegunową albo zaburzenia psychotyczne, jednak lekarz, który ich do nas skierował, podejrzewa, że pod spodem też może być uzależnienie.

Jakie leczenie proponujecie na początku?

– Jeśli ktoś jest poważnie uzależniony od opioidów, alkoholu czy benzodiazepin, najprawdopodobniej najpierw zaoferujemy mu leki pozwalające złagodzić objawy zespołu abstynencyjnego. Niektórym osobom mocno uzależnionym, czy to od substancji, czy zachowania, czasem w pierwszej kolejności proponujemy leczenie zamknięte albo intensywne leczenie ambulatoryjne, w tym terapię i leki.

W pozostałych przypadkach najpierw namawiamy pacjentów do podjęcia próby abstynencji, czyli tak zwanego postu dopaminowego, który trwa co najmniej cztery tygodnie.

Co jest jego celem?

– Jest ich kilka. Po pierwsze, umożliwić ludziom zrobienie sobie przerwy od używania na tyle długo, by mogli zobaczyć, jak faktycznie wpływa ono na ich życie. Po drugie, sprawdzić, co się dzieje z ich nastrojem, depresją, lękiem, kiedy przestają używać.

Jest takie ciekawe badanie. Grupę mężczyzn uzależnionych od alkoholu z objawami depresji zamknięto w placówce psychiatrycznej na miesiąc. Oczywiście w tym czasie nie pili, ale też nie leczono ich z depresji. Po czterech tygodniach 80 procent z nich nie spełniało już kryteriów diagnostycznych dla tak zwanej dużej depresji. Ustąpiła samoistnie tylko dlatego, że odstawili alkohol.

To samo obserwujemy w naszej klinice. Kiedy osoby uzależnione od różnych substancji i zachowań z objawami depresji, zaburzeń lękowych, bezsennością i tak dalej są w stanie powstrzymać się od używania przez minimum cztery tygodnie, u mniej więcej 80 procent z nich objawy psychiatryczne powoli ustępują, bez dodatkowych interwencji.

Dlatego właśnie często zaczynam pracę z pacjentami od postu dopaminowego. Nie wyniosłam tej wiedzy ze studiów, zresztą podobnie jak większość psychiatrów. Zazwyczaj, gdy w gabinecie pojawia się ktoś z depresją albo z zaburzeniami lękowymi, to nawet jeśli nadużywa alkoholu, w pierwszej kolejności przepisuje się mu antydepresanty albo inne leki.

Dla mnie ważne jest jednak, żeby nie przepisywać leków zbyt pochopnie, a także, by nie leczyć niewłaściwego problemu. I nieraz się już przekonałam, że większość pacjentów doświadcza ogromnej poprawy, kiedy tylko uda im się wynurzyć z wiru uzależnienia.

Co się dzieje w mózgu osoby uzależnionej, kiedy odbierze się jej używkę?

– Na początku jej stan się zwykle pogarsza. Szala wagi, o której mówiliśmy, przy braku zewnętrznego bodźca, który powodował wyrzuty dopaminy, wychyla się jeszcze bardziej w stronę bólu.

Jeśli więc ktoś ma objawy depresji czy zaburzeń lękowych, najprawdopodobniej

się one nasilą. I należy pacjentów o tym uprzedzić, że przez pierwsze 10-14 dni będą się czuli gorzej, jednak później, kiedy poziom dopaminy zacznie się regulować, ich stan powinien się stopniowo poprawiać.

Pod koniec postu dopaminowego ludzie patrzą na siebie sprzed czterech tygodni i często nie mogą uwierzyć, jak zniekształcone było ich postrzeganie rzeczywistości.

I że byli tak pochłonięci nałogiem, że nic innego się nie liczyło. To jest naprawdę potężne doświadczenie.

Nie oznacza to, że w ciągu miesiąca leczymy ludzi z uzależnienia, absolutnie nie. Ale dzięki tym czterem tygodniom mają szansę się dowiedzieć, jak to jest poczuć się lepiej bez używki. Niektórzy dokonują takiego wglądu na przykład: „O rany, myślałem, że marihuana pomaga mi na depresję, kiedy w rzeczywistości pomagała mi poradzić sobie z objawami odstawienia po ostatnim paleniu. A na dłuższą metę tylko potęgowała mój zły stan”. Tego typu refleksje motywują ludzi do zmian.

Tylko na to potrzebny jest czas. Tymczasem dziś post dopaminowy czy detoks stał się kolejnym produktem. Czymś modnym, co warto zrobić na przykład w weekend. Strefy wolne od internetu to jeden z wiodących obecnie trendów hotelowych, co pokazuje chociażby popularny serial „Biały lotos”. Co pani o tym myśli?
– Że powinniśmy eksperymentować na różne sposoby z robieniem sobie przerw od urządzeń cyfrowych czy innych środków odurzających. Jeśli tego nie zrobimy, nie zrozumiemy, co przez to tracimy.

■
Potrąfimy narkotyzować się rzeczami kiedyś powszechnie uznawanymi za zdrowe, jak ćwiczenia fizyczne

Ale czy weekend, czy nawet tydzień to nie za krótko? Czy nie jest to tylko przykrywką, która pozwala powiedzieć: „Robię sobie cyfrowy detoks w niedzielę”, po czym wrócić do tych samych nawyków w ciągu tygodnia.

– Najprawdopodobniej to za mało, żeby wprowadzić poważniejsze zmiany, ale kibicuję każdej takiej próbie. Sama proponuję rodzicom, żeby wprowadzili w życie „cyfrowy szabat”, czyli żeby cała rodzina spędzała jeden dzień w tygodniu na wspólnych aktywnościach, bez urządzeń cyfrowych. Zwykle później te rodziny mówią, że nie mogą się już doczekać kolejnego takiego dnia. Ale to, że robią to razem, jest kluczowe.

Dlaczego?

– Tak dużo dziś spędzamy czasu w wirtualnym świecie, że jeśli ktoś decyduje się „odpiąć” od urządzeń cyfrowych w pojedynkę, często nie ma z kim pobyć w świecie realnym.

Poczuć, jakie bogactwo się w nim kryje. Zupełnie co innego, kiedy wspólnie decydujemy, że tego samego dnia, o tej samej porze odkładamy urządzenia i robimy coś razem. Myślę, że dzięki takim próbom łatwiej jest znaleźć umiar w tym świecie nadmiaru.

Nowe technologie nie znikną. Jeśli już, to będą jeszcze bardziej kolonizować nasze życie. Nie zdziwię się, jeśli powiedzmy za 10 lat smartfony, które dziś trzymamy w ręce, znajdą się pod naszą skórą...

Przerażające.

– Chodzi mi tylko o to, że każdy sam powinien sprawdzić, co działa w jego przypadku. Cztery tygodnie postu dopaminowego, który proponuję, wynika z mojej praktyki leczenia poważnie uzależnionych pacjentów. Dla

osób, które mają mniejszy problem, to nie musi być aż miesiąc.

Dzieci, które jeżdżą na letnie obozy, gdzie zabrania się korzystania ze smartfonów, często opowiadają, że ten tydzień czy dwa były dla nich odkrywczym, że czuły się o wiele szczęśliwsze. Nie musiały bez przerwy śledzić reakcji pod swoimi postami czy pod postami znajomych.

A także, co chyba najważniejsze, że przebywanie z innymi, bez tych urządzeń, miało dla nich zupełnie inny, głębszy wymiar. Dla tych dzieciaków wychowanych w świecie wszechobecnych technologii takie doświadczenia są bezcenne.

Boję się natomiast jednego.

Czego?

– Tego, że możliwość zrobienia sobie wolnego od technologii będzie dostępna wyłącznie dla uprzywilejowanych.

Osoby w trudniejszej sytuacji finansowej, bytowej, rodzice samodzielnie wychowujący dzieci czy pracujący na kilka etatów, nie będą mogli sobie pozwolić ani na wspólne spędzanie czasu w ten sposób, bo go nie będą miały, albo na wysłanie dzieci na obóz „bez telefonów”. O wspólnych wakacjach w strefie „bez wi-fi”, nie wspominając.

Co chciałaby pani, żeby się zmieniło?

– Zanim odpowiem, powiem coś jeszcze. Kiedy decydujemy się zrobić sobie przerwę od używania, często traktujemy to doświadczenie jako „odmawianie sobie czegoś”, stratę. A można spojrzeć na to inaczej, jak na zysk, że w ten sposób ofiarujemy sobie możliwość poczucia się wolnym i sprawczym. Bo uzależnienie nam tę sprawczość odpięra.

To chyba Immanuel Kant powiedział, że wewnętrzna dyscyplina daje wolność.
– Dokładnie tak! Ale spytała mnie pani, co chciałabym, żeby się zmieniło.

Staramy się chronić dziecięce mózgi przed szkodliwymi substancjami i zachowaniami, jak alkohol, narkotyki, hazard. Najwyższy czas, żebyśmy równie poważnie zaczęli traktować nowe technologie, które nie tylko mają potencjał uzależniający, ale też dają platformę dla krzywdzących porównań, przemocy rówieśniczej, narażają na wykorzystanie seksualne itd.

Gdzie dziś najwięcej czasu spędzają dzieci? W szkołach. Dlatego jestem za wprowadzeniem zakazu korzystania ze smartfonów od pierwszego dzwonka do ostatniego, z przerwami włącznie.

Czyli zgadza się pani z psychologiem Jonathanem Haidtem, autorem głośnej książki „Niespokojne pokolenie”, który ma taki sam postulat.

– Całkowicie. Efekty już widać. Tam, gdzie wprowadzono taką zasadę, zarówno nauczyciele, jak i uczniowie, po czasie potrzebnym na zaadaptowanie się do nowej rzeczywistości są zgodni, że cała społeczność szkolna jest dużo szczęśliwsza. Mniej dzieci korzysta z pomocy psychologicznej. Są spokojniejsze, bardziej zaangażowane, skupione, lepiej się uczą.

Czy to znaczy, że korzystają mniej z telefonów po szkole?

– Prawdopodobnie włączają je, jak tylko z niej wyjdą, ale nawet jeśli, to co z tego? Przynajmniej przez te sześć, siedem, osiem godzin mają możliwość być całkowicie obecnymi, w kontakcie z innymi. Bezcenne.

Dlaczego tak ważne jest, żeby zaplanować swój post dopaminowy?

– Bo wtedy zwiększamy szansę na powodzenie. Jeśli ktoś zamierza zrobić sobie przerwę od serwisów społecznościowych, dobrze jest uprzedzić znajomych: „Hej, nie znikam, po prostu nie będę z tego korzystać. Możecie się ze mną skontaktować tak i tak”.

Jeśli ktoś próbuje odstawić marihuany czy alkohol, ważne jest, żeby opróżnić dom z alkoholu, wyrzucić akcesoria do palenia, usunąć kontakt do dilerów. Warto też mieć bliską, zaufaną osobę, która będzie

nas wspierać albo chodzić na spotkania grup wsparcia.

Kluczowe jest, żeby zaplanować, co będziemy robić w czasie, w którym zwykle sięgaliśmy po używkę. Nasze mózgi mają wbudowane swoiste budziki, które przypominają nam, że to już ten moment. Dla większości osób ta pora przypada na wieczór, kiedy to „nagradzają” się za ciężki dzień.

Trzeźwość pozwala nam zobaczyć, jak dużo miejsca zajmuje nałóg w naszym życiu. Bo zwłaszcza w przypadku substancji psychoaktywnych mamy tendencję do minimalizowania szkód, które czynią, i maksymalizowania ich zalet.

Dlatego powtarzam studentom, że kiedy pytają pacjentów – czego używają, jak dużo, jak często? – robią to nie tylko dla siebie, ale również dla tych pacjentów, do których wreszcie może dotrzeć, że wypijając jeden drink do obiadu, dwa do kolacji, wypijają w sumie 21 drinków tygodniowo na przykład.

W ćwiczeniach, które towarzyszą pani książce i pozwalają dobrze zaplanować post dopaminowy, radzi pani, żeby przyjrzeć się, w jakich okolicznościach się „znieczulamy” i jakie towarzyszą temu emocje. Na przykład pijemy, kiedy odczuwamy niepokój, albo scrollujemy, kiedy się nudzimy.

– Warto zdać sobie sprawę z tego, co jest tym wyzwaniem i jaka jest sekwencja zdarzeń. Jeśli widzę, że sięgam po papierosa, kiedy dochodzę do trudnego momentu w pracy i nie bardzo wiem, co dalej, może mogę jakoś inaczej spróbować rozładować to napięcie?

Na przykład robiąc krótką przerwę i przeczekując ten moment niepewności? Ludzie też bardzo często używają, kiedy są fizycznie i psychicznie wykończeni. Wtedy warto sobie zadać pytanie, czy drink albo sesja scrollowania na Tik-Toku rzeczywiście pozwolą mi odpocząć i się zregenerować, czy może lepszym pomysłem jest pogadać z kimś bliskim albo pójść na spacer.

Post dopaminowy jest bardzo trudny, bo nagle człowiek musi radzić sobie z różnymi emocjami bez używki. W tym z lękiem, frustracją, złością, niepewnością.
– A czasami pierwszy raz od długiego czasu orientuje się, że w ogóle doświadcza jakichś emocji, bo wcześniej robił wszystko, by je zagłuszyć.

Nastolatki często opowiadają mi, że kiedy próbują ograniczyć albo zaprzestać korzystania z platform społecznościowych czy ze smartfona, na początku odczuwają dużo niepokoju, zwłaszcza w sytuacjach społecznych. Ale kiedy dopuszczają do siebie to nieprzyjemne uczucie i wytrzymują je, z czasem się ono zmniejsza.

A oni odnajdują przyjemność z bycia z innymi ludźmi i bliskość, o jaką wcześniej było trudno. Umiejętność tolerancji lęku też z czasem ich wzmacnia. Pokazuje, że są w stanie sobie z nim poradzić bez „protezy”.

Tyle że jesteśmy, jak pani pisze, jak te kaktusy w lesie deszczowym – wyzwalacze są wszędzie. Można skasować wszystkie aplikacje w telefonie, ale z telefonu partnera czy dziecka wciąż będziemy słyszeć znajomy głos powiadomień.

– Wystarczy, że wszyscy wokół używają smartfonów: w pracy, w sklepie, na ulicy.

Czy jest jakiś sposób, żeby się przed tym chronić?

– Dosłownie w zeszłym tygodniu rozmawiałam z mężczyzną, który postanowił znacznie ograniczyć korzystanie z telefonu. Powiedział, że za każdym razem, kiedy ma ochotę po niego sięgnąć, chwytą żonę za rękę. Wydało mi się to bardzo piękne. Ale to tylko pokazuje, jak pomocna może być dla nas więź z drugim człowiekiem, i że to tego potrzebujemy więcej. Smartfon to marny substytut.

Jakie są zdrowe źródła dopaminy, które nie rozregulowują naszego układu nagrody?

– Przede wszystkim właśnie dobre, bliskie relacje z ludźmi. Pacjenci często mówią, że kiedy dopada ich głód, pierwsze, co robią, to szukają wsparcia – u przyjaciół, rodziny, w grupie, na przykład Anonimowych Alkoholików. To daje naprawdę dużo siły.

Zródłem zdrowej dopaminy może też być wszystko to, co wymagające. Ćwiczenia fizyczne, byle nie przetrenowywanie się, kąpiele w zimnej wodzie, wykonanie jakiegoś trudnego zadania.

Zna pani Dachera Keltnera, psychologa, który bada zachwyty i zaciekawienie?
– Tak, oczywiście!

Keltner zachęca, by chodzić na spacerów pobudzające to uczucie. To może być ta sama trasa, co zawsze. Chodzi o to, żeby spacerując uważnie, przyglądać się otoczeniu. Patrzyć na mijane drzewa, budynki, ulice w świeży sposób i za każdym razem starać się odkryć coś nowego. Pomyślałam, że może to jest też dobry sposób na zakochanie się w swoim życiu, a jednocześnie źródło zdrowej dopaminy?
– Zdecydowanie!

Bo problem ze smartfonami jest taki, że kiedy tam zaglądamy, za każdym razem dostajemy coś nowego, dlatego są tak uzależniające. Nasze życia często wypadają na tym tle nudno i nijako, choć zupełnie takie nie są.
– Z jednym bym się nie zgodziła.

Owszem, smartfony dostarczają nam ciągle czegoś nowego, ale to, co jest w nich tak uzależniające, to ciąгла niepewność, którą nam fundują, a którą próbujemy jakoś zarządzić.

Tymczasem to, czego naprawdę potrzebujemy, to niepewność, niejednoznaczność i tajemnica, które pochodzą ze świata realnego – od innych ludzi, przyrody. Czegoś,

czego nie da się w pełni kontrolować, dlatego między innymi tak nas to zachwyca.

Za mało też moim zdaniem mówi się o tym, jak ważna jest dla naszej psychiki duchowość. W przypadku wielu moich bardzo uzależnionych pacjentów nic nie działa, dopóki nie przejdą jakiejś duchowej przemiany, czyli dopóki nie uznają, że istnieje siła większa od nich.

Kiedy to się staje, odzyskują nadzieję na wyjście z nałogu, a modlitwa, w tej czy innej formie, dodaje im siły i odwagi.

Dopaminy też?
– Prawdopodobnie, choć nie tej, która skacze jak szalona i wpędza nas w kłopoty.

Pisze pani, że przy wychodzeniu z uzależnienia bardzo ważna jest radykalna szczerość. Co to takiego?
– Chodzi nie tylko o to, by przestać oszukiwać innych i siebie na temat swojego nałogu, ale żeby w ogóle przestać kłamać. Nawet w drobnych sprawach takich, jak to, dlaczego spóźniliśmy się na spotkanie, czy co robiliśmy w weekend.

Radykalna szczerość buduje bliskość i zaufanie, bo w sytuacji, kiedy ktoś zmagają się z uzależnieniem, to właśnie one pierwsze padają jego ofiarą.

Często wydaje się nam, że jeśli będziemy mówić prawdę o swoich różnych wstydlwych zachowaniach, ludzie od nas uciekną. Tymczasem jest odwrotnie. To innych do nas zbliża, bo wszyscy jesteśmy niedoskonalymi i zmagamy się z trudnościami.

Po drugie, szczerość zwiększa świadomość. Kiedy mówimy prawdę o sobie innym, dostajemy od nich „zwrotkę”, która jest cenną informacją i może nam ułatwić dokonywania właściwych wyborów.

Po trzecie, kłamanie jest zaraźliwe, więc jeśli rodzice notorycznie oszukują, nawet w błahych sprawach, ich dzieci z dużym prawdopodobieństwem będą robić to samo.

Problem w tym, że żyjemy dziś w świecie, który nie tylko obfituje w uzależniające używki, ale też jest pełen kłamstw – fake newsów, dezinformacji, fałszywych wizerunków.

To sprawia, że wiele osób ma poczucie, że ich kłamstwa są usprawiedliwione. Jest to niezwykle szkodliwe.

Dlaczego?
– Bo sprawia, że ludzie przechodzą w tryb przetrwania.

Jeśli spytać na przykład osobę z ciężkim uzależnieniem od opioidów o jej przyszłość, najczęściej opowie o najbliższych sześciu, najdalej dwunastu miesiącach. Osoby nieuzależnione odnoszą się do najbliższych dziesięciu, a nawet dwudziestu lat.

Jeśli więc będziemy żyć w rzeczywistości, w której wszyscy będą od czegoś uzależnieni oraz wszyscy będą kłamać w mniejszym czy większym stopniu, to nie będziemy w stanie wyobrazić sobie dalszej przyszłości. Ani jej planować.

Będziemy przedkładać szybkie nagrody nad nagrody, na które trzeba poczekać, a nasze zaufanie do innych osłabnie. W takich warunkach bardzo łatwo o postawę: „Lepiej wezmę to, co mi się należy teraz, i nie będę się oglądać na innych”. Trudno w ten sposób zbudować zdrowe społeczeństwo.

Pomyślałam, że najczęściej oszukujemy sami siebie. Mówimy sobie na przykład: „Rodzina jest najważniejsza”, po czym spędzamy 12 godzin dziennie w pracy, choć nie musimy. A do przyjaciół: „Nie mam czasu”, po czym spędzamy dwie godziny na bezmyślnym scrollowaniu. W platformach społecznościowych też często pokazujemy swój „podrasowany” wizerunek. Co przez to tracimy?
– W jakimś sensie własny kompas, a przez to orientację w rzeczywistości.

Charakterystyczne dla wielu uzależnionych pacjentów jest to, że kiedy pierwszy raz przychodzą się leczyć i opowiadają o swoim życiu, postrzegają je jako łańcuch niesprzyjających zdarzeń. Mówią o tym, że cały świat sprzysiął się przeciwko nim, wskazując na winnych – najczęściej innych ludzi. Nie są w stanie uznać swojej odpowiedzialności.

Ale kiedy zdrowieją, opowieść o ich życiu staje się coraz bardziej prawdziwa, a przez to zniuansowana. I owszem, nadal widzą tych, którzy zawinili, czy ich pokrzywdzili, i słusznie, ale jednocześnie zaczynają też widzieć swój wkład, swoje słabości. I paradoksalnie, to właśnie ich wzmacnia. ●

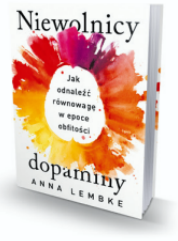


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Anna Lembke

• Jest profesorką psychiatrii i medycyny uzależnień w Stanford University School of Medicine, kierowniczką Stanford Addiction Medicine Dual Diagnosis Clinic oraz autorką licznych artykułów naukowych.

Jej książki „Niewolnicy dopaminy. Jak odnaleźć równowagę w epoce obfitości” oraz „**Niewolnicy dopaminy. Ćwiczenia**” ukazały się w Polsce w wydawnictwie Zys i s-ka w tłumaczeniu Grażyny Chamielec.



REKLAMA

Kraj/34387606

KOWR promuje zdrowe odżywianie



„Program dla szkół” to unijny projekt koordynowany przez Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. W ramach Programu uczniowie klas I–V szkół podstawowych i ogólnokształcących szkół muzycznych I stopnia oraz klas I–II ogólnokształcących szkół baletowych otrzymują bezpłatnie mleko i produkty mleczne oraz owoce i warzywa.

Główne cele Programu to:

- kształtowanie prawidłowych nawyków żywieniowych,
- poszerzanie wiedzy dzieci na temat pochodzenia owoców, warzyw i produktów mlecznych,
- promowanie zbilansowanej diety wśród uczniów,
- budowanie świadomości wśród rodziców i nauczycieli na temat ich roli w edukacji żywieniowej dzieci.

Asortyment produktów jest szeroki. Uczniowie otrzymują: mleko białe, serki twarogowe, naturalne jogurty, kefiry i maślanki, a także jabłka, gruszki, śliwki, truskawki, soki, marchewki, rzodkiewki, paprykę słodką, kalarepę, pomidorki. Program obejmuje również działania o charakterze edukacyjnym, które realizują szkoły.

Każdego roku w „Programie dla szkół” uczestniczy prawie 90% uprawnionych uczniów.

„Program dla szkół” to ponad 1,7 mld porcji owocowo-warzywnych i mlecznych udostępnionych dzieciom od roku szkolnego 2017/2018 do końca roku szkolnego 2024/2025. Niestąbnące zainteresowanie Programem ogromnie cieszy, ale KOWR dąży także do zmiany nawyków żywieniowych dzieci – stąd również działania edukacyjne, w których uczestniczą uczniowie.

Do zdrowego odżywiania Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa zachęca w atrakcyjnej dla najmłodszych formie już kolejny rok. W poprzednich latach uczniowie prezentowali swoje talenty wokalne, instrumentalne, literackie i plastyczne, w tegorocznej odsłonie kampanii – sportowe.

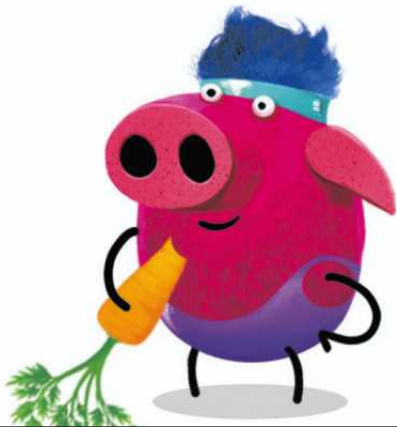
Pamiętajcie – jedzcie zdrowo!

Więcej o programie:

www.programdlaszkol.org
www.wyzwaniechrumasa.org



Program finansowany ze środków Unii Europejskiej oraz z budżetu krajowego



Polak w raju musi mieć telefon

Polski raj coraz bardziej wygląda na raj utracony, który rozpościera się wyłącznie w naszej historycznej pamięci.



Michał Rusinek

Andrzej Wajda zachwycił się kiedyś kolażem autorstwa Wisławy Szymborskiej. Opisał go w tak: „Co my tu widzimy? My tu widzimy raj. Ale w raju, dziwnym trafem, stoi czerwona budka londyńska, budka telefoniczna. Dlaczego wkleiła tę budkę tutaj Szymborska? Bo Szymborska dobrze wie, że Polacy chcą jechać wszędzie, ale nie mogą tam nie mieć telefonu! No bo co to jest za raj, z którego nie możesz zadzwonić? Polak musi się pochwalić. Raj bez telefonu w ogóle nie istnieje”.

Wajda, który doskonale rozumiał polskość, trafnie diagnozuje tutaj, czym jest raj dla Polaka. Trwestując Marcela Prousta można by powiedzieć, że dla Polaka nie ma raju innego niż raj opowiedziany. Samo bycie w raju nie dostarcza Polakowi rajskich doznań. Musi się tym byciem pochwalić.

Jak znajomi moich rodziców, którzy po powrocie z wakacji zapraszali nas całą rodziną na upiorny seans, na którym pokazywali slajdy z jakiejś Bułgarii czy Jugosławii. Jestem pewien, że będąc tam – w upale, stresie, czy uda im się sprzedać to, co zamierzali i kupić to, co chcieli – nie byli nawet w połowie tak szczęśliwi, jak pokazując zdjęcia i snując o nich radośną narrację.

Raj na ziemi

Szukając raju Polaków trzeba więc najpierw sięgnąć do języka.

Słowo „raj” pochodzi od prasłowiańskiego „raj?”, oznaczającego szczęśliwą i błogosławioną krainę. Zapożyczone zostało prawdopodobnie z języków staroiranijskich.

Także i łacińskie „paradisum”, pochodzące z greckiego „parádeisos”, jest zapożyczeniem z języka staroperskiego, gdzie wyraz „paridaizam” oznaczał teren otoczony ogrodzeniem, czyli ogród.

Tak też funkcjonuje w Starym Testamencie: jako ogród szczęśliwości, czyli hebrajski Eden (etymologicznie: step lub pustynia), w którym mieszkali Adam i Ewa do chwili popełnienia grzechu pierworodnego.

Według wierzeń chrześcijańskich, raj jest tożsamy z niebem, domniemaną siedzibą Boga i aniołów, miejscem pobytu dusz sprawiedliwych po śmierci, miejscem wiecznej szczęśliwości.

Metaforycznie, choć może raczej hiperbolicznie, funkcjonuje jako „raj na ziemi”, czyli miejsce piękne, w którym warunki do życia są szczególnie sprzyjające. Może też być miejscem sprzyjającym jakiemuś rodzajowi aktywności, np. raj dla wędkarzy czy narciarzy.



• Wyklejanka Wisławy Szymborskiej, która Andrzejowi Wajdzie skojarzyła się z rajem Polaków

„Rajem dusznym”, czyli rajem dla duszy, nazywano niegdyś modlitewniki, których czytanie sprawiało duchową przyjemność i zwiększało szanse czytającego, że po śmierci trafi do raju.

„Ptasim rajem” nazywa się zadrzewione i urokliwe miejsce dziewicze, gdzie ptactwo chętnie przebywa i trelami swymi wypełnia. Można się też „czuć jak w raju” lub „mieć gdzieś raj” – wszystko, rzecz jasna, metaforycznie.

Ironicznie mawiamy „baju, baju, będziesz w raju”, gdy chcemy wyrazić swoją niewiarę w to, co słyszymy. Raj jest wówczas miejscem w niedostępnym i całkowicie mitycznym, zwłaszcza dla tych, którzy opowiadają bzdury.

Raj poetycki w pół drogi

Raj został opowiedziany przede wszystkim w literaturze. Od Mickiewicza wiemy, że raj jest daleko: „Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju,/ I dążę do tegoż kraju” („Dziady”, część IV).

W wierszu „Na pokój grecki” żali się on, że do samego raju nie dotarł, bo był tylko w Grecji, która jest „w pół drogi do raju”:

„I widziałem te rajske pół-swiątła, pół-cienia,/ I doznałem – niestety! tylko pół zbawienia”.

W „Dziadach” Gustaw ma pretensje do Księdza, że go nauczył czytać: „W pięknych księgach i pięknym przyrodzeniu czytać! Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś i rajem! A to tylko ziemia” – a więc za sprawą literatury to, co zwyczajne, może stać się metafizyczne: piekielne i rajske, a raj istniałby tylko w literackiej opowieści o świecie.

Raj u Mickiewicza może mieć też kontekst erotyczny:

„Ach, tam, moja miła!/ Tam był mi raj/ Pókiś ze mną była! („Do H.*** Wezwanie do Neapolu”, naśladownictwo Goethego). Gdyby to było naśladownictwo z innego romantycznego poety niemieckiego, Johanna Gottfrieda Seume’a, zawierałoby bardziej ambiwalentną ocenę relacji dam-

sko-męskich: „Ziemski raj i piekło/ Mieści się w słowie kobieta”.

Natomiast angielski poeta metafizyczny Andrew Marvell był odmiennego zdania, bo uważał, że do odczucia raju potrzebna jest samotność:

„Samemu w raju żyć – to, jak się zdaje./ Tyle, co w jednym raju mieć dwa raje” („Ogród” w przekładzie Stanisława Barańczaka).

Raj jest w maju

W wierszu Aleksandra Fredry „Małpa w kąpielu” raj ma konotacje higieniczne, a więc społecznie ogromnie pożądane. Chcesz poczuć się w raju – zdaje się mówić Fredro – wykup się: „Ciepło – miło – niebo – raj!/ Małpa myśli: «W to mi graj!»”. Należy tylko wyregulować temperaturę wody, by raj nie zmienił się w piekło, bo z higieny wtedy nici.

Dla Henryka Sienkiewicza („Bez dogmatu”) raj jest w Polsce wiosną, a ściślej – w maju, kiedy jeszcze nie jest zbyt gorąco: „Ty maju, ty raju, ty wiosno!”.

Francuski pisarz przełomu XIX i XX wieku Tristan Bernard także ceni termiczne cechy raju, jednak nie ceni towarzyskich: „Chciałbym iść do raju ze względu na klimat, ale piekło mnie pociąga ze względu na towarzystwo”.

Huckleberry Finn, bohater książki Marka Twaina, także wolałby po śmierci nie trafiać do raju, bo tam się nic nie robi, tylko „siedzi z harfą i śpiewa”, a poza tym będzie tam z pewnością okropna miss Watson, za to nie będzie jego przyjaciela Tomka Sawyera.

Innego zdania jest Emanuel Schlechter, który w przedwojennej piosence twierdził, że ziemski raj to przebywanie w odpowiednim towarzystwie, a nie posiadanie dóbr materialnych:

„A my dwaj, oba cwaj,/ nimamy nic i mamy raj”, podobnie zresztą jak rosyjski poeta tatarskiego pochodzenia Nikołaj Ibragimow, mówiący, że: „I w szalasie z miłym raj”.

Tymczasem pisarz niemiecki Friedrich von Bodenstedt utożsamiał raj ziemski z towarzystwem zwierząt, a ściślej lokował go „na końskim grzbiecie”. Podobnego zdania jest zapewne większość miłośników hippiki.

Raj to Ameryka

Kultura popularna raj dla Polaka sytuowała czasami po drugiej stronie oceanu, na przykład w przedwojennej piosence Aleksandra Jellina i Ludwika Szmaragda:

„To jest Ameryka./ To słynne USA./ To jest kochany kraj./ Na ziemi raj”. W tym raju „ma ciotka dwa miliony/ Tam mieć możesz cztery żony/ I to wcale nie jest takie złe [...]”. Gdy podrapać ci się trzeba./ masz pod ręką drapacz nieba [...]”. W dzikiej prerii zbierasz grzyby./ A w Niagarze łowisz ryby”.

Słowem – same przyjemności.

Chęć stworzenia utopijnego raju na ziemi zwykle kończy się złe. Paul Claudel twierdził, że „Gdy człowiek próbuje wyrobić sobie raj na ziemi, natychmiast powstaje zupełnie przyzwoite piekło”.

Raj wybiórczy i patriotyczny

No ale ziemskim rajem bywa także Polska, ale – tylko dla wybranych. Szymon Starowolski w 1636 roku pisał:

„Polonia est paradisus Juadeorum, infernus rusticorum, purgatorium plebeiorum” („Polska jest rajem dla Żydów, piekłem dla chłopów, czyśćcem dla mieszczan”); podobne zdanie czytamy w anonimowych „Paskwiliuszach na królewskim weselu podrzucanych” z 1606 roku. Zdaje się, że choć minęło ponad 400 lat i kilka dramatycznych wydarzeń po drodze, taki pogląd wciąż jest w naszym kraju popularny.

Wybiórcość polskiego raju nieco inaczej rozumie Krzysztof Daukszewicz, który śpiewał: „Dla uczciwych to piekło./ Dla cwaniaków raj./ Dla głupich glupota./ Dla mnie to mój kraj”.

I tym sposobem przechodzimy do patriotycznego wymiaru raju, który to „raj” rymuje się z „majem”, a więc z miesiącem naszego patriotycznego wzmożenia: „Wiwat maj, piękny maj./ U Polaków błogi raj! – pisał Rajmund Suchodolski.

Raj z aniołami w orszaku

Raj łączy się także ze śmiercią. Albo na takiej zasadzie, jak u Schillera, który lokował go jednak w życiu doczesnym i jego przyjemnościach twierdząc, że „Chwilę przeżył w raju/ Nie za drogo jest odpokutować śmiercią”.

Albo tak, jak w antyfonie z tradycyjnej łacińskiej liturgii pogrzebowej, rozpoczynającej się od słów: „In paradisum deducant te Angeli”, czyli: „Niech Aniołowie zawiodą cię do raju./ A gdy tam przybędziesz, niech przyjmą cię męczennicy/ I wprowadzą cię do krainy życia wiecznego./ Chóry Anielskie niechaj cię podejmą/ I z Chrystusem zmartwychwstałym miej radość wieczną”. Amen.

Jean Paul był zdania, że: „Wspomnienie to jedyny raj, z którego nie można nas wygnąć”.

Jorge Luis Borges mówił w jednym z wykładów, że zawsze wyobrażał sobie raj „pod postacią biblioteki”. Pisarz, który wprowadził na koniec życia dostał wymarzoną pracę w raju, tzn. został dyrektorem argentyńskiej Biblioteki Narodowej, zaczął tracić wzrok. Napisał wówczas z żalem: „w przystępie wspaniałej ironii/ Bóg dał mi ciemność na równi z księgami”.

Raj utracony

W prozie poetyckiej „Władza nad wczorajszym” traktuje raj jako coś, co utraciliśmy, ku czemu nie możemy już dążyć i czego nie możemy już pragnąć, ale co kiedyś było nam dane. „Wiem, że straciłem tyle, iż trudno by zliczyć te wszystkie utraty, teraz są czymś, co jest moje. Wiem, że straciłem żółcie i czernie, i myślę o tych niedostępnych dla mnie kolorach, jak nie potrafią myśleć o nich ludzie, którzy widzą [...]”. Nasze jest tylko to, co utraczone [...]. Do nas należą kobiety, te, które nas porzuciły, nas, wyzwolonych odtąd od życia w napięciu, które jest udręką, od grozy i lęków nadziei. Nie ma raju innego niż raj utracony”.

I tu wreszcie pojawia się nawiązanie do tytułu poematu Johna Miltona z 1667 roku: „Raj utracony”, który kończy się wygnaniem pierwszych rodziców z raju: „Pod Opatrznością przewodem, powolnym/ krokiem wędrowca, ręka w rękę poszli/ poprzez Eden samotne przestrzenie”.

Obawiam się, że polski raj coraz bardziej wygląda na raj utracony, który rozpościera się wyłącznie w naszej historycznej pamięci. Pamięci, o którą powinniśmy szczególnie dbać, gdy wokół nas roznoszą się coraz gęstszy brunatny mrok. Pamięci chwil, które raczej już się nam nie powtórzą, a których nie docenialiśmy, gdy trwały. Teraz możemy tylko otworzyć drzwi telefonicznej budki albo zrobić sobie pokaz slajdów – i opowiedzieć sobie raj. ●



• **Kontrmanifestacja do antyimigranckiego marszu Konfederacji. 19 lipca, Rondo Dmowskiego w Warszawie**

EPISKOPAT SZARPNĄŁ CUGLAMI

Konflikt między hierarchami ultrakonserwatystami a liberałami pierwszy raz stał się publiczny.

Arkadiusz Gruszczyński

Nigdy wcześniej polska prawica nie atakowała publicznie biskupów. Skrajni politycy rzucili się na kard. Grzegorza Rysia, który jednoznacznie stanął po stronie uchodźców. Ale to nie wszystko: pierwszy raz w historii Episkopat Polski jest tak mocno podzielony. O władzę walczą w nim dwie frakcje – ultrakonserwatywna i liberalna.

Jesteśmy świadkami czegoś niespotykanego w dziejach polskiego Kościoła.

- Po pierwsze: hierarchowie w publicznych wystąpieniach prezentują odmienne podejście do migracji.
- Po drugie: skrajnie konserwatywna grupa biskupów zatrzymała proces rozliczenia skandalu pedofilskich w Kościele.
- Po trzecie: politycy związani z prawą stroną sceny politycznej publicznie atakowali kardynała Grzegorza Rysia.

- Po czwarte: Episkopat likwiduje niezależną Katolicką Agencję Informacyjną.

Wszystkie te elementy trzeba rozpatrywać w kontekście nasilającej się polaryzacji, która ogarnia już chyba wszystkie elementy życia społecznego, gospodarczego, politycznego, kulturalnego. I religijnego.

Zaczął się 11 lipca od modlitwy biskupa Antoniego Długosza na Jasnej Górze. „Dziś chcemy modlić się za obrońców naszych granic: tych w mundurach strażników granicznych, żołnierzy, policjantów, celników, Wojska Obrony Terytorialnej, ale również wolontariuszy z Ruchu Obrony Granic – tych, którzy bezinteresownie organizują patrole” – powiedział biskup, wspierając publicznie nielegalne bojówki Roberta Bąkiewicza.

Przypomnijmy, że to były lider Ruchu Narodowego, organizator warszawskich Marszów Niepodległości i kibol skazany prawomocnie za fizyczny atak na kobietę w czasie manifestacji Strajku Kobiet, ale ulaskawiony niedawno prezydenta Andrzeja Dudy. Bojówki Bąkiewicza miały na granicy polsko-niemieckiej kontrolować rzekomy napływ migrantów, ale żadni uchodźcy nie byli przez nią przetrzucani, a ak-

cja została upolityczniona przez Prawo i Sprawiedliwość.

Dzień później na pielgrzymce Rodziny Radia Maryja do Częstochowy biskup Wiesław Mering stwierdził, że „Polską rządzą ludzie, którzy nazywają się Niemcami... Nasze granice są zagrożone zarówno od zachodu, jak i od wschodu. A dawniej polski poeta Wacław Potocki powiedział: »Gdy świat będzie trwał, Niemiec bratem Polakowi nie będzie«. Historia straszliwie potwierdziła prawdę tego powiedzenia. Polska jest dziś rządzona przez politycznych gangsterów”.

Po wypowiedziach konserwatywnych hierarchów minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski skierował do Watykanu notę protestacyjną, w której wyraził „zaniepokojenie i ubolewanie z powodu wypowiedzi biskupów, które godzą w godność państwa polskiego i są sprzeczne z duchem konkordatu”. Skrytykował Długosza i Meringa za szerzenie postaw nacjonalistycznych i podważanie zasad państwa prawa.

Gest Sikorskiego nie ma precedensu w historii stosunków Polski ze Stolicą Apostolską. Nigdy wcześniej szef dyplomacji nie odważył się poinformo-

wać Watykan o skandalicznych słowach biskupów. Żaden polityk, nawet związany z lewicą, nie wykorzystał nigdy w sporach ze Stolicą Apostolską oficjalnych kanałów dyplomatycznych.

Na słowa Długosza i Meringa zareagowali również inni hierarchowie. Metropolita wrocławski arcybiskup Józef Kupny na portalu X napisał: „We Wrocławiu zamiast »jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem« wolimy zdecydowanie: »Przebaczymy i prosimy o przebaczenie«. Właśnie obchodzimy Rok Pojednania. Jak bardzo aktualne staje się orędzie biskupów polskich do niemieckich, które skonstruował kard. Kominek!”.

Wpis Kupnego był trzęsieniem ziemi, bo, jak wspomniałem, dotąd biskupi nie zwracali sobie publicznie uwagi. Metropolita wrocławski złamał tę zasadę.

W ślad za nim poszedł kardynał Grzegorz Ryś, który stanął w obronie migrantów. W liście, który został odczytany w ostatnią niedzielę we wszystkich parafiach archidiecezji łódzkiej, kardynał i ścisły współpracownik dwóch ostatnich papieży, napisał: „To nie polityka. I to nie wezwanie do jakichkolwiek działań o politycznym charakterze. To prośba: najpierw

o nawrócenie języka. Proszę, jeśli decyduje się uczestniczyć w dyskusjach – a już zwłaszcza publicznych – na temat właściwej relacji do uchodźców i migrantów – to chciejcie to czynić w głębokim zjednoczeniu z rzeczywistą nauką Chrystusa i Kościoła. Jeśli zaś nie – to proszę: miejcie odwagę przynajmniej zamilknąć i nie dokładać ognia do tak rozpalonej rzeczywistości”.

Na kard. Rysia natychmiast spadła krytyka. Krzysztof Bosak, wicemarszałek Sejmu i jeden z liderów Konfederacji, w Polsat News upomniał kardynała, że jakby pojechał „na granicę i porozmawiali z chłopakami, którzy pracują na pierwszej linii, to może zmieniliby język”.

Na antenie Stacji.info duchownego strofował również poseł PiS Przemysław Czarnek: „Ks. kard. Grzegorz Ryś zauważył, że trzeba używać języka chrześcijańskiego w dyskusji o migrantach, a kto go nie używa, to niech ma odwagę zamilknąć. Oczywiście, jeśli to mówił do tych, którzy rzeczywistość stosują jakieś hasła nienawiści narodowościowej czy rasowej, to ma rację. Ale jeśli mówił do wszystkich tych, którzy bronią polskich granic, do Ruchu Obrony Granic, do wszystkich tych, którzy zwracają uwagę na wielki problem nielegalnej migracji, to warto przypomnieć w tym miejscu słowa błogosławionego kardynała Stefana Wyszyńskiego: »Na każdym kroku żądać będziemy, ażeby Polska Polską była i żeby w Polsce po polsku się myślało«”.

Do kolejnego bulwersującego wydarzenia doszło podczas ostatniego posiedzeniu Episkopatu. 12 czerwca zapadła decyzja, że biskup Wojciech Polak, prymas Polski, nie będzie już koordynował prac nad powołaniem komisji kościelnej badającej przypadki pedofilii w polskim Kościele od 1945 roku. Komisja miała dostać szerokie uprawnienia, m.in. wgląd w objęte tajemnicą akta kościelne, a w jej skład mieli wejść świeccy eksperci. Obecnie prace koordynuje biskup Sławomir Oder.

Osoby skrzywdzone przez księży, które współpracowały przez ostatnie lata z prymasem, mówią o jego upokorzeniu. Nie są w stanie zrozumieć, dlaczego za wyjaśnienie przypadków pedofilii w Kościele ma odpowiadać biskup, który w czasie procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II nie wziął pod uwagę roli papieża w ukrywaniu przestępców w sutannach. Biskup Oder, prowadząc postępowanie beatyfikacyjne i kanonizacyjne, wysłał list do byłego sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kardynała Angelo Sodano, z pytaniem, czy papież radził sobie z pedofilami. Kardynał, któremu też udowodniono krycie księży pedofilów, odpowiedział twierdząco. Biskup Oder uznał sprawę za zamkniętą.

Prymas Polak od lat przekonywał Episkopat, że tylko powołanie transparentnej, niezależnej od biskupów komisji przywróci zaufanie części katolików do Kościoła. Jego argumenty nie spotkały się ze zrozumieniem.

I kolejna sprawa: Marcin Przeciszewski, szef i twórca Katolickiej Agencji Informacyjnej, ujawnił, że jej przejęcie planuje rzecznik prasowy Episkopatu ksiądz Leszek Gęsiak. Do tej pory KAI rzetelnie informowała o wszystkim, co dzieje się w polskim Kościele. Teraz ma się znaleźć pod kontrolą biskupów.

Przeciszewski, który kibicował prymasowi Polakowi w sprawie powołania komisji badającej pedofilię, podał się do dymisji wraz z całym zarządem. KAI zapewne stanie się tubą propagandową Episkopatu.

Wszystko to układa się w spójny obraz: trzon rządzący Konferencją Episkopatu Polski ostro skrzył w prawo i konsoliduje władzę w rękach skrajnie konserwatywnej frakcji biskupów. W grupie trzymającej władzę należy wymienić takich biskupów jak Tadeusz Wojda, przewodniczący Episkopatu, Marek Jędraszewski z Krakowa, Sławomir Oder oraz kilku emerytów, takich jak An-

drzej Dziega, Stanisław Gądecki i kardynał Stanisław Dziwisz.

We frakcji liberalno-konserwatywnej są natomiast kardynał Ryś, arcybiskup Adrian Galbas z Warszawy, biskup Damian Muskus z Krakowa, prymas Wojciech Polak, arcybiskup Józef Kupny oraz biskup Artur Ważny z Sosnowca. To właśnie Ważny i kardynał Ryś jako jedyni w Polsce powołali diecezjalne komisje, które zbadały przypadki pedofilii w Sosnowcu i Łodzi.

Nie da się rozstrzygnąć, która z frakcji jest silniejsza i wygra. O ile konserwatyści decydują o kształcie Episkopatu, ponieważ mają za sobą licznych biskupów diecezjalnych o prawicowych i tradycjonalistycznych poglądach, o tyle umowni liberalowie mają w swoim gronie kardynała. Mówi się głośno o tym, że w najbliższym czasie biret kardynalski otrzyma również arcybiskup Adrian Galbas, co by wzmocniło tę grupę.

– Długo udawało się utrzymywać jedność wśród biskupów, ponieważ chcieli utrzymać władzę. A przeciw ich władza w społeczeństwie i państwie osłabła – komentuje ostatnie wydarzenia Filip Flisowski z Kongresu Katolickich i Katolików, niezależnej organizacji skupiającej progresywnych wiernych. – Poza tym w Episkopacie doszło do silnej polaryzacji. Widać więc wyraźnie, że biskupi nie mają opracowanej żadnej koncepcji na przyszłość.

Według Flisowskiego Episkopat nie ma pomysłu na rolę, jaką Kościół mógłby odgrywać w Polsce: – Wiemy, że takim rozwiązaniem byłaby synodalność zaproponowana przez papieża Franciszka, któremu zależało na przeprojektowaniu Kościoła i przeniesieniu odpowiedzialności na świeckich, oddanie im części władzy. Wewnętrzna reforma mogłaby stanowić lekarstwo na kłincz, jaki obserwujemy

Flisowski uważa, że posługiwanie się przez biskupów dotychczasowym językiem w listach czy kazaniach doprowadzi do jeszcze większej i szerszej laicyzacji. – To, co robi Episkopat w kontekście KAI i komisji arcybiskupa Polaka, odczytuję jako próbę szarpięcia cugłami, czyli zastosowania metod z lat 90. Episkopat próbował wtedy uciszyć biskupa Pieronka, wysyłając go do diecezji na Podhale. Tego rodzaju efekt mrozący przestaje działać, biskupi przestają przemawiać się takimi ruchami i gestami. A ludzie widzą, że te metody są kompromitujące – uważa Flisowski.

Według mojego rozmówcy kardynał Ryś dostał błogosławieństwo od papieża Leona XIV na zbudowanie sobie większej niezależności w polskim Kościele. – Widać wyraźnie, że zaczyna oddychać watykańskim powietrzem. Wykazał się dużą odwagą, kiedy opublikował list w sprawie uchodźców. Bez zgody Watykanu nie mógłby sobie na to pozwolić, skoro przez ostatnie 30 lat nie wykonywał podobnych gestów – mówi Flisowski.

O komentarz poprosiłem księdza Alfreda Wierzbickiego, lubelskiego teologa i etyka, który również krytycznie ocenia ostatnie wydarzenia.

– Decyzja, w wyniku której zmarnowano dorobek arcybiskupa Polaka, jest oburzająca. Z tego, co wiem, Episkopat odsunął prymasa od pracy przy komisji podczas jego nieobecności! Zastanawiam się, jak daleko biskupi znaleźli się od jakichkolwiek wzorców cywilizacyjnych. Wiarygodność hierarchów, ale też Kościoła, przez takie sprawy spada jeszcze niżej.

Ksiądz Wierzbicki krytykuje również przejęcie KAI przez rzecznika prasowego Episkopatu. Jego zdaniem przypomina to najgorsze praktyki z minionych czasów. Zwraca jednak uwagę, że wielu ludzi nie przejmują się już tym, co robią biskupi.

– Chyba nie ma bardziej odklejonej grupy w polskim Kościele niż Episkopat. Proszę zwrócić uwagę, kto kieruje dzisiaj jego pracami, przeciw to abp Tadeusz Wojda puścił iskrę, która skutkowałą przemocą w czasie marszu równości w Białymsto-

ku [w 2019 roku bp Wojda wezwał wiernych do kontrmanifestacji hasłem „No possumus – nie pozwolimy!”], w efekcie doszło do aktów przemocy].

Ksiądz Wierzbicki uważa, że coś się jednak zmieniło.

– Od 2019 roku żaden polski biskup nie stanął w obronie społeczności LGBT, przesładowanej przez państwo. A dzisiaj kard. Ryś prawidłowo i klarownie odczytał problem języka, jakim mówi Kościół w sprawie migrantów. Stawia pytanie, czy posługujemy się językiem Ewangelii, czy polityki. Być może kard. Ryś zrozumiał, że milczenie po słowach Meringa i Długosza kompromituje Kościół. Gorzej: ludzie usłyszeli, że ich biskupi mówią antyewangelicznym językiem. Bo chrześcijaństwo opiera się na godności wszystkich ludzi, a Kościół nie jest związkiem plemiennym, jak napisał kard. Ryś.

**Ksiądz Alfred Wierzbicki:
Chyba nie ma bardziej
odklejonej grupy
w polskim Kościele
niż Episkopat**

W najbliższych tygodniach będziemy świadkami kolejnych pęknięć na kościelnej ścianie. Szczególnie że do skandalicznych wystąpień biskupów na Jasnej Górze doszło już po wyborach prezydenckich, które wygrał Karol Nawrocki. Prezydent elekt wtorek na antenie Radia Maryja dziękował słuchaczom za modlitwę, którą czuł każdego dnia w kampanii. Biskupi już wiedzą, że Bizancjum z czasów rządów PiS-u za dwa lata może wrócić. Co szkodzi w tym pomóc.

Żeby zrozumieć, co dzieje się nie tylko w Konferencji Episkopatu, ale szerzej – w całym Kościele katolickim – trzeba cofnąć się do wydarzeń z przeszłości.

Kard. Stefan Wyszyński, Prymas Tysiąclecia i w tużpoważnych latach duchowy przywódca Polaków, mawiał: „Gdy będziemy zjednoczeni, nie zwyciężą nas żadne siły zewnętrzne”. Uważał, że mówiący spójnym głosem Episkopat będzie trudniejszym przeciwnikiem dla władzy. A komunistom z jednej strony zależało na ograniczeniu przywilejów Kościoła, ale z drugiej – co potwierdzają liczne opracowania historyczne – od pewnego momentu mógł on liczyć na szczególne traktowanie. Dość powiedzieć, że najwięcej pozwoleń na budowę nowych kościołów diecezje i parafie uzyskiwały w latach 80. XX wieku, gdy na czele Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i państwa stał gen. Wojciech Jaruzelski.

O jedności Episkopatu miał świadczyć m.in. sposób komunikowania się ze społeczeństwem: za przekaz, jaki docierał do wiernych, ale też do władzy, odpowiadało kilka osób, na czele z prymasem Wyszyńskim. Pozostali biskupi zazwyczaj powtarzali jego słowa, natomiast wszelkie spory i konflikty zostawały za drzwiami Sekretariatu Konferencji Episkopatu.

Kościół działał tak przez 80 lat, nawet po 1989 roku hierarchowie zdolali utrzymać jedność. Ci, którzy mieli inne zdanie niż konserwatywna większość, czy też byli krytyczni wobec niektórych posunięć Kościoła, starali się nie wychodzić przed szereg. Tacy biskupi jak Józef Życiński czy Tadeusz Pieronek, nawet jak nie zgadzali się z kolegami, pozostawali wobec nich lojalni.

Ale to właśnie ci dwaj biskupi jako ostatni mieli odwagę krytykować polski Kościół. Głównie jego poparcie dla coraz bardziej upolitycznionego Radia Maryja o Tadeusza Rydyzka, na którego antenie nierzadko pojawiały się treści antysemickie. Dziś jednak cały Episkopat wiernie pielgrzymuje do wpływowego redemptorysty, a głosy krytyczne wobec jego medialnego imperium

zostały nie tyle wykluczone z kościelnej debaty, ile zwyczajnie zniknęły.

Wszelkie spory w polskim Kościele były przez dziesięciolecia tłumione również przez Jana Pawła II. Biskupi nie mieli odwagi krytykować decyzji, które zapadały podczas jego pontyfikatu, ponieważ linia wyznaczona przez papieża opierała się na skrajnie konserwatywnej wizji wiary oraz instytucji kościelnych. Na całym świecie miejsca progresywnych, liberalnych biskupów zajmowali konserwatyści. Uniemożliwiali oni jakąkolwiek dyskusję o antykoncepcji, kapłaństwie kobiet, udzielaniu komunii świętej rozwiedzionym katolikom, włączaniu do wspólnoty wiernych osób homoseksualnych, decentralizacji Kościoła i zatrudnianiu w instytucjach diecezjalnych czy parafialnych osób świeckich.

W konsekwencji w Kościele doszło do pęknięcia, które po latach dotarło także do Polski. Stolica Apostolska, kardynałowie, biskupi i proboszczowie opowiadają o wizji rodziny, która nijak ma się do rzeczywistości.

Według ich wykładni kobieta ma skupić się na rodzeniu i wychowaniu dzieci, sprzątaniu, praniu i gotowaniu, a mężczyzna w tym czasie może realizować się zawodowo. Ponadto ma być ona wierna i posłuszna mężowi, nawet jeśli ten ją zdrada, nadużywa alkoholu czy stosuje przemoc. Każdą, która dokonała aborcji, nazywa się mordczynią, nie biorąc pod uwagę jej praw. Każda forma antykoncepcji jest zła, in vitro jest dziełem szatana, a program Kościoła są w stanie realizować wyłącznie politycy prawnicy.

Dzieci są traktowane podmiotowo, nie mają żadnych praw, a geje i lesbijki nie mają prawa do szczęśliwego życia, ponieważ ich seksualność „jest nieuporządkowana”. Tak twierdzi opracowany na polecenie Jana Pawła II w 1992 roku „Katechizm Kościoła katolickiego”, nad którego treścią czuwał kard. Joseph Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI.

Pęknięcie, związane jest też z pojęciem „krytycyzmu selektywnego”, który teologowie wywiedli z nauk Jana Pawła II. Twierdził on, że wiary nie można traktować jak szwedzkiego stołu, z którego wierni wybierają sobie tylko to, co im się podoba. Tymczasem, tak się właśnie od lat dzieje: katolicy, którzy nie odnajdują się w tych restrykcyjnych zasadach, a wierzą w Boga i chcą być częścią Kościoła, w rzeczywistości akceptują tylko część zasad wprowadzonych przez Watykan.

Dopiero papież Franciszek ogłosił, że ważniejsze niż przepisy jest sumienie, w którym wierni mogą zdecydować, czy głoszona przez Kościół zasada wiary jest właściwa.

To pęknięcie jest widoczne szczególnie w Europie, gdzie w szalonym tempie postępuje laicyzacja, na którą wpływ mają kolejne skandale pedofilskie w diecezjach i parafiach. Znam wiele dojrzałych osób, które zerwały z Kościołem po filmach braci Tomasa i Marka Sekielskich, ujawniających zakłamanie biskupów i księży. Dziennikarze udowodnili, że przez wiele lat biskupi przetrzymywali w parafii na parafię księży pedofilów, chroniąc ich przed wymiarem sprawiedliwości. Osoby, z którymi rozmawiałem, nadal chodzą na msze, ale średnio raz na kwartał, a nie w każdą niedzielę. Nadal wierzą w Boga, ale przestali szanować Kościół.

Statystyki Episkopatu pokazują, że wierni coraz tłumniej podążają tą drogą: liczba katolików regularnie uczęszczających na msze spada, podobnie liczba chrztów czy ślubów, rodzice wypisują dzieci ze szkolnej katechezy, a poglądy antyklerykalne są z roku na rok coraz powszechniejsze.

I właśnie nastąpiło kolejne pęknięcie: do tej pory Konferencja Episkopatu Polski stanowiła monolit. Biskupi – zgodnie z życzeniem kard. Wyszyńskiego i Jana Pawła II – mówili jednym, mocno konserwatywnym, głosem.

To się właśnie zmieniło. ●

Kochani, Siostry i Bracia,

Zdecydowałem się odezwać do Was wszystkich w tej formie nie dlatego, żeby była ku temu jakaś specjalna okazja. Czynię to raczej w związku z ważnymi pytaniami, które szczególnie w ostatnich tygodniach „wiszą w powietrzu” i których nie wolno zostawić bez odpowiedzi. Nie chodzi przy tym o naszą, lecz o Bożą odpowiedź! A myślę, że możemy ją wyczytać także ze Słowa dzisiejszej Liturgii.

Pierwsze czytanie ukazuje nam Abrahama siedzącego „u wejścia do namiotu w najgorętszej porze dnia”.

Co każe 99-letniemu starcowi, cierpiącemu ból po dokonanych dzień wcześniej obrzezaniu, siedzieć w samo południe w wejściu namiotu – a nie: schować się przed upałem w jego wnętrzu i wygodnie położyć na sjeście? Odpowiedź jest tylko jedna: Abraham siedzi w wejściu do namiotu, aby nie daj Bóg, nie przegapić jakiegos zmęczonego i wyczerpanego podróżnika, którego będzie mógł zaprosić do środka i udzielić mu gościny. Tak jest do dzisiaj zwyczajowo na Wschodzie. Gość, który podróżuje, nie musi pukać i z lękiem oczekiwać na przyjęcie – przeciwnie, musi tylko odpowiedzieć na zaproszenie.

Więc Abraham czeka, w gotowości, w PRAGNIENIU gościnności. I PAN wynagradza mu to pragnienie w dwójnasób: najpierw SAM mu się ukazuje – a kiedy patriarcha cieszy się Jego obecnością, stawia mu przed oczyma trzech ludzi (dosł. „śmiertelników”). I wtedy... Abraham zostawia Boga, aby ugościć obcych. Owszem, ma nadzieję – i o to się modli – że Bóg go nie opuści. Wie, że Bóg poczeka. I tak się dzieje: kiedy trzech mężowie odchodzą, Bóg rozpoczyna z Abrahamem – swoim PRZYJACIELEM – rozmowę o Sodomie. „Gościnność – możemy wyczytać w starych komentarzach do tego tekstu – znaczy więcej niż przyjęcie Bożej obecności”! Nie zostawia Boga ten, kto śpieszy – jak Abraham – do podróży. Przeciwnie, spotyka Go w jeszcze innej postaci. Tradycja chrześcijańska – zsumowana w sławnej Ikonie Rublowa – mówi nam, że Abrahama nawiedziła Trójca Święta. Przyznajmy jednak, że Boską Trójcę łatwiej jest nieraz przyjąć nawet w Jej niepojętej Tajemnicy, niż wtedy, gdy przychodzi w osobach trzech obcych wędrowców...

To wydarzenie odsyła nas wprost do Ewangelii – do słów Pana Jezusa: „Byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie (...); byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie” (Mt 25, 35 i 43) – przy czym użyte tu greckie słowo „ksenos” znaczy najpierw tyle, co „OBCY”, „nieznany”, a dopiero potem „przybysz” czy „gość”.

Ewangelia pokazuje nam dwie siostry, Martę i Marię, które PRZYJMUJĄ Jezusa. Prawda, że nie jest On im obcy. Z Ewangelii Janowej wiemy, że byli przyjaciółmi: „Jezus miłował Martę, i jej siostrę, i [ich brata] Łazarza” (J 11, 5). Prawda, niemniej opisane wydarzenie w dalszym ciągu pokazuje nam nie tylko wartość gościnności, ale przede wszystkim jej najważniejszy wymiar. Otóż aby kogoś przyjąć, nie wystarczy jedynie zaprosić go do domu, dać mu jeść i pić; może nawet, zaoferować mu nocleg. Co innego jest „konieczne”: KONIECZNE jest się na stóp przybysza i posłuchać, co ma do powiedzenia. A wtedy natychmiast człowiek z obdarowującego staje się obdarowanym – może przeżyć gościnność nie jako wysiłek, lecz jako bogactwo i łaskę.

Takie jest dzisiejsze Słowo – przyznacie, że piękne i obiecujące – prawdziwie DOBRA NOWINA. Słowo to jednak szuka nas wyraźnie w naszej codzienności – TU I TERAZ – prześwieśla nasze

List pasterski KARDYNAŁA GRZEGORZA RYSIA



FOT. PATRYK OGÓRZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dyskutujcie o uchodźcach w głębokim zjednoczeniu z rzeczywistą nauką Chrystusa i Kościoła. Jeśli zaś nie – miejcie odwagę przynajmniej w takich wypadkach **zamilknąć**

CZYNY, mocno koryguje nasze MYŚLENIE! Chcę się w jego świetle odnieść do dwóch niezwykle ważnych kwestii.

Pierwsza: spór o uchodźców i migrantów. Od kilku tygodni i miesięcy rozpala on publiczną dyskusję, a także działania, które – nierzadko powołując się na chrześcijańskie motywacje – w istocie rzeczy z chrześcijaństwem nie mają wiele wspólnego, godząc także w inicjatywy prawdziwie ewangeliczne, jak np. prowadzone (czy współprowadzone) od czasu wojny w Ukrainie przez kościelną CARITAS „Centra pomocy migrantom i uchodźcom”. Hejt, strach przed „obcym”, stereotypy, nienawiść stają się argumentem ważniejszym niż racje ludzkie i ewangeliczne. Tymczasem katolicka nauka społeczna (na którą tak wielu się powołuje...) wyraźnie stwierdza, że KAŻDY CZŁOWIEK ma prawo wybrać sobie miejsce do życia; i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze. Chrześcijaństwo nie jest religią plemienną, lecz – jak uczy Sobór – objawieniem „jedności całego rodzaju ludzkiego” (KK 1).

To nie polityka. I to nie wezwanie do jakichkolwiek działań o politycznym charakterze. To PROŚBA: najpierw o NA-

WRÓCENIE JĘZYKA! Potrzebujemy Jezusowego języka – Jezusowego sposobu wypowiedzi. Proszę, jeśli decydujecie się uczestniczyć w dyskusjach – a już zwłaszcza publicznych – na temat właściwej relacji do uchodźców i migrantów – to chciejcie to czynić w głębokim zjednoczeniu z rzeczywistą nauką Chrystusa i Kościoła. Jeśli zaś nie – to proszę: miejcie odwagę przynajmniej w takich wypadkach zamilknąć i nie dokładać ognia do tak rozpalonej rzeczywistości. Póki co, panujący dyskurs zarówno godzi w przybyszów, jak i przetrąca inicjatywy, motywacje i siły tych, którzy chcą im pomóc. „Pociecho migrantów! Módl się za nami!” (Litania loretańska)

Kwestia druga dotyczy nie ludzi, którzy przybywają do naszego domu, ale raczej tych, którzy w tym domu ucierpieli – nierzadko w takim stopniu, że poczuli się z niego wyrzuceni, doznawszy krzywdy wykorzystania seksualnego. I mają prawo nosić w sobie do dziś głębokie zranienie i zgorszenie – nie tylko tamtym przestępstwem, ale również postępowaniem Kościoła – nie dość adekwatnym do rozmiarów zła!

Wszyscy z pewnością słyszeliście o trwających od przeszło dwóch lat pra-

cach, kierowanych przez Księdza Prymasa, zmierzających do ustanowienia przez Episkopat Polski Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce. Wiecie też, że na czerwcowym posiedzeniu Konferencji Biskupów – prace w dotychczasowym kształcie zostały zatrzymane, i powierzone biskupowi Sławomirowi Oderowi – dla ich ewaluacji i – zapewne – przemodelowania. Wielu z Was o to pyta; wielu wyraża zaniepokojenie i zawód, wręcz protest.

Po długiej refleksji, modlitwie i po licznych konsultacjach – postanowiłem powołać do życia taką komisję – do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich – dla obszaru wyłącznie naszej Archidiecezji. Będzie to komisja prawdziwie niezależna – prowadzona przez ekspertów (prawników, historyków, psychologów), którzy zarówno dobiorą sobie samodzielnie współpracowników, jak i wypracują reguły działania. Ze strony diecezji gwarantujemy każdą pożądaną otwartość i konsultacje (archiwalne, kanonistyczne etc.). Mam głęboką nadzieję, że prace tej Komisji ruszą na jesieni.

Nie jest to w żadnym wypadku „znak sprzeciwu” wobec ostatnich decyzji Episkopatu: gdy zostanie powołana do życia Komisja ogólnopolska, komisja „łódzka” włączy się z pełnym zaangażowaniem w jej prace. Myślę jednak, że naszą część pracy możemy zacząć już teraz. A nawet POWINNIŚMY.

Dlaczego?

Dlatego, że głównym celem Komisji jest – oprócz zbadania historii (od roku 1945) – dotarcie do nieznanych jeszcze OSÓB POKRZYWDZONYCH! To przede wszystkim te osoby są ważne – nie sprawcy, którzy w większości przecież już nie żyją. Skrzywdzeni jeszcze żyją, i ciągle jeszcze jest szansa, by się z nimi spotkać, wspomóc tak dalece, jak tylko jest to możliwe, i prosić o przebaczenie. Właśnie dlatego, w pracach komisji przewidziane są nie tylko badania wprost historyczne i archiwalne, ale również wywiady, rozmowy i przyjmowanie świadectw. Jest to konieczne także dlatego, że historia powojenna – jak dobrze o tym wiemy – nie zawsze dokumentowana była archiwalnie, a czasami bywała dokumentowana – ale przewrotnie! Ludzkie świadectwa mają więc dla niej nie tylko charakter źródłowy, ale i służą krytyce źródeł. Dlatego proszę każdego, kto dysponuje konkretną wiedzą w sprawie tych przestępstw, aby zgłosić się z nią do Komisji, gdy zechce się jej prace. Komisja nie będzie miała charakteru śledczego i nie będzie sama prowadzić postępowań, ale z całą pewnością przekaże je kompetentnym do tego osobom i strukturom.

Zaczelśmy naszą refleksję od EWANGELII GOŚCINNOŚCI.

Zakończmy fragmentem Psalmu reponsoryjnego, który uświadamiał nam, że wszyscy jesteśmy GOŚĆMI PANA BOGA:

„Kto będzie przebywał w Twym przybytku, Panie, kto zamieszka na Twej górze świętej?

Ten, kto postępuje nienagannie, działa sprawiedliwie i mówi prawdę w swym sercu”.

Ufam, że wszystko to, czym się z Wami w tym liście podzieliłem, i to, co – z pomocą Bożą – spróbujemy uczynić, pozwoli nam „wchodzić do świątyni Pana” i „mieszkać” w niej – wraz ze wszystkimi Siostrami i Braćmi, których Pan nam daje i... ZADAJE!

Wszystkim Wam serdecznie błogosławie

Wasz Kard. Grzegorz
Łódź, 15 lipca 2025
• Źródło: Archidiecezja Łódzka

WSZYSCY JESTEŚMY KIBOLAMI?

Obdżektor to nie jest ktoś, kto mówi
„pieprzę tę Polskę i wyjeżdżam”.

Z **MARKIEM KRUKOWSKIM***,
OBDŻEKTOREM, WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM
RUCHU WOLNOŚĆ I POKÓJ**
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

Co pan myśli, słuchając różnych osób, które deklarują: „Gdyby weszli Ruscy, lecę do Hiszpanii”?

– Nie potępiam niczych osobistych wyborów, ale tak bym się nie zachował. Polska to mój kraj i jestem za nią odpowiedzialny. Państwo ma prawo domagać się od obywateli aktywnej obrony granic. Nie oburza mnie już nawet dyskusja o przywróceniu zasadniczej służby wojskowej. Musi być jednak furtka dla tych, którzy z powodu sprzeciwu sumienia nie chcą brać broni do rąk. O to walczyliśmy.

Bo obdżektor to nie jest ktoś, kto mówi: „Pieprzę tę Polskę i wyjeżdżam”, tylko osoba odmawiająca używania broni. Obdżektor w razie wojny wybiera pracę w szpitalu albo inne formy pomocy ludności cywilnej. Jest jeszcze kwestia tchórzów.

Słucham?

– Nie używam tego słowa jako obelgi. Po prostu każdy człowiek ma prawo żywić obawy. Wiele osób boi się nawet bójki, a co dopiero frontu. I trzeba to uwzględnić. Ktoś taki również powinien mieć prawo do pracy przy usuwaniu zniszczeń, opiece nad starszymi czy przysłowiowym kopaniu rowów przeciwczołgowych.

To weźmy inną deklarację: „Od obrony kraju są zawodowi żołnierze, ja płacę na armię podatki i starczy”.

– Nie starczy. Mówię to za siebie, nie w imieniu kolegów z WiP. Armia zawodowa jest dobrym rozwiązaniem i sprawdza się w całej cywilizacji euroatlantyckiej, ale podatki to nie koniec naszych obowiązków wobec własnego kraju. Część osób ma predyspozycję i chęć do noszenia broni, inni mogą w razie konfliktu pomagać straży pożarnej, zaangażować się w pomoc humanitarną...

Nie ukrywam, że moja postawa ewoluowała przez ostatnie cztery dekady. W latach 80., jak pan wie, odmówiłem przysięgi wojskowej, przez co nie mogłem ukończyć studiów medycznych i ostatecznie nie zostałem lekarzem.

Na początku lat 90. angażowałem się między innymi we wsparcie ruchu Szwajcaria bez Armii (Suisse sans Armée) przy okazji tamtejszego referendum na temat zniesienia obowiązkowej służby wojskowej i szerzej – demilitaryzacji kraju.

W pierwszej dekadzie XXI wieku współzakładał pan partię Zieloni 2004.

– Inwazja na Ukrainę wszystko pozmieniła. Wcześniej wydawało mi się – i wielu moim kolegom z WiP – że wojny prowadzone przeciwko cywilom odeszły razem z konfliktem w Czeczenii. Jest inaczej.

Po masakrach w Buczy, Irpieniu i Mariupolu sądzę, że armia zawodowa jest

niewystarczająca. Dlatego nasze Ministerstwo Obrony winno stworzyć możliwość szerszego przeszkalania osób, które mogłyby wspierać zawodowców. Z jednej strony aktywna rezerwa, z drugiej Wojska Obrony Terytorialnej. Ich rozwój w ostatnich latach pokazał, że na poziomie małych ojczyzn rodacy garną się do obrony i to jest OK. Młodzi muszą się przecież jakoś „wyszumieć”. Mają dużo energii i mogą ją spożytkować tą drogą.

Sądzi pan, że pokolenie naszych dzieci pójdzie na prawdziwą wojnę z Rosją?

– Jeszcze cztery lata temu sądziłem, że będziemy pierwszym pokoleniem bez wojny. Dziś złudzenia o trwałym pokoju w Europie upadły. Sam Francis Fukuyama wycofał się z teorii o „końcu historii”. Jak wiadać, konflikt i przemoc są trwale zapisane w naturze gatunku ludzkiego.

Myszę między innymi o Strefie Gazy, gdzie dochodzi do większych masakr niż w miastach ukraińskich. Zastanawiam się, czy w ogóle istnieje wojna sprawiedliwa?

Ukraińcy chyba taką prowadzą?

– Tak sądzę. W ich wypadku podniesienie rąk w górę i poddanie się miałooby skutki tragiczne. Rosjanie przygotowali przecieży listy proskrypcyjne, plan podziału ukraińskiego społeczeństwa na grupy – od osób całkowicie popierających Rosję, aż po takich, którzy zdaniem Kremla nie nadają się nawet do resocjalizacji...

...a jedynie pod ścianę.

– Zaatakowany musi mieć więc prawo do obrony – pytanie tylko: jakiej? W przypadku, gdy do ukraińskich domów wpadają przestępcy w rosyjskich mundurach i zabijają, gwałcą, kradną, należy się bronić, strzelając. To jest obrona konieczna.

Zniszczenie rosyjskich bombowców na lotniskach też było obroną konieczną?

– Absolutnie tak. Rosyjskie samoloty dewastują ukraińską infrastrukturę, spuszczają bomby na cywilów. Porównajmy



Ruchy lewicowe w imię tolerancji
często zwiększają napięcia społeczne.

Przecież zakaz
„mowy nienawiści” nie przyniesie
więcej pokoju i ładu, tylko więcej
konfliktów



FOTOKRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

działania rosyjskie i ukraińskie w tym względzie. Ukraińcy bombardują dromami lotniska, fabryki broni, bazy paliwowe. Rosjanie celowo bombardują domy, zabijając ludność cywilną.

Jak by się pan zachował w razie ataku Rosji na naszą granicę?

– Chciałbym zachować się przyzwoicie. Na pewno starałbym się wspierać ojczyznę nie z bronią w ręku, ale przydatnie. Jestem doktorem biologii, studiowałem tę medycynę, być może mógłbym pomagać w jakimś szpitalu polowym.

Czym jest dzisiaj pacyfizm? Tu, teraz w Polsce.

– Nie chcę używać tego terminu, bo się nie czuję na siłach. Mam również problem z samym zdefiniowaniem pacyfizmu. Na pewno jest to idealistyczne podejście do rzeczywistości. Moim zdaniem kluczowe jest odrzucenie przemocy. Non violence. Mówiąc trywialnie: odrzucenie broni.

Niestety przemoc i okrucieństwo okazują się trwałym składnikiem psychobiologii gatunku Homo sapiens, a skoro jedyna strona napada, to druga... nie chcę się

już powtarzać. Może powiedzmy w ten sposób: pacyfizm to dzisiaj odrzucenie przemocy w polityce, w społeczeństwie, w rodzinie. To jest dla mnie kluczowe – taka właśnie postawa etyczna.

Przy czym mówiąc o polityce, nie mam na myśli ogólnego „kochajmy się!”, tylko ograniczanie przemocy. Chociażby werbalnej. Wyskakiwanie z baniek, w których się umościł. Ruch ku konstruktywnej rozmowie, dialog. Ustalmy listę rozbieżności, a potem znajdziemy metody rozwiązywania spornych kwestii, które wspólnie uznaliśmy za ważne.

Ale my nie chcemy wychodzić ze swoich nisz. Każda ze stron czyta własne gazety, ogląda swoje telewizje, siedzi we własnym sosie w tzw. społecznościówkach.

– Nie mam problemu z absorbowaniem argumentów, które wywołują u mnie dysonans poznawczy. Nie należę do entuzjastów „Wyborczej”, ale czasami was czytam. Oglądam też kanał Zero. Tam za miast szybkich kontrowersyjnych newsów znajduję dwugodzinne rozmowy prowadzone z przeróżnych perspektyw.



*Marek Krukowski

• Rocznik 1961, Wrocławianin. Niedoszły lekarz, doktor nauk biologicznych ze specjalnością ekologia roślin. Uczestnik demonstracji i głódówek, krótko w transnarodowej Partii Radykalnej, współzałożyciel ugrupowania Zieloni 2004. Ostatnio, poza polityką, walczy o byt gnidosz sudeckiego, pachnicy dębowej, głuszca, starych drzew i torfowisk. Przedstawia się jako „obsesyjny wolnościowiec” i „osoba niepoprawna politycznie”.

**Ruch Wolność i Pokój

• Zrodził się w obronie szczecińskiego działacza Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Marka Adamkiewicza, który w 1984 r. został uwięziony za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. W kościele Św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej odbyła się głódówka protestacyjna, w której uczestniczyło 20 osób, przeważnie związanych z NZS. 14 kwietnia 1985 r. w Krakowie podpisano deklarację założycielską Ruchu WiP autorstwa Jana Marii Rokity. • WiP działał jawnie, odwołując się do nieposłuszeństwa obywatelskiego i metod non violence. Największymi sukcesami była zmiana roty przysięgi wojskowej – usunięto m.in. fragment o wierności ZSRR – i wprowadzenie służby zastępczej w 1988 r. • Ruch zakończył działalność w 1992 r. W ciągu siedmiu lat przez WiP przeszli m.in.: dziennikarze Agnieszka Romaszewska-Guzy, Tomasz Duklanowski, Cezary Łazarewicz i Cezary Michalski, politycy Jacek Czaputowicz, Radosław Gawlik, Piotr Ikonowicz, Bogdan Klich, Konstanty Miodowicz, Konstanty Radziwiłł, Jan Rokita, Bartłomiej Sienkiewicz, naukowcy Grzegorz Francuz i Piotr Matczak, muzyk Krzysztof Skiba, pisarz Andrzej Stasiuk, mnich buddyjski Wojciech „Jacob” Jankowski, reżyser filmów dokumentalnych Marcin Mamorń i były wiceszef UOP Piotr Niemczyk. • W 2011 r. zawiązali Fundację Wolność i Pokój. Działalność FWiP obejmuje m.in. wsparcie humanitarne Ukrainy. Prezesem jest Jarosław „Jarema” Dubiel. Marek Krukowski jest przewodniczącym Rady FWiP.

I kiedy po wysłuchaniu kilku tego typu dyskusji odpaliłem ostatnio podcast Kultury Liberalnej, uderzyła mnie ich bezradność wobec rzeczywistości. Zamknięcie się liberalów w bańce poglądów sprzyjających obecnie rządzącej koalicji.

Ja słucham Radia Maryja i oglądam TV Republika, zapewniam pana, że te media są równie zamknięte. Czy polskie społeczeństwo jest pacyfistyczne?

– Wbrew temu, co często piszecie w „Wyborczej”, jako społeczeństwo jesteśmy tolerancyjni. Niestety dajemy się manipulować. Dzielić się politykom i mediom. Podobnie jest w USA.

Może współczesne społeczeństwa mają charakter kibolski?

Może po prostu lubimy przynależeć do jakiegoś plemienia? Na pewno jednak Polska jest krajem bardziej pacyfistycznym od Niemiec.

Specjalnie pan wymienił Niemcy, które uchodzą dzisiaj za kraj pacyfistów?

– Celowo, bo widzę tam przemoc instytucjonalną, której u nas nie ma. Weźmy próbę delegalizacji Alternatywy dla Niemiec.

Nie wyobrażam sobie, na szczęście, aby u nas zdelegalizowano choćby Konfederację. Te ruchy – jak Alternatywa, a na naszym podwórku partie Mentzena i Brauna – są efektem procesów historyczno-społecznych. I trzeba to zrozumieć, a nie wypierać fakty.

O jakich procesach pan myśli?

– Kiedyś Samoobrona, a dziś Konfederacja są dla mnie pokłosiem Okrągłego Stołu, reform Leszka Balcerowicza i całej transformacji, która wypchnęła na margines dużą część społeczeństwa. Spychanie poglądów tej części do podziemia doprowadza jedynie do wzrostu popularności takich organizacji jak AfD, Konfederacja czy kiedyś NSDAP.

Lepiej się z wykluczonymi konfrontować politycznie, niż odmawiać im prawa głosu. To samo dotyczy poglądów. Jeżeli ktoś jest wrogiem imigracji, zwyczajnie nie chce

w Polsce cudzoziemców, to wykształcona elita określa go ksenofobem albo klasyfikuje jego poglądy jako nienawistne. Tworzy się absurdalne przepisy o „mowie nienawiści”.

Po co takie zakazy? Obecne prawo i zasady wyniesione z domu wystarczą! Nie ma powodu, by prawnie eliminować wypowiedzi krytyczne wobec środowisk LGBT. Zakazywać krytyki zmiany płci. Zakazywanie określonych poglądów zwykle jest przeciwskuteczne.

Daleko odbiegliśmy od pojęcia „pacyfizm”.

– Ponieważ, jak powiedziałem, wolę rozważać słowo „tolerancja”, które jest w jakimś sensie pokrewne. Boleję nad tym, że ruchy lewicowe w imię tolerancji często zwiększają napięcia społeczne. Przecież ten zakaz „mowy nienawiści” nie przyniesie więcej pokoju i ładu, tylko więcej konfliktów.

Co pana w ogóle przywiodło do WiP-u?

– W 1981 roku obejrzałem „Hair” Miłocha Formana i ten film totalnie zrył mi beret. A potem 13 grudnia 1981 wojsko wyjechało na ulicę i zrozumiałem, że mogę, wręcz muszę zmanifestować mój sprzeciw. Odmówiłem przysięgi wojskowej w listopadzie 1983 roku. Rok później znalazłem się w WiP razem z anarchistami, antykomunistami, antysystemowcami...

Wtedy jeszcze nie było tego słowa. My – nosiciele oporników wpiętych w wyciągnięte swetry – nazywaliśmy się, cytując złośliwie komunistyczne media, „elementami antysocjalistycznymi”...

– ...i było wśród tych „elementów” miejsce dla odmawiających służby wojskowej, dla entuzjastów społeczeństwa alternatywnego, co chcieli żyć bez państwa i mieli naprawdę wielki dystans do patriotyzmu.

Gdy dzisiaj na to patrzę, widzę, że to były rojenia młodych, gorących głów. Żyliśmy w państwie opresyjnym, więc je kontestowaliśmy tak, jak każdy potrafił. Potem część z nas kontestowała także Okrągły Stół, ja

w 1989 roku w czerwcu w ogóle nie glosowałem, bo uznałem, że te wybory to efekt dogadania się elit.

No... ale trzeba przyznać, że to porozumienie, i później Balcerowicz, jakoś zatrybiły i od prawie 40 lat mamy demokrację, z którą się utożsamiam. Od połowy lat 90. już korzystam z czynnego prawa wyborczego.

Przeprosił się pan z III RP?

– Przyzwyczaiłem się do niej, lecz widzę, że jest na zakreście. Stary układ się wyczerpał, duopol PiS-PO stał się dysfunkcyjny i społeczeństwo to widzi.

Wchodzą na rynek polityczny nowe pokolenia i mają większe aspiracje, niż tylko dorabianie się. Chcą, by Polska była znaczącym państwem w Europie, ważnym graczem politycznym i gospodarczym.

Po roku 1989 pacyfiści z WiP-u poszli masowo do służb nowej Polski.

– Już w 1988 pojawiła się w ruchu, jak ją nazywam, frakcja instytucjonalna. I to oni zasilili MSZ, MSW, UOP. Konstanty Miodowicz, Piotr Niemczyk, Bartłomiej Sienkiewicz, Jan Maria Rokita, Jacek Czaputowicz i wielu innych, także z drugiego szeregu.

Poszli przeprowadzać transformację demokratyczną. Coś im się udało, coś nie. Po latach widać, że stare układy często były silniejsze. Służby wojskowe broniły się przed transformacją aż do połowy minionej dekady.

Na dzisiejszych spotkaniach WiP-owskich się o to spieracie?

– W tym roku mamy czterdziestolecie Ruchu, przygotowujemy spotkanie we Wrocławiu i chciałbym, aby się odbyła debata na temat wolności i pokoju. Bo ta idea jest przecież nadal żywa. Mamy kraje, w których nie ma ani wolności, ani pokoju – to na przykład Rosja. Są kraje, w których jest wolność i wojna – choćby Ukraina. Krajem żyjącym w pokoju, ale bez wolności, był PRL.

Dzisiaj mamy i wolność i pokój – ale na jak długo? ●

CZY DZIŚ WYPADA BYĆ PACYFISTĄ?

Za wschodnią granicą trwa wojna, wciąż wrze na Bliskim Wschodzie, a na czele mocarstw stoją politycy, którzy nie wahają się sięgać po siłowe rozwiązania.

„Zagrożenie” i „wojna” to słowa, które codziennie pojawiają się w rozmowach z bliskimi, przyjaciółmi, w pracy. Nasze gwarancje bezpieczeństwa wydają się stabilne, jesteśmy w NATO i Unii Europejskiej. Lecz Prezydent USA Donald Trump od czasu do czasu kwestionuje nasze najważniejsze sojusze.

W 2026 r. Polska na obronność przeznaczymy 5 proc. PKB. Ale nasze bezpieczeństwo zależy nie tylko od nowych czołgów i dronów. W równym stopniu – od nas samych. Od świadomości obywateli, poczucia obowiązku i gotowości do poświęceń. Zmaga się z tym Ukraina, która po fali ochotników do armii w pierwszych miesiącach, po trzech latach wojny ma problem z rekrutami.

Czy więc w naszej rzeczywistości stać nas na pacyfizm?

Dyskusja nie jest wymierzona w samą ideę. Wspólnie się zastanawiamy, czym dziś pacyfizm powinien być. Jakie formy przybierać? Jak rozumieć i wcielać w życie tę ideę?

To też okazja do zastanowienia się nad kondycją społeczeństwa, poczuciem tożsamości i zdolnością do autorefleksji. Czyli nad tym, kim jesteśmy i kim chcielibyśmy być.

Już spróbowali się z tymi pytaniami zmierzyć m.in.:

- **Bartosz T. Wieliński**, wicenaczelnny „Wyborczej”, znawca spraw zagranicznych i wojskowości: „W przeciwieństwie do starej Europy chcemy i potrafimy stawiać Rosji opór? Liczby mówią co innego”;
- **Ślawomir Sierakowski**, współzałożyciel Krytyki Politycznej, z nowego pokolenia wrażliwej społecznie, lewicującej inteligencji i klasy średniej: „Mam problem z Polakami, którzy nie chcą ginąć za kraj”;
- **Michał Olszewski**, szef działu zagranicznego „Wyborczej”, reporter, pisarz, świadek wojny w Ukrainie: „Pożegnanie z pacyfizmem. Można albo walczyć, albo się poddać. Trzeciej opcji nie ma”.
- **Paulina i Roman Polkowie**: „Plecak ewakuacyjny to nie jest zestaw dla tchórze, który planuje ucieczkę do Hiszpanii”



- **Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.
- Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellin-gcat.
- Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.



Prawo mówi: nie wolno grodzić przy brzegu, ale kto by się tym przejmował?

Tekst i zdjęcia: **Anna Maziuk**

Mur jest z betonu. Wysoki na ponad dwa metry. Ciągnie się na długości pewnie ze stu metrów aż do jeziora. Kwadrans wcześniej skończyłam zdalny wywiad na temat nielegalnego zabudowywania i niszczenia brzegów jezior. „Niebywale”, myślę, bo ilustracja do artykułu, nad którym pracuję, jak na życzenie wyraża sta spod ziemi. Odwiedziłam właśnie rodzinne miasto – Ostródę, a żeby odsapnąć po pracy, wybrałam się na spacer na dziką plażę nad Jeziorem Drwęckim. Tak ją nazywaliśmy za moich nastoletnich czasów.

Od osiedla domków jednorodzinnych dzieli ją kilometrowy pas zbóż. Rolnik, który je od lat uprawia, nigdy nie zagroził swojej ziemi. Z czasem przestał nawet obsadzać wyznaczoną samowolniczo przez spacerowiczów ścieżkę.

Właśnie nią dreptałam, kiedy tuż przed zakrętem, po którym idzie się już bezpośrednio wzdłuż jeziora, spostrzegłam mur. Odkąd pamiętam, istniała tam awaryjna dzika plaża, gdzie można było się wykąpać, jeśli na pobliskiej „głównej” za bardzo doskwierał tłok.

Co prawda od wielu lat parę metrów od brzegu straszyła tabliczka z napisem: „Terren prywatny”. Ale nikt nie mógł zabronić przejścia półtorametrowym pasem nad brzegiem jeziora, wejścia w tym miejscu do wody, a nawet tego, żeby się tam na chwilę położyć czy usiąść i popatrzeć na chmury szpaków wykonujące na niebie synchroniczne aranzacje.

Dokładnie tu obserwowałam je zaledwie rok wcześniej. Nasłuchiwałam wtedy, jak ptaki, które rozsiadły się po gałęziach drzew rosnących do niedawna wzdłuż obecnego muru, gwarnie rozmawiały z bliższymi i dalszymi sąsiadami.

Części z tych drzew już nie ma. W jeszcze większe osłupienie wprawił mnie widok brzegu jeziora. Właściciel działki „przysunął” go sobie pod samo ogrodzenie. Mogę jedynie zgadywać, że chodziło o uniknięcie sytuacji, w której ludzie będą owym ustawowym półtora metra przechodzili przez jego działkę.

W związku z czym na długości może pięciu metrów wgrzył się w ląd. Taka ingerencja w linię brzegową jest niezgodna z prawem. Można za to dostać mandat karny do 5 tys. zł, ale i karę ograniczenia

lub nawet pozbawienia wolności do roku. A zgodnie z art. 472aa Prawa wodnego kara administracyjna może sięgać od 5 tys. zł do 1 mln zł!

Ekipa z Bagien składa zawiadomienie o przestępstwie

Następnego dnia siedziałam już w kawiarni z Agą i Martą, dwoma społeczniczkami, które połączyła niezgoda na niszczenie cennych przyrodniczo fragmentów Ostródy i wspólne działania w stowarzyszeniu Ekipa z Bagien. Opowiedziałam im o murze.

Jeszcze tego samego dnia zrobiły dokumentację fotograficzną, a parę dni później, złożyły zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa do prokuratury, a także wnioski o wszczęcie postępowania administracyjnego i dopuszczenie organizacji do udziału w postępowaniu na prawach strony – do gminy, RDOŚ w Olsztynie, PGW Wód Polskich – RZGW Gdańsk. Ze wskazaniem, że teren stanowi obszar chroniony jako Rezerwat Przyrody Rzeki Drwęcy oraz Specjalny Obszar Ochrony Dolina Drwęcy – Natura 2000, a także Obszar Chronionego Krajobrazu Kanału Elbląskiego.

Prokuratura odpowiedziała jako pierwsza i przekazała sprawę policji. Marta złożyła zeznania. Postępowanie trwa. Gmina sprawę przekazała Wodom Polskim. Wody zaś po pięciu dniach odpowiedziały tak: „W związku z tym, że wody jeziora są piętrzone za pomocą ja-

zu w Samborowie, tym samym brak jest przesłanek do stosowania art. 232 ust. 1 ustawy z dnia 20 lipca 2017 r. Prawo wodne, który stanowi o zakazie grodzenia nieruchomości przyległych do publicznych śródlądowych wód powierzchniowych w odległości nie mniejszej niż 1,5 m od linii brzegu. Piętrzenie wód uniemożliwia ustalenie linii brzegu”.

Brak wzmianki o niszczeniu trzcinowisk czy zniszczeniu linii brzegowej. Komentarz Marty: „Ręce opadają. Cyrk”. I jak w prawdziwym cyrku z męczonymi podczas tresury zwierzętami jest mało zabawnie. W RDOŚ Marta musi parokrotnie dopraszać się telefonicznie o odpowiedź, żeby po dwóch miesiącach usłyszeć, że zwrócili się do Wód Polskich o zajęcia stanowiska w sprawie.

Wcześniej dowiaduje się m.in., że nie mogą odnaleźć wniosku. Nie pisze skargi na opieszałość urzędu z obawy, że to tylko wydłużyłoby postępowanie. Co dalej? Oczekiwanie na odpowiedź RDOŚ i konsultacja z prawnikiem środowiskowym. Tyle, że mało który chce takie rzeczy robić pro bono, a małutkiemu stowarzyszeniu z misją działań strażniczych i monitoringowych w stosunku do władz i instytucji nie jest łatwo pozyskać funduszy.

– Nie można wyłączyć stosowania art. 232 ustawy Prawo wodne w przypadku, gdy wody jeziora są piętrzone za pomocą jazu, nawet jeśli piętrzenie utrudnia ustalenie linii brzegowej – słyszę od adwo-



◄ **Przekopany brzeg i prywatny mur z betonu w Ostródzie, w drodze na dziką plażę nad Jeziorem Drwęckim. Teren stanowi obszar chroniony jako Rezerwat Przyrody Rzeki Drwęcy oraz Specjalny Obszar Ochrony Dolina Drwęcy – Natura 2000, a także Obszar Chronionego Krajobrazu Kanału Elbląskiego.**

► **Płot nad brzegiem i na wodzie nad jeziorem Narnie, w okolicy miejscowości Bogaczewo. Jezioro Narnie leży w Narińskim Obszarze Krajobrazu Chronionego**

▼ **Okolice Starych Jabłonek nad jeziorem Szelań Mały. Drewniany płot jednego z domów wchodzi prawie do wody i już na samym brzegu zamienia się w siatkę**



katki Marzeny Łabędzkiej ze stowarzyszenia Prawnicy na rzecz Zwierząt. – Artykuł ten dotyczy zakazu grodzienia nieruchomości przyległych do wód i uniemożliwiania przechodzenia przez teren nadbrzeżny, a jego stosowanie nie zależy od istnienia jazu czy trudności w ustaleniu linii brzegowej.

Zdaje się też, że w Prawie wodnym brakuje przesłanki, jakoby piętrzenie wody uniemożliwiałoby zrobienie tego zgodnie z zasadami i metodami określonymi w ustawie.

Nie dość, że to sami obywatele i obywatelki muszą pilnować, żeby ktoś nie zniszczył cennego kawałka przyrody, to jeszcze wymaga to ogromnej determinacji.

– Jeśli zauważyłaś problem, to znaczy, że to właśnie ty powinnaś się nim zająć – Aga nie ma wątpliwości. – Nie na zasadzie: „O Jezu, coś trzeba z tym zrobić!”, i odwracasz się na pięcie. Tylko skoro już o tym wiesz, staje się to twoją odpowiedzialnością.

Bo na instytucje odpowiadające za ochronę przyrody nie ma co liczyć.

– One kuleją najbardziej. Nie wiem, czy to kwestia ograniczeń w przepisach czy urzędniczego zasiedzenia, czy tego, że mają za mało ludzi albo narzędzi – zastanawia się. – O ile w gminach ścierają się różne interesy, m.in. rozwój rozumiany jako nieustanny wzrost, inwestowanie, które ma przynieść pieniądze w postaci podatków, i one muszą tym żonglować, o tyle instytu-

Odcięty od świata płotem jest nawet półwysep, który widzę z kajaka. Wykupił go ktoś z Warszawy

cje stworzone, żeby przyrodę chronić, takiego dylematu nie mają.

Jak sąsiad może, to też sobie pozwoli

– A czasami trzeba po prostu z buta wejść, skontrolować i zwyczajnie nałożyć karę dla przykładu. Żeby wszyscy o tym słyszeli – dorzuca Marta.

Bo tego brakuje najbardziej: woli ze strony właścicieli i właścicieli działek, żeby prawo respektować. Aga wymienia turystyczne miejscowości nad pobliskim jeziorem Narnie: Bogaczewo, Kretowiny. Kawałek ziemi i zaraz sru, wycinają trzciny i stawiają pomost. Często nielegalnie.

– Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś dostał karę i decyzyję administracyjną, że ma usunąć taki pomost. – Wzrusza ramionami.

Nie możemy więc liczyć, że kary będą działały prewencyjnie.

– A i sama ich wysokość większości tych, co kupują działki nad wodą, nie przeraża. Nierespektowanie prawa zaczyna się

od jednostki – potwierdza Marzena Łabędzka. – Jeżeli ktoś sobie pozwala na jego łamanie, a drugi widzi, że nikt go z tego nie rozlicza, że pozostaje bezkarny, to myśli: „Też sobie pozwolę”.

A żeby ono mogło odstraszać na zasadzie: „Uważaj, bo grozi ci to i to. Zobacz, Kowalski musiał zapłacić”, musiałoby być egzekwowane. Mamy szansę to zmienić, tylko jeżeli zaczną się kontrole i rzeczywiście będą nakładane, a przede wszystkim pobierane kary. Żeby tak się działo, organy kontrolne, czyli Wody Polskie i nadzór budowlany, powinny chodzić więcej w teren i weryfikować stan faktyczny.

Organy czasem działają na tyle powolnie, że sprawa finalnie nie ma takiej wagi, jak miała na początku. Samowoli budowlanych jest bardzo dużo, ale tylko w przypadku nielicznych dochodzi do rozbiórki obiektu i przywrócenia do stanu pierwotnego.

Czasem zwyczajnie się już nie da. Nierzadko o to właśnie chodzi. W takiej sytuacji nakłada się grzywnę. Ten, kto wybudował, może nawet ją opłaci, bo go stać, a potem rozpocznie procedurę legalizacji samowoli.

Adwokatka zauważa, że kolejną polską przywarą jest to, że poszczególne organy przerzucają między sobą odpowiedzialność. Nadzór budowlany często się wykręca, twierdząc, że coś nie leży w jego kompetencjach, bo przecież obowiązuje prawo wodne.

O ile Wody Polskie faktycznie powinny egzekwować powszechny dostęp do jeziora, o tyle już gospodarowanie przybrzeżnymi gruntami skarbu państwa wchodzącymi z samymi jeziorami w skład działek oraz niszczenie nabrzeży może podlegać pod prawo budowlane. Tu dodatkowo dochodzi odpowiedzialność karna, jeśli ktoś wykopuje bez zezwolenia jakiś kanałek, usuwa trzciny, zalewa je roundupem.

– Bo niszczenie siedlisk, budowanie na terenie parków narodowych, krajobrazowych, obszaru Natura 2000, rezerwatów podlega pod przepisy ustawy o ochronie przyrody – mówi Łabędzka.

Kontrole Najwyższej Izby Kontroli w 2011 roku wykazały na 18 mazurskich jeziorach 125 przypadków bezprawnego zagradzania brzegów.

W 2016 na 24 jeziora przypadków samowoli budowlanych było już 391. Jeszcze gorzej, że powiatowi inspektorzy nadzoru budowlanego nie wiedzieli o ani jednej z nich. Wykazano też 411 przypadków samowolnego wznoszenia urządzeń wodnych i obiektów budowlanych – nabrzeży, pomostów, przystani. I 75 przypadków grodzienia linii brzegowej 25 sprawdzonych jezior. Na 143 przypadki grodzień tylko w 27 Wody Polskie podjęły skuteczne interwencje, które doprowadziły do ich usunięcia.

Być może presja ze strony NIK wreszcie poskutkowała, bo w 2023 roku nad mazurskimi jeziorami Wody Polskie sa-

me ujawniły 17 nielegalnych grodzień jezior i 197 nielegalnych pomostów.

Mieliśmy tu piękne kąpielisko. Ale przyjechał ktoś z Warszawy

Kiedy chodzę wokół paru jezior, odnoszę wrażenie, że do właścicieli działek dociera, że po sam brzeg grodzić nie mogą, bo ktoś się tego czepia. Nie przeszkadza to im jednak stawiać płotu „prawie do”, gdzie owo półtora metra zostaje, choć bardzo umownie, bo linia brzegu – ta faktyczna, nie ta ustalana na podstawie średniego stanu wody z ostatnich dziesięciu lat – stale się zmienia.

Przejsie niby jest, ale w praktyce oznacza przedzieranie się przez gęstą przy brzegu jeziora roślinność albo celowo usypane przez właścicieli stopy gałęzi. Niektórzy dodatkowo kładą w poprzek łódkę, układają stare opony, wbijają jakieś prowizoryczne paliki powiązane drutem. Efekt? Mało kto próbuje się przez to przeciskać czy przeskoczyć. A jak przyjedzie urzędnik, można to szybko usunąć i stwierdzić, że przejsie jest. Gorzej, gdyby coś się działo – służby ratunkowe mogą mieć wówczas problem, żeby takie przeszkody szybko ominąć.

Dlatego nad Narie z Kretowin specjalnie wyruszyłam kajakiem. W wielu miejscach do brzegu inaczej bym nie doszła. Skutecznie uniemożliwiają to wszystkie te chaszczę tuż przy wodzie albo narzucone przez localsów gałęzie i pączkujące jedna przy drugiej działki. Od Agi, która sprowadziła się w te okolice trzy lata temu, usłyszałam, że tylko od czasu pandemii kolejne domki i płoty wyrosły w pobliżu jak po deszczu. Poszatkowanie linii brzegowej podobno najlepiej widać z góry, na przykład z drona.

Wcześniej zagadnęłam pięćdziesięcioparoletnią mieszkankę Bogaczewa położonego po drugiej stronie wyspy Wielki Ostrów.

– Jako dzieci mieliśmy tu piękne kąpielisko. Teraz to wszystko jest zagrodzone przez przyjezdnych, postawili domki letniskowe.

Odcięty od świata płotem jest też półwysp, parędziesiąt hektarów, który widzę z kajaka i na mapach satelitarnych. Wykupił go ktoś z Warszawy. Całość zagroził aż do wody. Postawił dwa prywatne pomosty, ale osoby z zewnątrz z żadnego nie mogą skorzystać.

Kiedy zbliżam się do niego od strony wody, widzę tabliczki z informacją o monitoringu, a potem dostrzegam wlepione we mnie oko kamery. To skutecznie zniechęca. Tuż nad brzegiem stoi budynek o kubaturze co najmniej 200 metrów kwadra-

Jak przez betonowy płot ma się przedostać na przykład jeź lub kret?

towych. Postawiony pewnie jako stacja wodna.

Publiczne udostępnianie sprzętu wodnego pozwala w konkretnych przypadkach ominąć przepisy w innym razie zakazujące budowy budynków mieszkalnych w odległości mniejszej niż 100 metrów od brzegu na terenach objętych szczególną ochroną, a Narie leży w Narińskim Obszarze Krajobrazu Chronionego. Czasem charakter takiego terenu mogą zmienić miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego (MPZP), a obecnie najczęściej dzieje się to przez zwykłe warunki zabudowy (WZ). Ale tu niczego nie wynajmę, budynek zamknięty na cztery spusty.

– Poprzedni właściciel wywalił tam też dwukondygnacyjną wieżę nad samym jeziorem i jakoś mu to przeszło. Próbowaliśmy z tym walczyć, ale się nie udało. Wynajmowałam tam pokoje – mówi pani z Bogaczewa. – Teraz odkupił to od niego lekarz medycyny estetycznej, też warszawiak.

Kiedyś, jak nawet gospodarz zagroził, robiło się dziurę w płocie i jakoś się przeciśkało. Jeszcze trochę i my, mieszkańcy, nie będziemy mieli gdzie się wykąpać.

Czterdzieści lat temu, jak tu konno jeździłam, krajobraz był dziewiczy, całe jezioro można było dookoła objechać. A teraz? Parę lat wstecz rolnik z Żabiego Rogu podzielił ziemię i sprzedawał działeczki po cztery ary!

To samo słyszałam od koleżanki, która odwiedza znajomych nad jeziorem Wałpusz. Skarżyli się na zagrodzenie dostępu miejscowym do kąpieliska przez przyjezdnych, którzy wykupili dotąd nieogrodzone działki.

Bo na efekt pandemii, kiedy ludzie masowo kupowali każdy fragment zieleni – o ironio, żeby go potem zagrozić na wzór tego, co znają z miast – nakłada się głęboka przemiana całej struktury społecznej mazurskich i warmińskich wsi.

Dom prawie legalny

Starsze pokolenie rolników odchodzi, a ich dzieci nie chcą dziedziczyć gospodarki. Bez znaczenia, czy działki kupuje osoba prywatna czy większy inwestor – mało kto myśli o przyszłości regionu czy interesie publicznym. Większość ma na uwadze własny, i to jak największy, zysk.

W konsekwencji zabudowa linii brzegowej jest coraz bardziej chaotyczna i niekontrolowana. Inwestorzy wykorzystują każdą lukę w planowaniu przestrzennym. Jeszcze gorzej jest, jeśli gdzieś MPZP nie ma. Bo o warunki zabudowy wystąpić może każdy. Na wydawanie tych ostatnich wpływ mają gminy.

– A te w województwie warmińsko-mazurskim są biedne – wyjaśnia Aga. – Dla nich kuszące jest, kiedy przychodzi duży deweloper i roztacza wizję: „Ta inwestycja przyciągnie ludzi, sprowadzą się bogaci, będą płacić podatki”.

Tyle że większość tych mieszkańców jest na tyle droga, że localsów na nie nie stać. Kupowane są jako lokata kapitału, na najem krótkoterminowy.

– Nawet jak ktoś faktycznie kupi dla siebie, to będzie mu trudno tam żyć, bo dookoła imprezki tych, co wpadli tylko na weekend. I uwaga, najlepsze – w przypadku wynajmu krótkoterminowego właściciele nie zgłaszają prowadzenia tam działalności gospodarczej, więc podatki płacą jak od powierzchni mieszkalnych. A to są grosze. Obecnie dokładnie 90 za metr kwadratowy. Działalność wychodzi prawie trzy dychy. Ten obcywany zysk dla gminy z podatków jest żaden – tłumaczy Marta, która zanim została aktywistką, zajmowała się księgowością.

Płot luksusowej posiadłości na półwyspie w Bogaczewie wygląda, jakby go rozebrano, teraz teoretycznie zostawia coś w rodzaju przejścia. Przynajmniej formalnie, bo w rzeczywistości ułożone są tu

wspomniane opony, z jednej strony z wody sterczą resztki dawnego ogrodzenia. Sąsiedztwo prezentuje się niewiele lepiej.

Drewniany płot jednego z domów wchodzi aż do wody. Na łódzie zamienia się w siatkę. Niewykluczone, że właściciel się wykpił, twierdząc, że to nie on stawiał. Ludzie czasem w ten sposób unikają odpowiedzialności. Czemu niby mieliby płacić za rozbiórkę?

W takiej sytuacji Wody Polskie albo nadzór budowlany powinny wszcząć postępowanie, przesłuchać świadków, próbować znaleźć sprawcę. Ale jeżeli nie można nikomu udowodnić, że to on postawił, skarb państwa na własny koszt powinien ów płot rozebrać. A to się nie zdarza.

Kawałek dalej, zaledwie parę metrów od brzegu, na świeżo nawiezionej ziemi stoi mniejszy dom w nowoczesnym stylu. W papierach domem pewnie wcale nie jest.

Tak było w Makrutach nad jeziorem Sarag. Powstał dom. Prawie legalnie. Prawie. Bo warunki zabudowy faktycznie wydano, tyle że na inną liczbę kondygnacji – miał być budynek z piwnicą. W praktyce piwnica wychodzi potężnym przeszkleniem na jezioro, a zamiast półek ze słoikami na zimę urządzono tam przestrzeń do życia.

– Coś takiego trudno zaskarżyć. Niby zgoda była, choć na coś zupełnie innego, niż powstaje. Zgodnie z literą prawa, jeżeli dostajemy zgodę na wybudowanie garażu o danym metrażu, a stawiamy dom jednorodzinny, to jest to inny obiekt, więc dochodzi do samowoli budowlanej. Gorzej, że obecnie mniejsze obiekty można postawić na zwykłe zgłoszenie, którego realizacja nie jest potem kontrolowana – wyraża niepokój adwokatka.

Piwnica z widokiem na jezioro

Kiedy docieram nad Sarag, żeby tę przeszkloną piwnicę obejrzeć, okazuje się, że to igła w stogu siana. Przy tym nawet nie aż tak dużym budynku brzeg akurat nie jest zagrodzony, ale już niektóre z sąsiadujących z nim działek płoty mają po lustro wody.

Na przedostatniej posesji w zachodniej części wsi właściciele o wiele większego domu w stylistyce jak u Carringtonów z serialu „Dynastia” – na podjeździe kilka aut, w tym czerwone porsche – do wody pociągnęły drewniany płotek.

Z kolei od wschodu wsi ostatnia chałta „problem dostępu do brzegu” rozwiązała, usypując wysokie stopy gałęzi i obwiązując pnie drzew drutami. Kiedy zagaduję starsze małżeństwo z Warszawy biwa-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34387288



Znajdziesz w każdym sklepie



Szukaj na regale z prasą



kujące na położonym obok polu namiotowym, zresztą też ogrodzonym, kobieci odpowiada:

– Pani tamtędy nie przejdzie, przecież to teren prywatny z własnym dostępem do jeziora – mówi z takim przekonaniem, jakby oczywiste było, że skoro czyjeś, to się nie wchodzi.

Chociaż nie dziwi, że właściciele nie chcą, żeby ktoś krecił się pod ich oknami, powinni pamiętać o przepisach. Mąż dorzuca tylko, że brzeg jeziora jest pocięty plotami, ale to ze względu na konie i krowy, które się tu pasą. Krowy widzę, ale w zupełnie innej części wsi, a płoty ewidentnie przejście utrudniają mają wyłącznie nie ludziom.

W ten sam sposób próbowałam okrążyć jeszcze trzy inne jeziora – Szeląg Mały przy Starych Jablonkach, jedno z jeziorzek w pobliżu wsi Parwólki i Gila przy Kotkowie. Za każdym razem natrafiałam na ogrodzenia. Zawsze co najmniej jedno z nich wchodziło na metr czy dwa do wody. Wszystkie usytuowane były w zasadzie w centrum wioski.

Grodzenie faktycznie ogranicza dziki ruch, w końcu przypadkowi spacerowicze nie zawsze umieją się zachować. Nierzadko śmieć, hałasują, wulgarnie się zachowują. Narzekala na to znajoma, właścicielka domu nad jeziorem w okolicy miejscowości Orzyny. Oni na wjeździe na posesję postawili bramę, żeby nie pakowano się na ich podwórko samochodami, bo i tak bywało. Ale reszty ogrodzenia brak, bo uważają, że przejście wokół wody powinno być. Wybudowali za to pomost.

– Jeśli ktoś chce na krótko z niego skorzystać, to może. Aby nie biwakował pół dnia, uniemożliwiając nam wypoczynek. No i dobrze, jakby się najpierw spytał.

Sikanie do wody nie jest niewinne

Dla przyrody najwęższy problemem nie są nawet same śmieci.

– Zostawiamy też mocz i kał. To są związki azotu i fosforu, które spływają do jeziora, powodując eutrofizację, czyli użyźnienie. W rezultacie nie mamy już prawie jezior oligotroficzných, czyli tych z bardzo czystą i przejrzystą wodą – mówi dr hab. Stanisław Czachorowski, profesor nadzwyczajny w Katedrze Zoologii na Wydziale Biologii i Biotechnologii UWM w Olsztynie.

Przekonałam się o tym, pływając po Narie, które pamiętam z dzieciństwa jako czyste jezioro z kamyczkami na dnie. Teraz bardzo dużo tam różnych glonów.

Chociaż wciąż rosną lilie wodne, raka zobaczyłam tylko jednego. Był martwy i nietutejszy. Ten z Ameryki, przegowany. Kiedyś raków było w bród.

Na to zarastanie, poza nawozami z pól, mają wpływ także niewywożone albo rozszczelniane szamba, najczęściej z oszczędności lub z braku wiedzy. One powstają wszędzie tam, gdzie brakuje istniejących już skupisk osadniczych, a co za tym idzie – infrastruktury, choćby tej kanalizacyjnej. Winna jest więc rozproszona zabudowa. To kolejny krok do skrócenia korzystania z czystej wody.

– Przy takim wzroście czystości spada przeźroczystość, pojawiają się działające alergicznie glony i zakwity sinic. Może dojść do zanieczyszczenia bakteriologicznego. Jezioro przestaje być atrakcyjne turystycznie – przestrzega prof. Czachorowski. – Już nie jest takie, jak było, zanim się nad nie sprowadzili ludzie.

Dodatkowo, kiedy maleje przeźroczystość, światło dociera płycej, znikają rośliny, na przykład rosnące głębiej ramienice czy wylóćnik. Mogą się pojawiać deficyty tlenu przy dnie, jeśli dojdzie do przyduszy, giną ryby. Niektóre gatunki z takich jezior zupełnie znikają.

Jeżeli przekroczymy pewną barierę ekologicznego samooczyszczania, nie ma ratunku. Takie jezioro może nawet

brzydko pachnieć z powodu gnijących glonów. To odstrasza spacerowiczów. Proces rekultywacji jest długotrwały i bardzo kosztowny.

– Może do niektórych przemówi aspekt finansowy, jeśli przyrodniczy nie wystarczy – wyraża nadzieję Czachorowski.

Ktoś sobie wybuduje prywatny pomost, zrobi zatokę, wykopie kanał, żeby mieć dostęp drogą wodną do jeziora, jeśli chałupa stoi daleko od jeziora – to niszczenie małych siedlisk. Najgorsza jest dewastacja linii brzegowej i szuwarów. Przekopując brzeg, zaburzamy np. lekko wilgotną strefę pływów – miejsce życia bezkręgowców.

Strefa z trzcinami to taki bufor dla jeziora, który kumuluje biogeny z azotem i fosforem. Ale też miejsca tarła wielu ryb. To kolejny powód spadku liczebności ryb i pierwotnie występującymi tu gatunków. Nie dają sobie rady sieje, sielawy czy szczupaki. Zamiast nich pojawiają się karpie czy karaski. Bo zmienia się i baza pokarmowa, i samo siedlisko. W konsekwencji zmuszeni jesteśmy sztucznie zarybiać.

W dolinach rzecznych i nad jeziorami zwierzętom najłatwiej przemieszczać się właśnie wzdłuż wód. Grodzenie to poważne zaburzenie szlaków komunikacyjnych, a przecież gdzie indziej staramy się budować przejścia dla nich, choćby nad drogami, żeby mogły migrować i krzyżować między subpopulacjami. Większe ssaki sobie poradzą, przejdą brzegiem jeziora, w wodzie.

– Ale jak przez betonowy płot ma się przedostać na przykład jeź lub kret? – zagaja retorycznie profesor Czachorowski. – Przecież w miastach celowo robimy dla jeży specjalne otwory w siatkach. A takich małych zwierząt jest więcej. Jeśli one nie będą mogły się ze sobą kontaktować, ich populacja nie utrzyma się na ograniczonej przestrzeni.

Zdaniem profesora grodzenie brzegów to jednak przede wszystkim utrudnianie życia człowiekowi.

– Ktoś może zyskuje indywidualnie, bo ma własny, elitarny dostęp do jeziora. Wartość jego działki teoretycznie rośnie, ale obniża wartość przyrodniczą dla pozostałych. To szkodliwe i egoistyczne. Lokalne władze liczą być może na krótkotrwały zys z inwestycji, ale straty są szersze, bo jeśli inni nie mogą korzystać, to nie przyjadą i nie zostawią pieniędzy na miejscu. W rezultacie turystycznie region traci.

Przestrzeń Mazur jest coraz bardziej zawłaszczana. Warmia jest ciekawsza, bo nie tak rozreklamowana. Jednocześnie Mazurski Park Narodowy nie może powstać od ponad 50 lat – przez lobby straszące dziwnymi rzeczami, że grzybów w lesie nie będzie można zbierać i tym podobne.

A na terenie parku narodowego o wiele trudniej byłoby zabudowywać brzegi jezior.

Skala zmienia wszystko, bo zbyt dużo domów może zabić jezioro. Hałas zmniejsza atrakcyjność nie tylko samych działek nad wodą, ale i całego regionu.

– Kolega mówi, że nad jeziora mazurskie się nie wybierze pod namiot, bo nie ma szans wieczorem czy w nocy posłuchać ciszy. Wszędzie dudnią głośniki – przestrzega Czachorowski.

Aga i Marta czasem pokazują takie slajdy: zdjęcie jakiegoś miejsca nad wodą, następne z mapką studium uwarunkowań i miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego kolejne – wizualna symulacja tego, jak to będzie wyglądało za parę lat, kiedy powstana budynki z wydanymi tylko na tą chwilę WZ. I co? Ludzie przeżywają szok. Nie mieli pojęcia. Ale terapia szokowa to za mało. Potrzeba konkretnych zmian systemowych. Także tych w ludzkich głowach. I to już, zanim będzie za późno. ●

Nie kpij. To nowa liturgia



Spójrzmy z miłością na tę potrzebę wyrażenia siebie na tiktoku. Bo to nie tylko żebanie o lajki

Marcin Matczak

W dawnych czasach, żeby zaznaczyć przejście z jednej fazy życia do drugiej, trzeba było iść do szamana, dać się posmarować krwią jaguara albo przynajmniej zaliczyć bierzmowanie. Dziś wystarczy założyć konto na TikToku i podłożyć pod swoje zdjęcia piosenkę Sii.

„I’m unstoppable, I’m a Porsche with no brakes” (Jestem nie do zatrzymania, jestem jak porsche bez hamulców) – śpiewa wokalistka, a my w tym czasie pokazujemy, jak z brzydkiego kaczątka staliśmy się labędziem, jak wyleźliśmy z depresji albo przynajmniej, jak opuściliśmy toksycznego chłopaka, który nie chciał słuchać Sanah.

TikTok – ta współczesna katedra dźwięku i ruchomego obrazu – ma swoją liturgię, swoje święte pieśni i swoich mistyków monażu.

Tam nie trzeba już ani księdza, ani rabina, ani nawet terapeuty. Wystarczy fragment pianina Einaudiego, żeby wyznać traumy, pogrzebać starą wersję „ja” i narodzić się na nowo – wszystko to w czterdzieści sekund, nie czterdzieści dni czy, nie daj Boże, lat.

To nowy rytuał inicjacyjny: muzyka + przemiana + sentymalna narracja. Tak rodzą się tiktokowi szamani samorozwoju.

Tu nie ma czasu na post i medytację. Tu wystarczy zwolnione tempo i wzniosły refren. Miejsce kapłana zajęła popowa piosenkarka, miejsce dzwonów kościelnych – soundtrack z „Amelii”. A bóstwo? To algorytm, który błogosławi tym, którzy najsukteczniej monetyzują własne cierpienie.

Oglądasz te filmy i czasami poważnie myślisz: „To wstrząsające!”. Ale po trzecim z rzędu klipie z hasztagiem #uleczony zaczynasz analizować tę nową świecką tradycję. Powtarzalność motywów przypomina stare rytuały. Dzisiaj jednak są one soloowe, nie wspólnotowe. Ktoś każe ci oglądać, płakać, klikać i lajkować – ale nie daje ci prawa uczestniczyć. Jesteś tylko widzem obrzędu, w którym ktoś właśnie „odnalazł siebie” przy dźwiękach „Until I Found You” – i ma nadzieję, że ty też siebie odnajdziesz, ale dopiero po zobaczeniu wszystkich reklam.

Oczywiście, można się z tego śmiać. Ale pod tym irytującym autotematyzmem kryje się autentyczna tęsknota za formą.

Młodzi ludzie montują filmy o swojej depresji, bo nikt już nie pokazuje im, jak wygląda rytuał wyjścia z ciemności.

Nikt nie mówi, że nie trzeba robić z tego show – ale też nikt nie daje innej sceny. Więc mają TikToka i Sie.

„Unstoppable” staje się ich muzyczną pieśnią triumfu. Refren wchodzi dokładnie wtedy, gdy pokazują swoje nowe włosy, sylwetkę po siłowni albo błysk w oku odzyskany po czterech miesiącach terapii. To cyfrowa wersja chrztu, tylko zamiast wody, krzyżka na czole i świętego oleju jest komentarz: „You go girl!” i trzy emotikonki ognia.

W tym sensie „Unstoppable” to nowe „Requiem”. Tyle że nie dla umarłych, ale dla dawnej wersji siebie. Rytuał nie polega już na tym, że społeczność żegna twoje ciało, tylko na tym, że lajkuje twoje odrodzenie. Zamiast ikony zdjęcie profilowe. Zamiast kadzidla – dym z elektronicznego papierosa. Ale struktura została jak w klasycznych „Obrzędach przejścia” Van Gennepa: separatio (oddzielenie od dawnego mnie) – liminalitas (próg przejścia, chaos) – reintegration (powrót w nowej formie). Symboliczna śmierć i odrodzenie z popiołów.

Pozornie ten rytuał nie potrzebuje wspólnoty. Wprawdzie komentarze w stylu „placzę!” albo „rel” tworzą cyfrową grupę przejścia, ale nikt nie wie, kim jesteś i gdzie to przejście się odbyło. Nie potrzebujesz książki gości ani świadków – wystarczy, że ktoś kliknie serduszek.

A może jednak jest tu wspólnota? Tylko nie taka jak u Durkheima – rytualna, cieleśna, lokalna – ale oparta na formacie. Wirtualna wspólnota postrytualna: nie powstaje przez fizyczną obecność, lecz przez rozpoznanie formuły. Jeśli leci muzyka z „Amelii” – ktoś właśnie pokazuje, jak umarł mu dziadek. Jeśli brzmi „Experience” Einaudiego – to ktoś właśnie pokonał chorobę albo wyszedł z rozwodu. I nie potrzebujesz nic więcej, byś go zrozumiał – wystarczy muzyka. To nowa wersja „Ave Maria”, w której głosem anioła jest tiktokowy voiceover.

Te podkładane pod miliony tiktokowych filmów utwory – „Unstoppable”, „Until I Found You”, „Running Up That Hill” – działają jak cyfrowe sakramenty.

Ich funkcją jest nie tylko upiększyć moment, ale też go uświęcić. Uporządkować emocję, nadać jej rytm i strukturę. W świecie, w którym wszystko stało się płynne, muzyka jest jedyną formą stałą.

Złośliwi powiedzą, że to wszystko kicz i estetyka cierpienia dopasowanego do pionowego ułożenia telefonu. Że poważne emocje nie powinny być ozdabiane filtrami i piosenkami pop. Ale tak naprawdę kto ich nauczył przeżywać dojrzewanie, stratę, transformację? Kto jeszcze potrafi zorganizować rytuał, w którym można płakać, przejść przez ból i wyjść po drugiej stronie, nie czując się śmiesznym? Kościół jest zajęty podlizywaniem się skrajnej prawicy, terapeuta za drogi, babcia nie ma już siły, a szkoła uczy co najwyżej, jak zdać maturę z rozszerzonej biologii. Został TikTok. I Sia.

Więc może spójrzmy z miłością na tę potrzebę wyrażenia siebie. Bo to, co widzimy, to nie tylko żebanie o lajki – to autentyczna próba odzyskania rytuału, choćby na ścieżce dźwiękowej. Takiej, która pozwoli powiedzieć: „Wyszłam z tego” bez słów i da ciemuś cierpieniu początek, kulminację i zakończenie – jak w każdej porządnej opowieści. A tym samym ulgę, która przychodzi, gdy uświadamiasz sobie, że to, co czujesz, ktoś już kiedyś też czuł – i przeżył.

W tym sensie nie ma w tym kiczu – jest rytuał emocjonalnego samonazwania. Jeden utwór, tysiące historii, które różnią się wszystkim poza tą melodią, co spaja je w jedno wielkie: „Ja też tak miałam”. To nie banal – to muzyczna wersja communitas. I to jest piękne.

Więc jeśli następnym razem zobaczysz kogoś, kto przy muzyce Sii pokazuje swoje blizny, metamorfozę albo pierwszy uśmiech po roku ciszy – nie kpij. To nowa liturgia, a Sia jest naszą popową Hildegardą z Bingen. To rytualizacja bez fizycznej wspólnoty, msza bez ołtarza, święto bez święta. Ale to też jakaś próba ocalenia sensu. Bo rytuał nie musi być starożytny – musi być powtarzalny, rozpoznawalny i strukturalny. A ten tiktokowy taki jest. ●

Mateusz Mazzini

Ale naprawdę musicie jechać akurat tam? A jak się wam coś stanie? Po co się pakować w takie niebezpieczeństwo?

Jako reporter jestem przyzwyczajony do tego, że przyjaciele, współpracownicy i rodzina kwestionują czasem mój zdrowy rozsądek, ale tym razem moralna panika w związku z niewinnym wyjazdem wakacyjnym, przebiła sufit.

Nawet ulamka tego niepokoju nie wywołał ani mój udział w obchodach urodzin Mussoliniego w roli polsko-włoskiego neofaszysty, ani jazda autostopem po Urugwaju czy nawet eksplorowanie neapolitańskich przedmieść pod okiem nigeryjskiej mafii.

A przecież tylko zamierzałem spędzić urlop w kraju, który nigdy w historii nie uczestniczył w żadnej wojnie. Tylko ma pecha, bo leży w części świata dzisiaj kojarzącej się z wojną, terroryzmem i uprawianiem polityki za pomocą dużych i małych wybuchów.

40 stopni od rana, ale taniej niż w stolicy

Oman jako niepodległe państwo przyszedł na świat w 1951 roku, wychodząc z brzucha upadającego Imperium Brytyjskiego. Historię – rzecz jasna – ma znacznie bogatszą niż niecałe osiem dekad niepodległości – i to dzięki niej oraz ładnym górcom, które spadają do morza jest miejscem bardziej interesującym od swoich sąsiadów.

To państwo muzułmańskie, z prawem szariat, ale tutejszy islam niewiele ma wspólnego z okolicznym radykalnym, nieznoszącym sprzeciwu wahhabizmem – islamem pustyni, który dominuje w Arabii Saudyjskiej. W Rijadzie długie brody i kobiety zredukowane do oczu, a w Maskacie nie zdenerwują się, gdy włosy wyleją się spod szalika nawet w meczecie.

A turystkom z Europy wybaczą wszystko, nawet stringi od stroju kąpielowego. Hotelowe baseny traktowane są eksterytorialnie.

Polacy zaczynają odkrywać Sułtanat Omanu, bo tak formalnie nazywa się ten kraj, i to nie tylko jako tzw. destynację. Coraz więcej agencji nieruchomości reklamuje go jako doskonałe miejsce do ucieczki – przed Putinem, zimnem, a nawet przed warszawskim rynkiem mieszkaniowym. Średnia cena za metr kwadratowy w Maskacie, położonej nad Zatoką Omańską stolicy kraju, wynosi ok. 3 tys. euro, domy wykończone pod klucz można kupić za równowartość 1,5 mln złotych.

Okolica może nie będzie idealna. Latem klimatyzacja chodzi na okrągło, bo już przed 9. rano temperatura przebija 40 stopni C, ale Polacy coraz częściej są w stanie się na to zgodzić, byle nie nabijać portfeli rodzimym deweloperom.

Komary z wirusem Zika, Netanjahu i Iran

To kierunek powoli eksplorowany, ale wciąż nie mainstreamowy i do tego bliskowschodni. A w nadwysłańskiej świadomości wciąż dominuje pogląd, że nie można pojechać na Półwysep Arabski i nie paść ofiarą terroryzmu, lub jakiejś egzotycznej choroby.

Znajomi pytają więc mnie i żonę, a co ze szczepieniami, bo zaszczepić się trzeba na wszystko, od febrы i dengi po dur brzuszny. Uczymy się też na pamięć nazwy *Aedes aegypti* – gatunek komara, który przenosi wirus Zika – by złagodzić zarzuty, że taki wyjazd w siódmym miesiącu ciąży to ryzyko śmiertelne.

Prawda jest taka że Sułtanat Omanu żadnego przypadku Ziki nigdy nie odnotował, czasem widuje się *Aedes aegypti* na dalekim południu, przy granicy z Jemenem, ale opracowania naukowe donoszą, że komary omańskie są jakieś chlerlawe, bo „nie są w stanie zapewnić transmisji wirusa”.

I kiedy już machamy niedowiarkom przed oczami zezwoleniem na podróż od lekarza, to Bibi Netanjahu przypomina sobie, jak bardzo nienawidzi ajatollahów i że musi uciekać do przodu, bo inaczej go skrajna prawica oraz wymiar sprawiedliwości wezmą na widły. Izraelsko-amerykańskie bomby spadają na Teheran.

Na nic apele, żeby rodzina spojrziała na mapę. Z Maskatu do Teheranu jest w linii prostej 1500 km, samolotem ponad dwie godziny, odległość większa niż między Warszawą a np. Charkowem. Nawet, jak Izrael będzie w ajatollahów tłukł dzień i noc, to w Maskacie nawet fajerwerków na nocnym niebie nie zobaczymy, w końcu z balkonu w Warszawie też nie widzimy, jak Rosjanie bombardują ukraińskie blokowiska.

Co jakiś czas pada argument *ad atomum*, a co będzie, jak Bibi walnie swoim? Fakt, Bibi już idzie na całość... Próbuje żartować, że grzyb atomowy to dla reportera gratka do opisanego, ale szybko się orientuję, że żart nie siada, zwłaszcza przy żonie w ciąży.



W OMANIE SZARIAT, ale stringi wybaczają

Agencje nieruchomości polecają ten kraj na drugim końcu świata jako doskonałe miejsce do ucieczki – przed Putinem, zimnym deszczem i warszawskim rynkiem mieszkaniowym.

Odpalam więc argument geopolityczny. Oman jest prawie neutralny, z żadnym państwem Zatoki Perskiej wojny nie toczył, dlatego ani Iran, ani Izrael raczej strzelać w naszym kierunku nie będą. Nawet baz amerykańskich tu nie ma, w przeciwieństwie do takiego Kataru czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich – czyli nawet rykoszet w chłopców Trumpa nie jest prawdopodobny.

W 2023 r. zagnieżdżyć się tu próbowali Chińczycy i byli nawet gotowi zbudować bazę – to ciekawe, bo oni baz, poza własnym podwórkiem raczej nie budują. Mają jedną w Dżibuti. Wolą przejmować kontrolę nad portami, które sami budują, pożyczając lokalnym liderom pieniądze, których ci nie mają szansy im oddać. Chińska doktryna wojskowa to w ogóle z zachodniego punktu widzenia jakaś anomalia, bo

Xi Jinping woli świat zapraszać do siebie, niż sam się do świata wpychać, jak Amerykanie czy Brytyjczycy. Baz nie buduje, ale za to trzy czwarte państw Afryki swoich policjantów szkoliło właśnie w Chinach, chińskimi metodami i na chińskim sprzęcie.

Wiceminister strzela do mnie z biodra

Jeszcze wakacji nie zacząłem, a już gotów jestem, dla świętego spokoju, je odwołać, bo Netanjahu dalej wali w Teheran, a kolejne państwa zamykają przestrzeń powietrzną.

Przy czym „kolejne państwa” to: Izrael, Syria, Irak i Iran. Dla naszej podróży nie ma większego znaczenia, może nam tylko wydłużyć lot o godzinę. Zamiast po skosie przez półwysep, musimy lecieć nad Egiptem, potem w lewo pod Synajem, żeby o Izrael nie zacząć, i godzinami nad pustynną Arabią Saudyjską.

Wtedy nagle najbliżsi zyskują potężnego sojusznika: Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaczyna ewakuować rodaków z Izraela. Paweł Wroński, dziś rzeźnik resortu, a niedawno flagowy autor „Wyborczej”, w tejrę „Wyborczej” mówi, że „zanosi się na dłuższą zawieruchę na Bliskim Wschodzie”, a ja czuję, że mnie własna gazeta zdradza w walce o spokojny urlop.

Potem jeszcze wiceminister Teofil Bartoszewski strzela z biodra jak rewolwerowiec, że jeśli ktoś jedzie w ten region, to na własną odpowiedzialność. I daje



Do Omanu na wakacje

Najważniejsze dla turystów miasta w Omanie i lokalizacje głównych lotnisk obsługujących połączenia z Europy



© GAZETA WYBORCZA

moim bliskim do zrozumienia, że jeśli wsiądę do samolotu, to będę po prostu debilem.

Karnie rejestruję się więc w systemie MSZ „Odyseusz” i oglądam konferencję Trumpa, który precyzyjnie mówi, że do wojny się dołączy albo i nie dołączy.

Jak w wiktoriańskim romansie

– Czym państwo przylecieliście? Oman Air? I opóźnienie? No niebawale, nigdy się to nie zdarza. Jakby były Turkish Airlines, to oni tak zawsze z dwie godziny po czasie. Ale nasze, krajowe linie? Bardzo mi przykro, straszny wstyd.

Kierowca wyrывa mi walizkę z ręki, żebym przypadkiem tych kilku metrów sam nie dzwigał bagażu. To będzie motyw przewodni. Uprzejmych pracowników sektora turystycznego spotyka się na całym świecie, ale w Omanie, to już nie jest uprzejmość – przez cały pobyt sam sobie krzesła od stolika nie odsunę, a kiedy o coś proszę, obsługa natychmiast odpowiada: *Certainly, sir* – jakbym żywcem wszedł do książek Orwella albo wiktoriańskich romansów, tak bardzo tu czuć jeszcze czasy kolonialnego imperium.

Suniemy do hotelu idealnie gładkim asfaltem wielopasmowej ekspresówki, a ja się orientuję, że sam ulegam panice moralnej. Ledwo łapię wi-fi w terminalu na lotnisku, a już nerwowo scrolluję CNN i BBC, żeby sprawdzić, czy jakiś izraelski pocisk lub irański ładunek odwetowy nie zaplątał się nad Omanem.

Brytyjek w stringach inwazja na basen

Wybierającym się do Omanu instytucje publiczne i przewodniki turystyczne wtłaczają do głowy, że szariat to prawo, a nie wymysł czy legenda, więc trzeba uważać na każdym kroku.

Czytałem jeszcze w Polsce, że za rękę trzymać kobiety nie powinienem, nie mówiąc o pocałunkach czy innych formach okazywania czułości w miejscu publicznym. Jak zawsze pierwszym polem zderzenia cywilizacji jest hotelowy basen – i codziennie rzeczywistość funduje mi tu takie obrazki, że Samuel P. Huntington by zwariował. Z jednej strony te różnice cywilizacji naprawdę się ostro zarysowują, a z drugiej – nawet jak się zderzą ze sobą, to się nic nie dzieje.

Nic nie wybucha, nikt się nie oburza, nie ma wojny kulturowej, tylko, parafrazując Benjamina Barbera, Dżihad sobie spokojnie z McŚwiatem w jednym hotelu odpoczywa. Europejki biorą basen szturmem w strojach bardziej skąpych, niż widziałem gdziekolwiek na Starym Kontynencie. Brytyjka wskazuje do wody w mikroskopijnym bikini dokładnie wtedy, kiedy obok jej leżaka przechodzi kobieta w nikabie, od stóp do głów zakryta czarną tkaniną.

▼ **Maskat, stolica Omanu. Widok na jedną z głównych turystycznych atrakcji miasta – nadmorską dzielnicę Matrah**

FOT. TUUL & BRUNO MORANDI/GETTY IMAGES

Potem spotkam ją jeszcze w hotelu kilka razy – tu się narażę na polityczną niepoprawność, nawet przez moc kulturową, ale cóż, oczu nie mogłem oderwać, kiedy ona podnosiła skrawek tkaniny, żeby napić się zimnej coca-coli, gimnastykując się, żeby nie oblać ani nikabu ani torebki od Diora.

Zderzenie cywilizacji przy obiedzie

Drugi basen to jeszcze ciekawsze starcie kulturowe, bo upodobali go sobie Francuzi i Włosi, z obsługą komunikujący się fragmentarycznym angielskim. Francuz, czarnoskóry, dobrze zbudowany, zabawia dwie koleżanki w strojach skąpych, jak te Brytyjek z basenu wcześniej – i ewidentnie ma gest, bo mówi kelnerowi, że wszystko co zamawia, to na jego rachunek.

A zamawia drinka za drinkiem, słyszę tylko: *one more spicy margarita for the lady*. Kelner, pochodzący z Indii, uwija się jak w ukropie. Puste stożkowe kieliszki będą stać wzdłuż basenu, jak sportowe trofea.

Współpraca pomiędzy Francuzem a kelnerem układa się wzorowo aż do chwili, kiedy ten zażyczy sobie, żeby mu do leżaka podać wieprzowinę. I tu się pojawia problem, chociaż inny, niż wszyscy myślą.

Kelner odmawia, mówi, że nie mają. Francuz się wnerwia. Przeczuwam religijne tło niedoboru, lecz kelner wyjaśnia, że restauracja przy basenie nie serwuje takich posiłków, ale już w środku, przy stoliku, jak najbardziej. Francuz wychodzi z basenu, wyciera się i spokojnie idzie do hotelowej knajpy. Cywilizacje znowu się zderzyły i absolutnie nic się nie wydarzyło.

Przyjemnie się w tym hotelowym basenie siedzi, dni mijają na czytaniu książek i odpisywaniu znajomym i rodzinie, że nic nam nie grozi, nawet po tym, jak Trump zdecydował się zbombardować irańskie wirówki. Ale najcieplejsza woda i najciekawsze książki mogą się człowiekowi jednak znudzić, a z Omanem podstołecznym problem jest taki, że jak ktoś nie lubi hotelowo-basenowego wywczasu, to poza nurkowaniem z pólwiami niewiele jest tam do roboty.

Na pewno nie można uprawiać tam turystyki europejskiej, zabytkowo-kawiarnianej, gdzie chodzi się

Na pewno nie można uprawiać tam turystyki europejskiej, zabytkowo-kawiarnianej, gdzie chodzi się od budynku do budynku, z przystankiem na zakupy czy przekąskę

od budynku do budynku, z przystankiem na zakupy czy przekąskę. Bo ani takich budynków wielu nie ma, ani kawiarni – nie mówiąc o tym, że po Maskacie, tak samo jak po innych bliskowschodnich metropoliach, nie sposób przemieszczać się piechotą.

Ostatnia pocztówka z tankowcem

Hotelowa monotonia przelamywana oglądaniem BBC i obserwowaniem huntingtonowskich teorii w praktyce, w końcu nas przygniata, więc jedziemy do Maskatu. Pani z hotelowej obsługi organizuje transport i zapewnia, że na Maskat to cztery godziny wystarczą. Trochę się dziwię, przed wyjazdem pytałem paru dziennikarzy z różnych krajów i wszyscy wspominali, że na tle innych miast w regionie stolica Omanu „ma duszę” i że „nieźle się tu mieszka”.

Szybko się okazuje się, że rację miała pani z hotelu. Maskat jest co najwyżej dobrym portem wypadowym do pracy w regionie, kiedy ma się legitymację prasową dużej, najlepiej anglosaskiej redakcji.

Omańskie dziennikarstwo, owszem, istnieje. Hotel regularnie zaopatruje nas w „Times of Oman” – gazetę wydawaną w brytyjskim stylu, płachtę wielką jak „The Financial Times”. Czytam ją do kawy prawie codziennie, by dowiedzieć się, jak rosną przychody z inwestycji, jak doskonale idzie wdrażanie sztucznej inteligencji do miejscowej gospodarki itp. i myślę sobie, że nawet „Trybuna Ludu”, z czasów największego odzicia reżimowi, nie świeciła takim przykładem wierności wobec władzy.

Więc śmigamy pustawą autostradą, widoczki na skały spadające do zatoki piękne, ale takie same mamy z hotelowego okna, i trochę się zastanawiamy, po co nam to było. Przewodnik pyta, co chcielibyśmy zobaczyć, a my z otwartymi ramionami mówimy, że „to, co najciekawsze, niech pan coś poleci”.

No to wiezie nas pod popularną, choć dzisiaj pustą kawiarnię na nabrzeżu. Wysiadamy tylko po to, żeby zrobić zdjęcie – dzięki czemu w tle udaje mi się złapać tankowiec. Wtedy całkiem realne było, że Iran zamknie cieśninę Ormuz, którą przepływa jedna piąta światowego zapotrzebowania na ropę naftową. A ja się cieszyłem, bo jeśli to był ostatni tankowiec w Zatoce Omańskiej, to połączeń prywatne przyjemne z zawodowym pożytecznym i zrobię z niego pocztówkę.

Przy daktylach o Proroku

Aż docieramy do Wielkiego Meczetu Sultana Kabusa ibn Sa’ida. Świątynia piękna, ogromna, nawet 20 tys. wiernych się tu modli. „Ale nie teraz, proszę pana, w zimie – przewodnik ociera pot z czoła – te 20 tys. to razem z miejscami na zewnątrz, jak się siedzi wokół meczetu”. I zasypuje nas danymi, ile kosztował, ile lat budowany, jak cudowny był sultan, że tyle wysiłku włożył w budowę.

I byłoby to bardzo turystyczne, gdyby podstępem nie zaprowadził nas do centrum kultury islamskiej, gdzie oddał nas w ręce kobiet będących żywą reklamą islamu. Nikt nie pyta, czy chcemy i sadzają nas na poduszkach, podają kawę z kardamonem, daktyle i ciastka, a pani kierowniczką rozpoczyna wykład o cudownych zaletach religii proroka Mahometa.

„11 września, zamach na »Charlie Hebdo«, terroryzm – to wszystko polityka. Prawdziwy islam nie ma nic wspólnego z polityką. Islam to nauka, dochodzenie do prawdy i szacunek dla bliźniego, zwłaszcza dla kobiet” – mówi kierowniczką, nalewając kolejną filiżankę kawy. Nawet gdybym chciał polemizować, to pewnie nie dałaby mi dojść do głosu, więc taktycznie milczę, żując daktyle i robiąc w głowie notatki.

A kierowniczką kontynuuje, że cała współczesna nauka wywodzi się z islamu. Do niej regularnie przyjeżdżają naukowcy, którzy są sceptyczni wobec religii, ale po rozmowie natychmiast przyjmują wiarę muzułmańską. Kiwam głową. Już szykujemy się do wyjścia, kiedy wypowiada bodaj najdziwniejszą kwestię. „Wy, tam, na Zachodzie, daleście kobietom prawa dopiero po 1945 roku. U nas, w islamie, kobiety mają prawa od 1500 lat”.

Wracamy do hotelu, chłodzimy się w klimatyzowanym pokoju, korzystając z, dostępnego już tylko poza Unią Europejską, wglądu w antyzachodni ekosystem informacyjny. Dla równowagi dietę z BBC i CNN uzupełniamy Russia Today, dostępną w dwóch wersjach językowych: arabskiej i angielskiej.

Gdy w kanałach zachodnich trwają analizy amerykańskich bombardowań, u Rosjan toczy się wielogodzinny talk-show skupiony na wysmiewaniu Zachodu. CNN pokazuje zdjęcia satelitarne z Iranu, RT – memy z Keirem Starmerem. BBC pyta ekspertów, czy Teheran zablokuje cieśninę Ormuz, w RT kontynuują festiwal nazywania Trumpa „liderem upadającego mocarstwa”.

Cywilizacje się znowu ścierają – i znowu nic z tego nie wynika. ●

Czy gdyby więcej mężczyzn sięgało po literaturę, całe społeczeństwo byłoby wrażliwsze, bardziej samoświadome i mniej autodestrukcyjne?

Joseph Bernstein
The New York Times

Organizując pierwsze spotkanie swojego klubu książkowego dla mężczyzn, Yahdon Israel, 35-letni redaktor w nowojorskim wydawnictwie Simon & Schuster, poprosił uczestników o przyniesienie ulubionego dzieła literatury pięknej. Nie wszyscy wykonali to zadanie.

Ktoś przyniósł „Strażników” Alana Moore’a, powieść graficzną. Technicznie rzecz biorąc – prawidłowo. Inny przeskakał swoje regały i zdał sobie sprawę, że nie posiada ani jednej powieści czy nawet zbioru opowiadań. Przyszedł więc na spotkanie z książką non-fiction o inteligencji emocjonalnej. Spośród siedmiu klubowiczów – wszyscy z pokolenia milenialsów – tylko dwaj stawili się z powieściami: były to „True Grit” Charlesa Portisa (dwukrotnie zekranizowana, raz z Johnem Wayne’em, drugi raz przez braci Coen) oraz „Odruch serca” Toni Morrison.

Yahdon Israel, który ma dziesięcioletnie doświadczenie w prowadzeniu book klubów, założył tę grupę w grudniu ubiegłego roku, w ramach potrzebnych jego zdaniem starań o zainspirowanie młodych mężczyzn do regularnego sięgania po literaturę piękną. Członków klubu pozyskał za pośrednictwem mediów społecznościowych.

Na drugie spotkanie zadał im do czytania zbiór dziewięciu opowiadań Jamela Brinkleya „A Lucky Man”, których wspólnym mianownikiem jest zmieniający się model współczesnej męskości.

Dyskusja trwała ponad dwie godziny. Następnego dnia Israel miał nagły atak paniki. Kilka dni później zdiagnozowano u niego objawy depresji.

Od tego czasu spędził miesiące zmagając się z bolesnymi wnioskami na własny temat, które wynikły z dyskusji: o tym, jak toksyczna męskość zaszkodziła jego własnemu małżeństwu, a zwłaszcza idea, że prawdziwi mężczyźni nie dzielą się emocjami. To było – jak mówi – „objawienie jak podczas pierwszej lektury Jamesa Joyce’a”; coś się w nim odblokowało w czasie tamtej klubowej rozmowy.

I chociaż początkowo zamierzał dzięki klubowi ułatwić innym kontakt z dobrą literaturą, szybko zdał sobie sprawę, że istnieje głębszy powód. „Robię to, ponieważ sam tego potrzebuję” – mówi.

Fatalne skutki nieczytania dla demokracji

Podobnie jak wielu amerykańskich mężczyzn – przynajmniej sądząc po ożywionej debacie toczącej się na forach pod artykułami prasowymi, na platformach mediów społecznościowych i generalnie w świecie wydawniczym.

Figura literackiego czytelnika płci męskiej w ostatnich dekadach była na przemian wykiwana za podejrzany snobizm – jak w przypadku miłośników „Nieskończonego żartu”, wielkiej cegły Davida Foster Wallace’a – lub przesadnie fetyszyzowana – tu przykładem niezwykle popularny instagramowy trend pod hasłem „Hot Dudes Reading”. Obecnie czytający beletrystykę faceci to gatunek na wymarcie, co z wielu powodów powinno nas niepokoić.



The New York Times:

FACECI, KTÓRZY PRZESTALI CZYTAĆ POWIEŚCI

Zalew tekstów w mediach, które analityzują lub pośrednio dotyczą „kryzysu męskości” wiąże fakt, że Amerykanie czytają mniej powieści, z wieloma problemami społecznymi, włącznie z fatalnymi skutkami dla samej amerykańskiej demokracji. Ich teza w skrócie: gdyby więcej mężczyzn czytało, Ameryka byłaby zdrowszym krajem, bo jej społeczeństwo byłoby wrażliwsze, bardziej samoświadome i mniej autodestrukcyjne. W sytuacji, gdy coraz więcej mężczyzn wypełnia swój czas wolny prymitywnymi talk shows z „manosfery”, hazardem online i uzależniającymi grami wideo, skromna, staroświecka powieść – konsumowana w samotności, wymagająca skupienia i cierpliwości – faktycznie może wydawać się receptą na masę problemów. Ale dlaczego właściwie widok mężczyzn sięgającego po książkę w metrze do pracy przestał być czymś prozaicznym?

Mężczyźni nie są już trendsetterami
Jack Kyono, asystent kierownika w McNally Jackson, nowojorskiej sieci księgarskiej, ma własną opinię na ten temat.

„Tylko jednego popołudnia, przechadzając się między regałami w jednej z naszych filii w SoHo, można zauważyć, że turyści z Europy przeglądają inne książki niż starsi Amerykanie, a ci z kolei kupują inne książki niż młodzi. Ale jedno dotyczy wszystkich: jeśli chodzi o czytanie beletrystyki, heteroseksualni mężczyźni nie są już trendsetterami, tylko naśladowcami. Owszem, mogą sięgnąć po powieść Sally Rooney [irlandzka gwiazda pokolenia 30-latków] czy Oceana Vuonga [wietnamsko-amerykański pisarz, buddysta i gej], ale dopiero wtedy, gdy zainteresowanie publiczności złożonej głównie z kobiet i osób queer uczyni te nazwiska gorącymi, a ich książki – jazdą obowiązkową kulturalnego człowieka z aspiracjami do bycia na czasie”.

Kyono zauważa inne prawidłowości: „Kiedy do księgarni wchodzi grupa kobiet, często przeglądają książki razem, wskazując te, które przeczytały i sugerując je znajomym – to doceniana przez księgarzy praktyka, którą nazywamy ‘handsell’. Tymczasem mężczyźni, nawet jeśli wpadają w grupie, zazwyczaj szybko się rozdzielają i przeglądają nowości w pojedynkę”.

Co ich przyciąga? Kyono wskazuje sekcję z science fiction i fantasy, gdzie półki uginają się pod wieloczęściowymi seriami o tytułach w rodzaju „Iron Gold” czy „Light Bringer”. Nieprzypadkowo jest usytuowana tuż obok amerykańskiej klasyki, gdzie pod literami od F do K można znaleźć, jak ujmuje to 27-letni Kyono, „amerykański program lektur szkolnych”: Faulknera, Hemingwaya, Hellera, Kerouaca. „To jest zakątek dla facetów” – mówi.

Oczywiście, dodaje, nadal istnieje typ wielkomięjskiego czytelnika, który szpera w dziale z przekładami, długimi, ambitnymi powieściami czeskich, rumuńskich i austriackich pisarzy, dzięki którym względnie niewielkim kosztem można zabłysnąć w aspirującym towarzystwie.

Duchowość, czyli rodzaj fikcji
Ale klientami księgarni są głównie kobiety. Spróbowałem wybać, co do McNally Jackson przyciągnęło tych kilku mężczyzn, których tam zobaczyłem. Daniel Schreiner, lat 38, to fan gwiazdy fantasy Brandona Sandersona. Louis Nunez, lat 41, wyznał, że nie czyta beletrystyki, woli książki non-fiction związane z duchowością. „No, ale dla niektórych ludzi duchowość to jest rodzaj fikcji, nie?” – powiedział.

Był tam jeszcze na oko 40-latek z japońską powieścią w ręku – Bob Ryan, który okazał się wykładowcą literatury w college’u. Mówi:

„Mam coraz mniej młodych mężczyzn na kursach, tłumaczą mi, że ‘nie widzą korzyści’ płynących z czytania powieści. Są bardziej zainteresowani książkami, których lektura niesie konkretne zastosowania w ich dziedzinach”.

Najbardziej wyeksponowany regał księgarni wypełniają „ulubione książki klientów”. Tutaj pastelowe kolory dominujące na okładkach jednoznacznie wskazują, co „się czyta”: obyczajowe serie Carley Fortune czy Sarah J. Maas. To dotyczy nie tylko księgarni: większość marketingu wydawniczego jest skierowana do kobiet, w każdym wieku i z różnych klas społecznych. Mogą one wybierać między celebryckimi klubami książki, od prowadzonych przez Oprah Winfrey czy Reese Witherspoon, po firmowane przez Dua Lipę i Kaię Gerber. W zasadzie jedynym męskim propagatorem czytania pozostaje były prezydent Barack Obama, który konsekwentnie co roku publikuje listę swoich ulubionych książek. #BookTok, ogromna społeczność na TikToku, jest w dużej mierze zagospodarowana przez kobiety polecające książki innych kobiet.

Wykładowca w college’u: – Studenci tłumaczą mi, że „nie widzą korzyści” płynących z czytania powieści. Wolą książki, których lektura niesie konkretne zastosowania w ich dziedzinach

Wszelkie wyjątki tylko potwierdzają regułę. Jednym z nich jest C.J. Box – autor serii o strażniku parku Yellowstone, który rozwiązuje zagadki kolejnych morderstw – skutecznie poszerzył swoją publiczność o młodszych mężczyzn, występując w serii podcastów na temat polowań, wędkarstwa i innych związanych z dziką naturą. Ale powieściopisarze z górnej półki – tacy, którzy zapelniają listy nominacji do prestiżowych nagród – raczej nie potrafią wychodzić poza swoją bańkę, przynajmniej nie w mediach społecznościowych.

Dopieszczanie męskiego czytelnika? Droga do kiczu
Jedno z popularnych wyjaśnień: mężczyźni nie czytają literatury pięknej, ponieważ tematyka poruszana przez współczesną beletrystykę nie interesuje mężczyzn. Jordan Castro, powieściopisarz, którego książki opowiadają o sfrustrowanych mężczyznach, napisał mi w mailu, że „ogólny ton i etykieta świata literackiego są z pewnością wrogie męskiej ekspresji”. Tak tłumaczą to także założyciele Conduit Books, niezależnej oficyny, która zadebiutowała w tym roku i chce skupić się na książkach męskich autorów, którzy zajmują się „przeoczonymi” przez mainstream tematami, jak „ojcostwo, męskie doświadczenia klasy robotniczej, relacje z kobietami oraz rola mężczyzny we współczesnym społeczeństwie”.

Przez kilka powojennych dekad amerykańska literatura była faktycznie zdominowana przez mężczyzn piszących z męskiej perspektywy o głównie męskim doświadczeniu.

Ale nie zawsze tak było. W XIX w. najpopularniejsze powieści były pisane przez kobiety dla żeńskiej publiczności. Z tym że „ich produkcja była uznawana za rozrywkę niskich lotów, dominował nurt sentymentalno-dydaktyczny, historie cnotliwych bohatererek miały wskazywać właściwe moralnie postępowanie” – mówi mi Dan Sinykin, profesor języka angielskiego na Uniwersytecie Emory i autor książki „Big Fic-

tion: How Conglomeration Changed the Publishing Industry and American Literature”. W 1855 r. Nathaniel Hawthorne opisywał amerykański krajobraz wydawniczy jako „przekłętą tłum bazgrzących kobiet” i utyskiwał, że „nie ma szans na sukces, dopóki publiczny gust jest definiowany przez ich bzdury”.

Sto lat później sprawy wyglądały już zgoła inaczej, branża wydawnicza stała się „klubem dla ambitnych chłopców”, jak ujmuje to Sinykin. A jakość formy literackiej była ceniona znacznie bardziej, niż jakkolwiek instruktorywna treść. Ale począwszy od lat 80. nowe pokolenie kobiet zaczęło stopniowo dominować branżę wydawniczą. Efektem „feminizacji” tej branży, jak ujmuje to Sinykin, jest dziś biznes, który „z góry zakłada, że jego główną grupa docelową są białe kobiety w wie-

strzeń dla męskich czytelników – wydaje się ogromnym uproszczeniem. Yahdon Israel celowo nie umieścił słowa „męski” w nazwie swojego klubu. Nazywał go „The Fiction Revival” (Odrodzenie fikcji), aby podkreślić, że istnieje pewien rodzaj doświadczenia czytelniczego, który wymaga reanimacji. Max Lawton, tłumacz wielu europejskich powieści, uważa, że „figura męskiego czytelnika”, który interesuje się tylko stereotypowo męskimi tematami i surową prozą, to jest absurdałna klisza. „Bycie czytelnikiem to nie system dwupartyjny – możesz zawsze czytać, co chcesz” – mówi. Pisarz Jordan Castro dodaje: „Resentment, który prowadzi do pisania pod potrzeby jakiejś wyobrażonej ‘męskiej’ tożsamości kosztem wartości literackiej, to zwykły kicz”.

Kto nie czyta, sam się krzywdzi
Za to realnym wyzwaniem jest „ekonomia uwagi” konkurująca o wolny czas wszystkich, nie tylko mężczyzn. Cyfrowa rewolucja oferuje niemal nieograniczony dostęp do wszelkich form rozrywki. „Naszą konkurencją nie są inni wydawcy” – mówi Sean Manning z Simon & Schuster – „tylko media społecznościowe, gry online, streaming – wszystko, co walczy o czas, uwagę i zasoby finansowe ludzi”. Czy branży pomoże, gdy mężczyźni zaczną czytać więcej? Manning: „Mniej-sza o wpływy branży, społeczne korzyścią płynące z czytania są bezcenne. To problem, jeśli ktoś nie korzysta z tak niesamowitego medium jak literatura. Ludzie sami wyrządzają sobie w ten sposób krzywdę”.

Manning stara się, aby jego katalog był dostępniejszy dla różnych odbiorców. Zlecił Taylorowi Sheridanowi, uznanemu współtwórcy serialu „Yellowstone” i filmu „Sicario”, popularnych wśród męskiej widowni, napisanie wstępu do nowego wydania klasycznego westernu Larry’ego McMurtry’ego „Lonesome Dove”.

A perkusistę Metalliki Larsa Ulricha namówił do napisania wprowadzenia do „Screwjack” Huntera S. Thompsona. Manningowi pewnie spodobałby się klub książki założony trzy lata temu przez Andy’ego Spackmana w Lawrence w Kanadzie. 46-letni Spackman, pracownik budowlany czuł, że nie ma z kim rozmawiać o sprawach na serio i że klub książki może być dobrym sposobem na nawiązanie ciekawszych relacji z dobrymi skądinąd kolegami. „Często widzę kobiety robiące razem różne rzeczy i dostrzegam dobry wpływ tych interakcji” – tłumaczy. Jego klub ma już na koncie rozmowy o m.in. „Krwawym południku” Cormaca McCarthy’ego, ale też powieści Donny Tartt czy Jamesa McBride’a. Spackman uważa, że analizowanie pomysłów zawartych w tych książkach doprowadziło do nawiązania porozumienia o takiej głębi i intymności, którego nigdy dotąd nie uzyskał z innymi mężczyznami, i o którym nie ma mowy, gdy po prostu spędzą się wspólnie czas w barze. „Z tym że – żeby nie było niedomówień – w naszym klubie książki jest dozwolony alkohol”. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski
© 2025 The New York Times Company
Tytuł i śródtytuły od redakcji.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymiśławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:

reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Koncert NA 7 TYSIĘCY PISZCZAŁEK

Spotkałem najszczęśliwszego człowieka na świecie.
Jest Polakiem. I organistą w Paryżu.



Karol Mossakowski:
„Moim zadaniem jest pielęgnować dobytek tego miejsca, spuściznę poprzedników i dawać coś od siebie”

Wojciech Szot

Irzydziestodwuletni organista z Polski mianowany organistą tytularnym Wielkich Organów Saint-Sulpice w Paryżu – w 2023 r. pisał „Le Figaro”. Karola Mossakowskiego dziennik nazwał „Chopinem francuskich organów”.

Z czasów, gdy w rodzinnej mieścinie chodziłem do kościoła, pamiętam skrzeczący dźwięk organów i słabutki głos organistki. Zawsze w tonacji, która nie pozwalała na wspólny śpiew.

W dodatku Francja kojarzy mi się z krajem tylko pozornie otwartym na obcokrajowców. A w głowie dzwięczy zdanie wypowiedziane przez Jana Pawła II: „Francjo, najstarsza córo Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?”.

Dlatego Karol Mossakowski mnie ciekawi.

Piszę do niego; odpisuje szybko, zaprasza do kościoła. Poznam najszczęśliwszego człowieka na świecie.

Żadne organy tak nie wyglądają

Pod potężną, neoklasyczną fasadą kościoła kłębi się tłum, który przechodzi w imponującą kolejkę. Obo-

wiążują zaproszenia. Panuje radosny nastrój, choć stroje zdradzają, że to specjalna okazja.

Mossakowski wita mnie przy jednym z bocznych wejść. Uśmiechnięty, energiczny, romantycznie rozczochrany trzydziestolatek. Na pytania odpowiada, zanim skończę je zadawać.

– Mamy bierzmowanie, dlatego te zaproszenia – mówi i prowadzi na środek kościoła. Stąd najlepiej widać imponujące, ciężkie i ciemne Wielkie Organy Saint-Sulpice.

Mossakowskiemu tłum nie przeszkadza. Widać, że jest u siebie. – Jeśli ktoś gra na organach, nieważne w jakiej części świata, gdy pokażesz mu ten widok, będzie wiedział, gdzie jesteśmy – mówi, patrząc na prospekt organowy.

Organy to niezwykle skomplikowany instrument, a większość z nas widzi zaledwie ich fragment, czyli prospekt organowy.

Prospekt składa się z pogrupowanych według wielkości i ciężaru piszczałek oraz obudowy. Najbardziej wyrazistym jego elementem jest elewacja szafy zakrywającej mechanizmy organów.

Prospekt w Saint-Sulpice powstał w 1777 roku i jest dziełem Jeana Chalgrina, architekta najbardziej znanego jako projektant paryskiego Łuku Triumfalnego. Jesteśmy zatem w królestwie neoklasycyzmu.





• Imponujące
Wielkie Organy
kościelne
Saint-Sulpice
w Paryżu

– Żadne organy tak nie wyglądają – mówi Mossakowski. – Prospekty kojarzą się nam z barokowym przeładownianiem, a tu mamy już neoklasyczny spokój – opowiada.

Nieortodoksyjna jest również ikonografia. Całość wygląda jak fronton greckiej świątyni. Nad wielkim zegarem Chalgrin umieścił grającego na harfie króla Dawida, któremu towarzyszą wyrzeźbione „w greckim stylu” kobiety trzymające instrumenty. I choć prospekt cieszy oczy, to ważniejszy jest mechanizm, który skrywa. I to, kogo zakrywa.

Dzieło życia Cavaillé-Colla

Organy w Saint-Sulpice zaprojektował w XVIII wieku François-Henri Clicquot, ale ich legendy nie byłoby bez Aristida Cavaillé-Colla.

Ten żyjący niemal przez cały XIX wiek organmistrz, czyli budowniczy organów, uważany jest za jednego z najwybitniejszych w swoim fachu w całej historii muzyki organowej. Jego innowacje umożliwiły organom wydobyć bardziej ekspresyjnych dźwięków, dzięki którym mogły one imitować brzmienie orkiestry symfonicznej. Organy stały się instrumentem zarówno potężnym, jak i lirycznym, dostrajającym się do skrzypiec czy fletu.

Organy w Saint-Sulpice to największe dzieło w karierze Cavaillé-Colla. Po ukończeniu budowy w 1862 roku były jednymi z trzech największych instrumentów w Europie, obok tych w katedrach Ulm i Liverpoolu.

– Jeśli ktoś gra na organach, nieważne w jakiej części świata, gdy pokażesz mu ten widok, będzie wiedział, gdzie jesteśmy – mówi Karol Mossakowski o organach w Saint-Sulpice

Adolphe Hesse, wybitny XIX-wieczny organista z Breslau, pisał, że ze wszystkich instrumentów, na których grał, „instrument z Saint-Sulpice jest najdoskonalszym, najbardziej harmonijnym, największym i naprawdę arcydziełem”. Od tego czasu organy nie były przebudowywane. – Brzmia dokładnie tak, jak w XIX wieku – mówi Mossakowski.

Warto dodać, że imponuje i sama świątynia – barokowy przepych rywalizuje tu z neoklasycystycznym umiarkowaniem i romantycznymi nutami. Freski w kaplicy tuż przy wejściu namalował Eugène Delacroix, twórca słynnej „Wolności prowadzącej lud na barykady”.

Saint-Sulpice to największy kościół w Paryżu. Ustępuje mu nawet Notre Dame.

Droga organisty

Organistą jest ojciec Karola – Józef Mossakowski.

Mossakowski: – Klawiatury były u nas wszędzie. To były moje zabawki. Usłyszane w radiu czy telewizji melodie wystukiwałem jednym palcem na klawiaturze. Tata pomagał mi dołożyć do tego lewą rękę. Muzyki nauczyłem się od rozwijania słuchu, a nie od grania z nut. Myślę, że to dużo lepszy sposób, bo nie traci się tej radości z samej muzyki.

Opowiada, że gdy pracował z dziećmi, zobaczył te, które zaczynały od uczenia się nut, były mniej kreatywne. – Gdy dziecko gra ze słuchu, może w to włożyć całą swoją pomysłowość – imitować burzę,

deszcze, czy opowiadać historyjkę o tym, że pies naszczekał na kaczkę – opowiada Mossakowski.

Czy miał moment buntu? – Gdybym od trzeciego roku życia dzień w dzień grał na jakimś instrumencie, tobym pewnie oszalał. Jako młody chłopiec zazdrościłem kolegom, którzy grali w piłkę. Był taki okres, kiedy nie grałem. Ale jako nastolatek wróciłem do organów. Były częścią mojego życia – mówi.

– Zawsze chciałem grać w paryskiej Notre Dame – mówi Mossakowski.

Żeby marzenia stały się rzeczywistością, mając 20 lat, wyjechał na studia w Konserwatorium Paryskim. Sześć lat później, już jako laureat prestiżowych konkursów muzycznych w Pradze, Angers, Biarritz, Strassbourg, Chartres, został zaproszony do udziału w zamkniętym konkursie na jednego z organistów w tej legendarnej świątyni.

Mossakowski: – Konkurs trwał pięć miesięcy. W finale została nas dwójka. I wybrali tego drugiego. Co czułem? Straszne to było. Ale dzisiaj już wiem, że dobrze się stało. Jestem najszczeńliwszym człowiekiem na świecie. Zaraz usłyszysz dlaczego.

„Star Wars”, barok i byli organiści

Miano tytułowego organisty Saint-Sulpice przynajmniej się od XVII wieku. Stanowisko to piastowali za każdym razem wybitni muzycy, np. żyjący na przełomie XVII i XVIII wieku Guillaume-Gabriel Nivers, autor traktatów muzycznych. Bodaj najsłynniejszym organistą Saint-Sulpice – w latach 1870-1934 – był Charles-Marie Widor, „człowiek niezmiernie uczony, mądry i zrównoważony”, jak pisał o nim w pamiętniku Ignacy Jan Paderewski.

Paderewski zachwycił się tym, że 90-letni Widor „wciąż pracuje i to pracuje dobrze”. Najwięcej uwagi polski pianista i kompozytor poświęcił jednak kobietom przychodzącym do kościoła. „Widowało się tam tylko najwytworniejsze panie, i to stałe te same. Bywały tam wszystkie piękne parzyńki. Czasami nawet przychodziły na te koncerty bywające w wielkim świecie cudzoziemki. Wszystkie słuchaczki usiłowały znaleźć się w najbliższym sąsiedztwie organów i Widora”.

Jednak do kościoła przychodzili nie tylko zamożni. Mossakowski: – W XIX wieku ktoś, kogo nie było stać na operę czy filharmonię, właśnie w kościele mógł usłyszeć muzykę klasyczną. Organiści grali w kościołach transkrypcje takich dzieł. W XIX wieku moi poprzednicy grali w Saint-Sulpice arie z oper. Myślę, że wciąż kościół jest miejscem na ten rzadki kontakt z muzyką klasyczną.

W jednym z serwisów społecznościowych można znaleźć nagranie, na którym Mossakowski gra na organach muzykę ze „Star Wars”. – To ksiądz chciał – mówi wyraźnie niechętny takim pomysłom. – Organy można pokochać, słuchając „ich” repertuaru, nie trzeba do tego sztuczek. Ale wszystkie chwytły dozwolone, żeby przyciągnąć słuchaczy – wyjaśnia.

„Jakby tona ciężaru mi spadła na plecy”

Popiersie Widora stoi w „czerwonym pokoju”, w którym organiści przygotowują się do występów i spotykają z gośćmi. Wdrapujemy się tam po krętych schodach. Powinno nam napisać: ja się wdrapuję, bo Karol przeskakuje po kilka stopni. Ponoć tak człowiek się mniej męczy.

Widor – łysy mężczyzna z imponującym wąsem – patrzy na nas z surowością, jakby krytycznie oceniając rozbieranego organistę, który odrobinę chaotycznie próbuje połączyć przygotowania do gry z rozmową z dziennikarzem. W pomieszczeniu wisi również lista tytułowych organistów Saint-Sulpice. Na ostatniej pozycji – Karol Mossakowski.

Mossakowski: – Na liście są sami Francuzi, jestem pierwszym, który nie ma francuskiego paszportu. Czy to coś dla mnie znaczy? Oczywiście, nawet podskórnie czuję, że muszę pokazać, że zasługuję na to stanowisko. Ludzie z całego świata przyjeżdżają posłuchać tych organów, a ja mam do nich



• **Saint-Sulpice znajduje się w VI dzielnicy Paryża. To drugi co wielkości, po katedrze Notre Dame, kościół w stolicy Francji** FOT. ZAIRON/DOMENA PUBLICZNA

klucze. Czy to nie wspaniale? Ale też bardzo trudne. Moim zadaniem jest pielęgnować dobytek tego miejsca, spuściznę poprzedników i dawać coś od siebie. Pamiętam, jak przyszedłem tu pierwszego dnia po wyborze i poczułem, jakby tona ciężaru mi spadła na plecy.

Polski „Maître”

W naszej rozmowie jak refren powraca temat sytuacji zawodowej organistów. Zdaniem Mossakowskiego większość z nas kojarzy organy z kościołami, a ich dźwięk z liturgią. Jednocześnie zupełnie inny jest statut organisty we Francji niż w Polsce.

Mossakowski: – Francuzi do organistów zwracali się per »maître«, czyli »mistrz«. Wciąż mamy parafian, którzy pamiętają Marcela Dupré, zmarłego w 1971 roku następcę Widora. Gdy pojawiłem się w Saint-Sulpice, też niektórzy zaczęli do mnie mówić „maître”, ale – bez kokieterii – byłem pewien, że żartują.

Organista to zdaniem muzyka trudny zawód, bo wymaga wielozadaniowości: – Musisz zarówno interpretować utwory, umieć improwizować, ale też akompaniować. Do tego potrzebny jest zmysł i wrażliwość. Jesteśmy akompaniatorami, których kościoły zatrudniają do grania na mszach i towarzyszenia temu, co dzieje się na – nazwijmy to tak – scenie. Ale też muzykami, którzy koncertują, grają normalny repertuar.

W Saint-Sulpice – oprócz organisty z Polski – tytułową organistką jest urodzona w 1959 roku Sophie-Véronique Cauchefert-Chopin, przez wiele dekad asystentka poprzedniego głównego organisty. Dzięki temu Mossakowski w Saint-Sulpice gra tylko co dwa tygodnie.

Mossakowski: – Mam tu dużo większą wolność artystyczną, niż miałbym w Notre Dame. To jest miejsce, w którym mogę odcisnąć swój ślad. Zarówno piszę muzykę – do liturgii czy na koncerty – ale też je organizuję, tworząc życie muzyczne tego miejsca. Co dwa tygodnie podczas 40-minutowego koncertu muszę zaprezentować nowy repertuar. To niesamowita okazja do ćwiczenia i ciągłej nauki.

Gdy nie ma go w 6 Dzielnicy, jeździ po świecie. Dzień po naszej rozmowie leciał do Helsinek.

– Mam tu dużo większą wolność artystyczną, niż miałbym w Notre Dame. Piszę muzykę – do liturgii czy na koncerty – ale też je organizuję, tworząc życie muzyczne tego miejsca

„Jestem od robienia hałasu”

– Granie w kościele jest inne niż w sali koncertowej – opowiada Mossakowski. – Tu jestem schowany. Siedzę zaraz za zegarem. Nie widać mnie, a słychać. Każdy muzyk jednak szuka kontaktu z publicznością. Niesamowicie, że można go złapać także, gdy publiczność cię nie widzi, a ty masz tylko podgląd na ekranie na to, co się dzieje w okolicy ołtarza. Czujesz gęstość powietrza.

Do dyspozycji ma również osobny telefon do komunikacji wewnątrz świątyni. I drugie, mniejsze organy. Gra na nich osoba akompaniująca śpiewom zgromadzonych. Potężne organy Cavallé-Colla onieśmieliłyby śpiewających. Mossakowski: – Ja jestem od robienia hałasu.

Czy tylko rozmiar i dźwięk decyduje o ich wyjątkowości? – To jeden z niewielu instrumentów, które przez ponad 160 lat nie uległy niemal żadnym przemianom. To tak, jakby miłośnik Chopina mógł zagrać na jego prywatnym fortepianie – mówi Mossakowski.

Jedną z niewielu, ale bardzo istotną zmianą była automatyzacja działania mechanizmów organów, wprowadzona, gdy pojawiła się elektryczność. Wcześniej przy organach pracowało kilku kalikantów wprawiających w ruch pedały, które za pomocą systemu mniejszych mechanizmów dostarczały ciśnienie do głównego mechanizmu organów.

– Dzięki temu powietrze dostaje się do piszczałek, a tych jest w naszych organach ponad siedem tysięcy – wyjaśnia organista.

Inny kościół

Mossakowski przygotowuje się do gry, włącza i wyciąga rejestry, na niewielkim ekranie podgląda to, co dzieje się w okolicach ołtarza. Kościół wypełnia tłum. Bierzmowani raczej nie są licealistami, jak to bywa w Polsce podczas podobnych uroczystości. Jest gwarno.

Mossakowski: – Kościół katolicki we Francji jest inny niż w Polsce. Jest bardziej intelektualny, też otwarty. Standardem po mszy jest, że ksiądz wchodzi między wiernych, rozmawia z nimi. Trzeba pamiętać, że kościoły we Francji należą do państwa. A jak ktoś się decyduje na seminarium, to wybiera trudne, przeważnie dość biedne życie. Trzeba mieć do tego powołanie. I dlatego Kościół we Francji często jest bardzo żywy, przygarniający, ciepły. Ludzki po prostu.

O tym, że chrześcijaństwo we Francji jest inne, świadczy choćby wynik sondażu PEW Research Center z 2020 roku, w którym 75 procent katolików wypowiedziało się przychylnie wobec małżeństw osób tej samej płci. W Polsce – 30.

Czy na pewno „duchowe przebudzenie”?

„Duchowe przebudzenie napędzane przez młodzież stanowi znaczącą zmianę w kra-

jobrazie ewangelizacyjnym Kościoła”, pisała w kwietniu 2025 roku Catholic News Agency, gdy Konferencja Episkopatu Francji podała, że w ciągu roku o 45 procent wzrosła tam liczba chrztów osób dorosłych. Ochrzczono ponad 10 tysięcy dorosłych, co jest rekordem w dwudziestoletniej historii badań. Najwięcej katechumenów stanowią młodzi – do 25. roku życia. To również nowy trend – do tej pory chrzest przyjmowali najczęściej starsi.

Czyżby Francuzi wracali „na łono” Kościoła?

Gdy w 1980 roku polski papież pytał Francję, co zrobiła ze swoim chrztem, ponad 80 procent Francuzów deklarowało się jako chrześcijanie. 30 lat wcześniej – aż 94 procent. Współczesne dane różnią się od siebie – chrześcijanie stanowią od 45 do 55 procent populacji. Przy czym nie bez znaczenia jest demografia – w ciągu czterech dekad populacja kraju wzrosła o 14 milionów. Liczba chrześcijan zmalała o pięć.

Laicyzacja Francji jednak zwolniła w ostatnich latach. Podczas tegorocznej Wielkanocy odnotowano rekordową frekwencję. Mossakowski: – Ludziom dzisiaj trudno znaleźć coś, na czym mogą się oprzeć. Kościół może być odpowiedzią na te potrzeby. Dzisiaj we Francji coraz więcej ludzi z dumą mówi o sobie, że są wierzący. Ja też.

– Trudno nie wierzyć, będąc muzykiem – dodaje.

Dlaczego? – Wchodzisz w intymną relację z utworami i czujesz, że nawet najgenialniejszy człowiek nie mógł tego stworzyć bez pomocy Boga – mówi Mossakowski.

„Gdzieś tu gram...”

Zaczyna się uroczystość. Powiedzieć, że Mossakowski gra, to mało. Siedzący na wąskiej ławie, zawieszony nad klawiaturą pedałową muzyk zdaje się tańczyć w powietrzu. Gdy ręce ma zajęte klawiaturą, nogami naciska na pedały. W przerwach poprawia rejestry, nie mogąc się czasem zdecydować, które włączyć, a które zostawić wyłączone.

– Jestem trochę jak DJ, co nie? – pyta wyraźnie zadowolony z jednoosobowej widowni. – Wiesz, dla mnie to jest wciąż zabawa – dodaje.

Ksiądz wyczytuje imiona bierzmowanych: Carole, Thierry, Mohammed...

Wierni śpiewają: „Envoie ton Esprit Saint et tout sera créé” (Zesłij Ducha Świętego...). W przerwach wracamy do rozmowy.

Mossakowski: – Jestem w kościele od dziecka, więc wiem, że jest bardzo wiele jego odcieni. Jest w nim wielu dobrych ludzi, którzy czują powołanie do służenia innym. Nasz kościół przyciąga ludzi i sprawia, że czuję się u siebie...

Ksiądz: Georgina, Céline, Mathieu, Nata-el, Hugo...

Mossakowski: – Msza jest jak opera. Są tu akty, jest uwertura, dramaturgia. Zostanę za to ekskomunikowany.

Ksiądz: Pierre, Mathilde, Karla...

Mossakowski: Ta msza miała być w Notre Dame, ale katedra okazała się za mała... Poczekaj, bo ja gdzieś tu gram.

Z organów płynie niemal taneczna melodia przypominająca Purcella. Mossakowski: – Sam siebie muszę obudzić, bo dzisiaj w pracy jestem od 6 rano. Najpierw mieliśmy wyjście pielgrzymki do Chartres, o 16 było pierwsze bierzmowanie...

Po chwili wracamy do rozmowy. – Wiesz, jest taki rysunek Mleczki przedstawiający księdza z kielichem i starsze kobiety, podpisany „Wino, kobiety, śpiew”. Zabawne, ale ja naprawdę uwielbiam, gdy cały kościół śpiewa. Za chwilę będzie piękna pieśń – „Veni Creator Spiritus”... O Jezu, gram...

Przy pierwszych taktach pożegnałem się z najszczeńliwszym człowiekiem na świecie. ●

27 lipca o godz. 14 będzie można posłuchać gry Karola Mossakowskiego w bazylice w Licheniu podczas VII Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej „Basilica Sonans”.

W SYTUACJI BEZ WYJŚCIA JUŻ BYŁEM

Co to znaczy dawać radę: nie zabić się? Nie uciec?
Wielokrotnie słyszałem historie o ojcach, którzy po śmierci dziecka
spakowali się i uciekli, zostawiając matkę dziecka samą.

Z **FILIPEM TARACHOWICZEM***,
ZAŁOŻYCIELEM FUNDACJI PANDA TEAM,
ASYSTENTEM W ŻAŁOBIE
ROZMAWIA **AGA KOZAK**



• **Paulina, Filip i Karol Tarachowiczowie. Nad nimi portret Michała, którego imię nosi Fundacja Panda Team pomagająca ludziom w żałobie**

Ten tatuaż, co go masz, taki ładny i zabawny, to co to za misio?

No panda! Zrobiłem go, kiedy mój syn Michał zachorował. Zawsze chciałem mieć tatuaż, ale jakoś nigdy nie było odwagi, czasu i pieniędzy.

A ponieważ Michał bardzo lubił pandy – miał taką całą rodzinę pluszowych, którą zabierał ze sobą do szpitala – to stwierdziłem, że sobie wytatuuję pandę.

A potem panda znalazła się w nazwie naszej Fundacji imienia Michała, która zajmuje się wspieraniem osób w żałobie – dzieci, młodzieży i dorosłych – by nie musieli przechodzić przez stratę sami.

Twój syn chorował na...

– ...nowotwór, który nazywa się meduloblastoma klasyczna. Typowy nowotwór mózgu wieku dziecięcego. Statystyki pokazują, że na wyleczenie jest mniej więcej 80 procent szans, więc w trakcie jego choroby była nadzieja cały czas.

Michał miał cztery lata, gdy zachorował, i cztery lata, gdy zmarł – pierwsze objawy były pod koniec maja 2021 roku. Zadzwonili z przedszkola, że zwymiotował. Nawet byłem tym jakoś zniecierpliwiony i nie spieszyłem się po niego zbytnio, bo to były czasy COVID-u, więc dzwonili z każdym najmniejszym glutem, więc uznałem, że coś zjadł, ma niestrawność, jelitówkę.

Potem się skarżył na ból głowy i – a nie uczą tego nigdzie rodziców! – są to klasyczne objawy guza mózgu: poranne wymioty na czczo, takie jak chluśnięcie z wiadra, owe bóle głowy, ospałość, taka niechęć do zabawy, zachwiania równowagi.

Cały proces diagnostyczny trwał tylko tydzień. Okazało się, że to „coś w mózgu”. Na drugi dzień po diagnozie przetransportowali Michała do Warszawy z Poznania na operację. Tam wycięli ten nowotwór w 99 procentach – więc właściwie z tego jednego się to rozrosło...

No i zmarł w październiku, więc tak naprawdę niecałe cztery miesiące trwało to wszystko. Bardzo szybko, tylko u nas też od początku wszystko szło nie tak. Opóźnienia w chemii – bo spadki morfologii krwi, bo coś.

Nawet zrobiliśmy mu wcześniej urodziny. Mówię do Pauliny, mojej żony: „Ej, jesteście akurat nie w szpitalu, a w Poznaniu, nie wiemy kiedy mu znówu ta morfologia spadnie, chodź, zrobimy mu urodziny, przecież on nie zna się na kalendarzu”.

Poleciałem do Lidla, kupiłem składniki na tort, upiekłem, całe mieszkanie zaaranżowaliśmy, zaprosiliśmy na spontanie przyjaciół. To był wspaniały dzień. Ale od razu po urodzinach znów spadło. I ten ostatni miesiąc to już była taka równia pochyła.

Wiesz, Filip, trudno w to uwierzyć, bo wydajesz się jednym z najbardziej radosnych i pogodnych ludzi na świecie.

– To nie do końca tak jest. Ludzie postrzegają mnie jako osobę pogodną, bo ja staram się być pogodny. Ale w środku czasem czuję inaczej.

Stereotypowo kojarzymy osoby, które pracują z tematami „ciężkimi” – ze śmiercią albo z żałobą – jako poważne i smutne. A im więcej spotykam takich osób – pracowników hospicjów, onkologów – to burzy się we mnie ten obraz. Czy ta bliskość odchodzenia sprawia, że się chce bardziej żyć?

– Brzmi jak straszna klisza, co nie? Ale rzeczywiście tak jest. To, że byłem tak blisko końca życia mojego syna, przypomina mi w obliczu problemów: „Ej, z tej sytuacji jest wyjście”. Bo ja już byłem w sytuacji bez wyjścia.

Śmierć jest sytuacją bez wyjścia. To, że ktoś umarł, już się nie zmieni. Co nie znaczy, że codzienne problemy mnie nie wkurzają!

Natomiast wróć jeszcze do odpowiedzi na twoje pytanie o pogodę i radość. Myślę, że ja sobie po prostu coś równoważę, coś nadrabiam tym, że jestem taki uśmiechnięty. Bo ja wiem, że tym rozładuję atmosferę. To mechanizm obronny. Czasem, gdy

się śmieję i jestem duszą towarzystwa, to wewnętrznie jestem rozwalony, smutny albo wręcz zrozpaczony.

Masz wrażenie, że ludzie nie umieją sobie radzić ze smutnymi ludźmi?

– Tak. Zwróciłem na to uwagę, dopiero pracując z osobami w żalobie: że czasem gest podawania komuś chusteczki, gdy płacze, oznacza bezradność tej osoby, która ją podaje. Oczywiście ta osoba, która podaje chusteczkę, ma dobre intencje i ja im nie umniejszam, natomiast to jest czasem na zasadzie: „Wytrzymaj się już, bo nie mogę znieść twojego płaczu”, albo że sam/a chcę już przestać z tobą płakać, albo nie chcę się rozplakać.

Nawet mnie, choć mam do czynienia z różnymi emocjami i z bardzo trudnymi sytuacjami, nie jest łatwo płakać przy kimś – nawet przy najbliższych osobach – czy publicznie. Jestem zblokowany. A ludziom jest łatwiej przebywać z kimś, kto jest wesoły, radosny, kto zawsze daje radę, jest silny itd.

A ty dodatkowo jeszcze dilujesz z takimi tematami, których my w ogóle nie chcemy dotykać, które są tabu, bo śmierć osoby starszej wydaje nam się naturalna, ale śmierć dziecka... no nie.

– Ale wiesz, ja obserwuję też, jak ludzie reagują, gdy moja żona, która ma zupełnie inaczej niż ja – nie ma problemu, żeby przy kimś się wzruszyć – zaczyna płakać, a jak reagują wtedy, kiedy ja płaczę.

Gdy Paulina zaczyna płakać i poruszać temat naszego syna i naszej straty, to pojawia się takie duże zrozumienie dla jej uczuć, ludzie wzruszają się razem z nią. No bo to są lzy matki i to – paradoksalnie! – jest „łatwiejsze” do uniesienia, bardziej zrozumiałe dla ludzi.

Spodziewane.

– A ja – jako ojciec, mężczyzna – chyba nie mam takiego przyzwolenia społecznego na to. Jakby moje lzy więcej ważyły niż mojej żony. Myślę, że gdyby to było lepiej przyjmowane, tobym sobie na to pozwalał częściej. Bo to jednak jest wciąż bardzo niespodziewane, że facet płacze.

Czyli jest różnica między traktowaniem mężczyzn w żalobie a kobiet w żalobie.

– Tak. Mniej więcej dwa lata po śmierci Michała przyszła do mnie taka analiza wszystkiego, co się zadziało. I zdałem sobie sprawę z tego, że została mi narzucona rola tego, który trzyma wszystko w ryzach, który ogarnia, który daje radę.

Zatrzymam się na tym zwrocie „daje radę”, bo zacząłem wtedy myśleć, co to znaczy dawać radę. Nie zabić się? Nie uciec? Wielokrotnie słyszałem historie o ojcach, którzy po śmierci dziecka spakowali się i uciekli, zostawiając matkę dziecka samą.

W porównaniu z nimi naprawdę dałem radę, ale to, że ludzie mi to mówili – zaczęło mnie wkurzać. Bo została u mnie zdiagnozowana depresja, stany lękowe, PTSD.

Pomyślałem, że to może oznacza, że ja jednak nie dawałem tej rady. A może to był wynik tego, że ciągle dawałem radę? Zauważyłem, jak bardzo wszedłem jak w masło w tę narzuconą mi rolę „ogarniacza”. Przez dwa lata żyłem na odcięciu emocjonalnym, żeby się nie rozkleić, nie rozwalić. Dochodziło nawet do takich kuriozalnych sytuacji, że obcy ludzie ode mnie oczekiwali pocieszenia.

Jak to?

– Spotykałem kogoś i ta osoba zaczynała płakać nad śmiercią mojego syna, a ja nie płakałem, i to ja mówiłem: „Spokojnie, poradzimy sobie...”.

A wracając do tego nierównego traktowania: gdy po śmierci syna odwiedzali nas ludzie, to bardzo często przynosili prezent dla mojej żony, syna Karola – maseczkę, jakiś krem, herbatkę, zabawkę – a dla mnie nic. I ja nawet zacząłem z tego żartować, ale w głębi duszy myślałem: „No nie powinno tak być! Czemu jestem zapomniany w tym wszystkim?”.

Zdałem sobie też sprawę z tego, że wszyscy przytulają moją żonę, a mnie nikt nie przytula. Kobiety: „bo ma żonę”, a faceci... no bo wiemy, jak to jest w Polsce! Nawet nie było uścisków typowo wspierających! Pamiętam, jak opowiedziałem o tym mojemu przyjacielowi, i on powiedział: „Jak chcesz, to mogę cię teraz przytulić”.

I co?

– To mnie zaskoczyło. Okazało się to bardzo wspierające dla mnie. Nawet nie sądziłem, że aż tak, że to będzie tak mi potrzebne! Wiesz, ja się na co dzień dużo przytulałam, bo mam dzieci – wtedy miałem samego Karola, a teraz jeszcze mam Adasia – mam też żonę. Natomiast wiem już, że to chodzi o kogoś innego – taki przytulał tylko dla mnie, żeby nie tyle dać, ile dostać.

Idąc dalej, zwróciłem też uwagę, że moja żona chodzi często na cmentarz z ludźmi – proponują jej wyjście na cmentarz. Mnie nikt nie zaproponował, dopiero ten mój najbliższy przyjaciel.

Zacząłem sobie myśleć, że kurde, coś jest nie tak, nie powinno tak być. Że co, że ludzie uznają, że „on już dał radę”, to już nie potrzebuje wsparcia? Oczywiście ja wiem, że ja sobie pięknie na to sam zapracowałem, sam siebie utrzymując w tym „dawaniu rady”. A jak ogłosiłem w końcu na Instagramie, że mam depresję, to wszyscy byli w szoku.

Prowadzisz kręgi wsparcia dla mężczyzn w żalobie. Czy ich doświadczenie pokrywa się z twoim?

– Zacząłem to robić, bo zauważyłem, że nie ma miejsc, gdzie mężczyźni w żalobie się spotykają. Najpierw zauważyłem, że 90 procent podopiecznych naszej fundacji

okazało się, że jak ja o tym mówię, to inni nagle też się otwierają.

Mamy na grupie wsparcia tatę, który stracił córkę lata temu, i kiedy opowiadałem, że miałem atak paniki, poprosił mnie, żebym to opisał. „Przyspieszony rytm serca, nie możesz złapać oddechu itd.”. A on mówi: „O, a ja tak często mam!”. I nagle sobie zdałem sprawę z tego, jak my, faceci, ale może ludzie w ogóle, jesteśmy zaniedbani pod kątem zdrowia psychicznego.

A państwo opiekuje się ludźmi, rodzicami w żalobie? Matkami, ojcami? Paraskasz.

– No bo wsparcia, niestety, nie ma. To wszystko jest niedostrzeżone.

Nie dostajesz zwolnienia na czas choroby dziecka?

– Gdy dziecko zachoruje ci onkologicznie, masz dokładnie tyle samo dni na opiekę nad nim, które ma rodzic dziecka z katarą. Teraz to się zmieniło, ale my jeszcze chorowaliśmy w czasach, gdy można było mieć zasiłek opiekuńczy, ale nie można było w tym czasie podejmować pracy zawodowej.

I oznaczało to, że rodzice – najczęściej matki – zwalniały się ze swojej pracy i „na gębę” były dogadane, że jak dziecko skończy leczenie, to one zostaną z powrotem przyjęte do pracy. To się zmieniło. Ale to jest nadal skomplikowane, nadal trzeba dużo kombinować. Znam wiele takich historii, w których

ojciec musi robić na dwie zmiany, żeby były pieniądze na życie. I nie ma nawet kiedy dziecka w szpitalu odwiedzić.

Albo na przykład nie dostaje urlopu, żeby do dzieciaka do kliniki pojechać. Al-

Po śmierci Michała zadzwoniła znajoma mama z onkologii: „Powiedz mi wszystko, jak to wyglądało, bo mi nikt nie chce powiedzieć”

to kobiety, a jak przychodzi facet – to bardzo rzadko tak świadomie, że on też chce skorzystać z pomocy – tylko raczej jako wsparcie partnerki, „ja tu tylko posiedzę”.

Albo podwozi pod drzwi fundacji, ona wysiada, on jedzie dalej. Mamy kilka bardzo fajnych kobiet zaangażowanych w życie fundacji, a ja nie wiem, jak wyglądają ich mężowie, partnerzy – nawet nie chcą przyjść i się przywitać.

Jak to tak obserwowałem – siebie i tych mężczyzn, jednocześnie to, że moja żona stworzyła specjalne przestrzenie dla kobiet w żalobie – to narosła we mnie złość. Stwierdziłem, że stworzę taką przestrzeń specjalnie dla ojców w żalobie.

Spotykamy się od roku raz w miesiącu. I tak, obserwację innych mężczyzn są podobne. Mówią, że spotyka ich – podobnie jak mnie – duża samotność w żalobie, czują dużą presję. Nie mówię, że oni tę presję mają jakoś jawnie narzuconą, możliwe, że sami sobie ją narzucają.

Presję czego?

– Na przykład bycia stabilnym zawodowo. A w żalobie czasem się przecież nie chce pracować, nie ma się wręcz siły na pracę. Ja też specjalnie zacząłem mówić i w serwisach społecznościowych, i na kręgach o swoich problemach psychicznych, bo

bo nie ma możliwości zwolnienia się z pracy w momencie, gdy dzieje się coś nagle, gdy na przykład dziecko trafia na OIOM. Już nie mówiąc o tym, że ma jeszcze ogarniać np. pozostałe dzieci, które są w domu, i siebie samego przy tym wszystkim.

A na pogrzeb?

– Masz dwa dni urlopu na pogrzeb. Oczywiście naturalne jest, że w takiej sytuacji każdy psychiatrę wypisze ci L-4. Ale powszechnie wiadomo, jak łatwo dostać się w Polsce do lekarza, nie mówiąc już o psychiatrze.

A przy okazji śmierci dziecka jest dużo sytuacji, które mogą cię dodatkowo traumatyzować. Gdy nasz Michał zmarł, byliśmy pod opieką hospicjum domowego w Warszawie. Mimo że mieszkamy w Poznaniu, podjęliśmy decyzję, że wynajmiemy mieszkanie w Warszawie, gdzie Michał umrze.

Cały Poznań się tam prawie zjechał – mieliśmy więc cudowną opiekę, ale kiedy wiedzieliśmy, że to „już”, poprosiliśmy, żeby wszyscy poszli na spacer.

Kiedy Michał zmarł, zadzwoniliśmy po lekarzkę, żeby stwierdziła zgon. Przyjechała z pielęgniarką. Zadzwoniliśmy też po zakład pogrzebowy i przyjechał pan z zakładem, taki wiesz, pod krawatem... Uprzedzam, że to, co powiem, jest mocne: pan rozłożył taki wielki dwumetrowy biały worek. I po-

wiedział do mnie – no bo jestem facetem, wiadomo – „Proszę, żeby pan przełożył syna DO WORKA”.

To był szok. Nikt mnie nie uprzedził, że kurwa, będę musiał swoje dziecko pakować do worka. Ja do dzisiaj przeżywam w myślach ten moment, jak ja ten worek zasuwałem.

I ten pan tak zgrabnie zawinął reszkę tego worka, bo ten wór miał ze dwa metry, a Michał był czteroletnim chłopczykiem, i tak zniósł go do auta, a my schodziliśmy za nim po schodach z moją żoną. Zamknął drzwi samochodu, a myśmy tam tak stali, takie sieroty, bo przecież jeszcze godzinę wcześniej to był nasz syn, jeszcze mu biło serce.

I wtedy moja żona powiedziała: „Ej, ktoś nas obserwuje”. I to była ta lekarka, która została w aucie i patrzyła na nas pewnie z troski, czy nie mdlejemy.

Wróciliśmy do mieszkania, no i zaczęliśmy sprzątać. Wszystkie sprzęty medyczne, prześcieradło... Sprzątać po śmierci dziecka. To była sobota i musieliśmy czekać w tej Warszawie do poniedziałku, ponieważ prawo było takie, że akt zgonu odbiera się w miejscu śmierci. Czyli trzeba było czekać do poniedziałku, aż otworzą urząd.

No i ja – znowu ja – rano udałem się do urzędu miasta, wypełniam formularz, wchodzę do pokoju, w którym urzędniczki piją kawę i się śmieją, odebrać akt zgonu swojego dziecka, które umarło dwa dni wcześniej. I wtedy się zaczął kolejny festiwal rzeczy, o których nikt ci nie mówi.

Bo ja nie wiedziałem, czy urzędy z automatu wiedzą, żeby nie przysyłać 500 czy 800 plus? Żeby nas nikt nie ścigał, że wydajemy pieniądze. Zadzwoniłem więc na infolinię: „Dzień dobry, dziecko mi zmarło w sobotę, co ja mam teraz robić?”. Pani załopotana, bo nie wie. Bon na wakacje musiałem odwołać. Do przedszkola akt zgonu donieść.

Wisienką na torcie jest to, co wydarzyło się z pół roku temu. Ktoś nam powiedział, że my możemy ubiegać się o kartę dużej rodziny, ponieważ liczy się fakt, że się urodziło trójkę dzieci. A ponieważ mamy jeszcze Adasia, no więc teoretycznie mielibyśmy trójkę. Złożyłem podanie. I nie uwierzysz, ale – mimo że oni wiedzą, że Michał nie żyje – została mi wydana przy odbiorze również karta dla niego. Po chuj mi ta karta!? No nie mogliby po prostu tej karty nie wydawać? Wystarczyłaby jedna kratka dodatkowa w formularzu i to by mi oszczędziło traumy.

No i mamy tę kartę – jest przyczepiona przy zdjęciu Michasia.

Nic dziwnego, że założyłeś fundację, żeby nikt inny nie musiał przez to przechodzić.

– Jak jesteś na onkologii, to poznajesz inne rodziny – jeśli dzieci mają nowotwory terminalne, to jakoś tak naturalnie się łapie kontakt z tymi rodzicami, którzy zaraz będą przechodzić przez podobne rzeczy, co ty.

Do mnie po śmierci Michała zadzwoniła jedna z takich zaznajomionych mam i powiedziała: „Powiedz mi wszystko, powiedz, jak to wyglądało, bo mi nikt nie chce powiedzieć”.

Pierwsze, co powiedziałem, to to, że jak będziesz dzwonić do zakładu, błagaj, żeby nie przysyłali worka, bo okazało się, że można też zawinąć ciało w takie prześcieradło, a nie ten nieszczesny worek. Komu mogłem, to mówiłem: „Pamiętaj o tym worku! Żebyście nie przechodzili tego, co my!”.

Nawet do hospicjum zadzwoniłem, więc miałem jakiś rodzaj misji. Żeby każdy wiedział, co go może czekać, a z drugiej strony byłem taki zły na to, że jak dziecko choruje onkologicznie, to jest taki szum wokół ciebie – zbiórki, kiermasze charytatywne, koncerty charytatywne – i nagle w sekundę to cichnie. No jeszcze pogrzeb jest taki – pełno ludzi przyjeżdża, przyjaciele z wielu stron świata. Przepiękne...

Pogrzeb był naprawdę bardzo dla nas wspierający. Natomiast potem to cichnie i zostajesz całkowicie sam. Oczywiście jest rodzina, przyjaciele, ale oni też to noszą. I okazało się, że w Poznaniu – i w ogóle



Muzea myślą coraz częściej „blockbusterem” – za dużo wrażeń, za tłoczno, za dużo hałaśliwych emocji. U nas w Susch dominuje „slow art”

Z **GRAŻYNĄ KULCZYK**, KOLEKCJONERKĄ I MECENASKĄ SZTUKI, FUNDATORKĄ MUZEUM W SUSCH W SZWAJCARII ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

Pani muzeum przedstawia sztukę krytyczną w jednym z najbardziej konserwatywnych krajów Europy.

– Nie robię tego tylko po to, aby włożyć kij w mrowisko. To nie jest jakiś bastion czy feministyczna warownia, nie narzucam nikomu swojego sposobu myślenia. Pokazuję to, co uważam za istotne. Szwajcaria może i jest konserwatywna, ale ludzi tu cechuje wielowiekowa tolerancja i otwartość. Myślę, że jest to cecha krajów protestanckich. Oni wyrobili sobie dystans do wielu rzeczy.

Nie jestem pewna, jak zachowałby się proboszcz w kościele katolickim, gdyby wiedział, co pokazujemy po sąsiedzku w muzeum. Natomiast nasza ekspozycja stała jest raczej niekontrowersyjna, chociaż jest tam praca dla Szwajcarów trudna, ponieważ kwestionuje utrwalone schematy społeczne.

To instalacja „Herrenzimmer” Heidi Bucher, Szwajcarki, która pochodziła z tradycyjnej rodziny mieszczańskiej, w której mężczyźni zbierali się w przeznaczonym

tylko dla nich pokoju na cygaro, koniak, rozmowę i oglądanie telewizji. A matki, babki, córki musiały stać pod drzwiami, bo nie miały tam wstępu.

Jak pani znalazła to miejsce na mapie Szwajcarii?

– To Susch „przyszło” do mnie. Od lat odwiedzałam Engadynę w Gryzonii – znałam te krajobrazy, ich ciszę i intensywność. Pewnego dnia, jadąc samochodem w górę doliny, zatrzymałam się w Susch.

Zaintrygował mnie zespół opuszczonych budynków, które wyglądały inaczej niż okoliczna zabudowa. Okazało się, że to dawne zabudowania klasztorne, które w czasie reformacji uległy sekularyzacji i podziałowi.

To była ruina?

– Pamiętam, jak podeszłam do jednego z tych domów – okna były zabite deskami. Uznałam, że nikt tam nie mieszka i że obiekt może być na sprzedaż, co okazało się prawdą. Nabycie tego domu było stosunkowo łatwe, nie miałam jednak gwarancji, że pozostałe budynki uda mi się dokupić i stworzyć spójną całość.

Zaczęłam je stopniowo nabywać – jeden budynek po drugim. Połowa ulicy na-

leży dziś do mnie. Każdy kolejny zakup był trudniejszy, ponieważ ludzie się orientowali, że przyjechała „this Polish woman”, która chce coś zrobić. Ceny szły w górę, chociaż wcześniej nikt się nie interesował ani tymi domami, ani miejscowością.

Tu nie ma nawet hotelu.

– Poza muzeum jest mały sklepik, stolarnia, klinika dla wypalonych pracą, co jest dla mnie wyjątkowo irytujące. Przez Susch przejeżdża pociąg, którym można dojechać w dwie godziny do Zurychu. Turyści chętnie to miejsce odwiedzają, ze względu na bliskość parku narodowego i malowniczych szlaków wędrówek górskich. Hotele są w sąsiednim Zernetz i Lavin.

Jak się ułożyły pani relacje z mieszkańcami Susch?

– Spotkała mnie ujmująca niespodzianka – mieszkańcy przyjęli mnie do grona „swoich”, a proszę mi wierzyć, że nie jest to oczywiste w tych małych, niemal tysiącletnich wspólnotach. Tu zawsze patrzy się na cudzoziemca przez podwójne okulary.





• Już w XII w. budynki obecnego muzeum w Susch były zespołem klasztornym. Po remoncie i przebudowie (zdj. główne) oraz adaptacji wewnątrz (zdj. na dole) stały się przykładem udanego połączenia architektury średniowiecznej z nowoczesną



Muzeum sztuki nowoczesnej Grażyny Kulczyk

• Zostało otwarte w Susch w 2019 roku. Projekt architektoniczny opracowali dwaj młodzi architekci z Zurychu – Chasper Schmidlin i Lukas Voellmy. Na przyjezdnych czeka 20 sal wystawowych poświęconych sztuce współczesnej, wykutych w skale i średniowiecznych murach, wysklepionych i wykończonych za

pomocą najwyższej klasy materiałów budowlanych. Czekają też bistro, w którym potrawy przygotowuje rodzima Sycylia. Muzeum jest czynne cały rok z wyjątkiem maja i listopada, kiedy nie ma sezonu turystycznego. Można tu dojechać pociągami z Zurychu w ciągu dwóch i pół godziny. Samo-

chodem trasa jest dłuższa (trzy i pół godziny) i trudniejsza. Wiedzie przez alpejską przełęcz Flüela (Flüelapass). Widoki są malownicze, ale uwaga na liczne zakręty pod kątem ostrym. W Susch, które leży na wysokości 1438 m n.p.m., nie ma bazy noclegowej. Hotele są m.in. w oddalonej o 6,5 km miejscowości Zermatt.



Kiedyś jeden z mieszkańców Susch zakwestionował bijące co kwadrans dzwony kościelne. Zaproponował ograniczyć ich częstotliwość. Dano mu do zrozumienia, żeby się po prostu z wioski wyprowadził

Szwajcarzy cenią sobie tradycję, spokój i porządek, których bezwzględnie pilnują. Kiedyś jeden z mieszkańców Susch zakwestionował bijące co kwadrans dzwony kościelne. Zaproponował ograniczyć ich częstotliwość. Ta chrześcijańska wielowiekowa tradycja współkształtowała świadomość Europy, a w związku z tym tradycjonaliści dali mu do zrozumienia, żeby się po prostu z wioski wyprowadził. Gdy kupuje się nieruchomość w Szwajcarii, przynajmniej w tych mniejszych enklawach, przybysz musi być bezwarunkowo zaakceptowany przez miejscowych. Trzeba bardzo obszernie opowiedzieć o sobie, o tym, co się robiło i o tym, co się zamierza wnieść do lokalnej społeczności. Wtedy oni w taki referendalny sposób podnoszą rękę i głosują. To jest charakterystyczna cecha demokracji oddolnej, w której korzyść najbliższej wspólnoty jest nadrzędna.

Jak ich pani pozyskała?
– Zatrudniłam dwóch młodych kuratorów, którzy byli częścią think tanku Muzeum Susch. Doradzili, jak miękko i zgrabnie osadzić się w tym arcytrudnym szwajcarskim świecie kultury. Miałam doświadczenie z Polski, z Tate Modern czy Modern Women Fund w nowojorskim MoMA, Szwajcarię znalazłam raczej powierzchownie. To oni ze mną i architektami przygotowali „walne zgromadzenie” mieszkańców, na którym opowiedzieliśmy o projekcie. Zorganizowałam dla wszystkich przyjęcie, były polskie i lokalne piwa, do tego polskie i gryzońskie kielbaski. Opowiedziałam o moich zamierzeniach na tyle przekonująco, że nie miałam z ich strony żadnej przykrości. A przecież przez trzy lata Susch było ogromnym placem budowy, na który wjeżdżał ciężki sprzęt. Kilkakrotnie zamykano ulicę. Przez ponad rok firma budująca alpejskie tunele przeprowadziła setki kontrolowanych eksplozji w celu skruszenia kamienia – większość przestrzeni muzealnej jest pozyskana z alpejskiej skały. Wydobyliliśmy blisko 10 tys. ton kamienia. Został potem przetworzony z dodatkiem specjalnego cementu w muzealne posadzki.

Muzeum fascynuje ludzi tym harmonijnym połączeniem architektury średniowiecznej z nowoczesną.
– Kiedy z moim małym zespołem zaczęliśmy się zagłębiać w historię tego miejsca, okazało się, że już w XII wieku te budynki były zespołem klasztornym. Kościół ewangelicki, który dzisiaj sąsiaduje z muzeum, stanowił wtedy część tego kompleksu. W wyniku ugody między katolikami a protestantami stał się odrębnym obiektem już w połowie XVI wieku. A więc ta piękna, niemal tysiącletnia historia zaczęła się opowiadać sama, pomagając nam w opracowaniu spójnej narracji dla mojego projektu. Dowiedzieliśmy się, że przed wiekami przez Susch wędrowali pielgrzymi z południowego Tyrolu, kierując się do grobu świętego Jakuba w Santiago de Compostela. Zatrzymywali się na nocleg i modlitwę. To mnie od razu zainspirowało do koncepcji „refleksyjnej przerwy w podróży”. Przyszedł mi do głowy pomysł, że skoro jesteśmy daleko od kulturotwórczych centrów, to Susch może stać się celem podróży, a nie jedną z wielu atrakcji dużego miasta. I w związku z tym mogę sobie pozwolić na program instytucjonalny wymagający od widza znacznie większego zaangażowania i poświęcenia czasu. Architektura i sztuka są tu magnesem, ale cennym sprzymierzeńcem jest otaczająca nas ze wszystkich stron przyroda. Zimny tu są ciężkie, przez pół roku jest groźne i surowo, jak z obrazów Caspara Davida Friedricha, ale kiedy przychodzi wiosna i bardzo gorące lato – czujemy się nagrodzeni przez obezwładniającą alpejską naturę.

Od sześciu lat stoi pani na czele własnego prywatnego muzeum sztuki współczesnej, które odwiedza rocznie 10 tys. osób. Proszę przypomnieć, dlaczego nie zbudowała pani go w Polsce?
– Próbowalam. Dwukrotnie. Najpierw w Poznaniu, gdzie w 2007 roku byłam gotowa stworzyć muzeum sztuki współczesnej i zaangażowałam Tadao Andō, wybitnego japońskiego architekta, laureata Nagrody Pritzкера.

To był projekt nowatorski i oderwany od znanego wtedy w Polsce modelu instytucji. Przewidywał, że jako fundatorka sfinansuję i zrealizuję całą budowę, a po 20 latach przekażę muzeum miastu wraz z kolekcją liczącą kilkaset obiektów. Od miasta oczekiwałam współfinansowania codziennego utrzymania obiektu – co moim zdaniem jest efektywnym modelem partnerstwa.

W Stanach Zjednoczonych i coraz częściej w Europie taki model to jest dość powszechny bodziec dla kultury.

Niestety, władze samorządowe nie przyjęły tej propozycji. Prezydent Poznania powiedział „nie”, argumentując, że musiałby obciążyć finansowanie innym instytucjom kultury, co dla mnie było nie do zaakceptowania. Jako przedsiębiorczyni miałam we krwi sprawne i oszczędne, ale sprzyjające aktywności zarządzanie budżetem. Potencjalne korzyści, które mogą uzasadniać określone ruchy w istniejących ramach finansowych, zawsze wydają mi się warte analizy, a nie kompulsywnego odrzucenia.

W 2015 roku podjęłam drugą próbę – w Warszawie. Również tu nie spotkałam się z gotowością decyzyjną – mimo początkowo dobrych rozmów nie doszło do realizacji.

Z jakiego powodu?

– Nauczona doświadczeniem zmieniłam strategię działania. Zatrudniałam zespół prawników, którzy przygotowali bezprecedensowy na ten czas w Polsce projekt umowy publiczno-prywatnej.

Równolegle opracowywałam program instytucji i modelowanie architektury.

Znalazłam działkę w centrum miasta, tuż nad Wisłą. W planie zagospodarowania ten teren był przeznaczony na obiekt instytucji kultury czy muzeum. Niedaleko są Centrum Nauki „Kopernik”, Biblioteka Uniwersytecka, ASP – po wybudowaniu muzeum powstałby sensowny zespół budynków.

Przygotowałam w moim niewielkim zespole, razem ze świetnym warszawskim architektem, wstępny projekt, który przewidywał obok przestrzeni wystawienniczych scenę tańca współczesnego i performance'u. Zadeklarowałam przekazanie po kilkunastu latach na własność społeczeństwu mojej jeszcze cenniejszej kolekcji. Zaznaczam, że to jest kolekcja z ważnymi dziełami sztuki międzynarodowej, których w polskich muzeach po prostu nie ma.

Wydawało mi się, że to rozsądne podejście, dające niebudzącą obaw podstawę prawną podejmującym decyzje urzędnikom. A jednak to nie wystarczyło.

Myszę, że urzędnicy boją się podejmowania odważnych decyzji. A pionierzy zawsze dostają po głowie.

Pewnie pytano panią, dlaczego nie próbowała więc pani zbudować muzeum w Bazylei, Zurychu czy choćby w okolicznym Davos lub Chur, gdzie mogłaby być większa publiczność?

– Odpowiadałam, tak jak czułam – dla mnie to miejsce jest po prostu piękne i pozwoliło mi dosłownie „wykuć” nowy, alternatywny sposób poznawania sztuki. W tej przestrzeni „geologicznego czasu” nie wolno się śpieszyć, nie trzeba się rozpraszać na błahe atrakcje.

Opierałam się też na obserwacjach z czasów, gdy zasiadałam w komitetach ważnych międzynarodowych muzeów. Muzea myślą już coraz częściej „blocbusterem”. Za dużo wrażeń, za tłoczno i za dużo hałaśliwych emocji. Ludzie są „przebodźcowani” i zmęczeni. Idą do zatłoczonych przybytków muzealnych i w zasadzie po godzinie, półtorej percepcja im siada.

Remedium na to ma być „mniej” i „wolniej”. Stąd idea „slow art”.

Głęboko wierzę, że ludzie wciąż pragną być uczestnikami przeżycia duchowego w jego bardzo intymnej formule.



Grażyna Kulczyk

• prawniczka, przedsiębiorczyni, kolekcjonerka i mecenaska sztuki. Jedna z najbogatszych Polek i jedna z najbogatszych kobiet w Szwajcarii. W Muzeum w Susch na wystawie stałej prezentuje dzieła Moniki Sosnowskiej, Zofii Kulik, Magdaleny Abakanowicz Piotra Ukińskiego, Mirosława Bałki, i Joanny Rajkowskiej. Na wystawach czasowych pokazuje wyłącznie artystki. Jedna z 200 największych zbieraczek sztuki według Artnews.com. Jej kolekcja sztuki współczesnej to ok. 600 obrazów

Przed wiekami przez Susch wędrowali pielgrzymi z południowego Tyrolu do grobu Świętego Jakuba w Santiago de Compostela. Zatrzymywali się tu na nocleg i modlitwę. **To mnie zainspirowało do koncepcji „refleksyjnej przerwy w podróży”**

Co to znaczy być kolekcjonerką sztuki?

– Kolekcjonerem czy kolekcjonerką jest się wtedy, kiedy z pełną świadomością i planowo zaczyna się gromadzić. Obojętnie – czy dzieła sztuki, czy inne przedmioty, jak monety, znaczki, fotografie czy książki. Początkowo to po prostu zbieranie – to wszak część naszej ludzkiej natury.

Kolekcjonerem stajemy się z czasem, kiedy przychodzi świadomość, że chcemy konsekwentnie iść drogą, którą sobie wybraliśmy, i kiedy rozważnie „polujemy” na określone elementy pasujące do zamysłu całego zbioru.

Bardzo świadomie wybieram prace do kolekcji. Z kolejnym wyborem moje oko staje się coraz bardziej „uważne” i nie ustępuje oku eksperta. Z uśmiechem mogę powiedzieć, że „w burżuazyjny sposób” rozpoznaję w żyjących i nieżyjących artystach talent i ważkość myśli.

Często jestem pytana, czy kupuję dlatego, że jest to dla mnie dobra inwestycja – nie, nie myślę o sztuce jak o inwestycji, chociaż przy ogromnych pieniądzach jest to trudne.



• Jedna z 20 sal wystawowych Muzeum w Susch

Niestety, od jakiegoś czasu sztuka stała się towarem z kategorii „collectible asset”. Są ludzie, którzy kompletnie się sztuką nie interesują, ale oportunistycznie ją kupują, żeby ulokować pieniądze albo żeby dodać sobie blasku w towarzystwie.

GRAŻYNA KULCZYK O POLSCE

Skąd się w pani wziął pomysł zajmowania się sztuką?
– Na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu poznałam środowisko ludzi związanych ze sztuką. To był czas, kiedy studenci spędzali wiele godzin w bibliotece. Można się było zatopić w lekturze, ale było w tym coś jeszcze: znakomita atmosfera i towarzyski tygiel, w którym spotykali się intelektualiści, ludzie sztuki, kultury, filozofowie i pisarze. Jako młoda dziewczyna miałam okazję słuchać Stanisława Barańczaka, który przychodził tam regularnie. Bywał Ryszard Krynicki.

Z moim ówczesnym chłopakiem chodziłam do pracowni poznańskich artystów. Wtedy w Poznaniu bardzo dużo się działo, były teatry alternatywne, kabarety, wystawy. Poznań żył targami międzynarodowymi. Celebrował to swoje mieszczańskie życie. Ważna była rodzina, pielęgnowanie codzienności, jak w powieściach Małgorzaty Musierowicz. I w tym uporządkowaniu mógł zaistnieć radykalny artystyczny ferment. Ostatecznie jednak wciągnęło mnie bez reszty życie rodzinne.

Potem nastąpiła zmiana ustroju.
– Rok 1989 był przełomowy, dużo zmienił. Zaangażowałam się w rodzinną firmę, którą razem z mężem budowaliśmy. Tworzyliśmy zgrabny duet, jak z filmu. Poznaliśmy się jeszcze na studiach, potem on pisał pracę doktorską, a ja odbywałam aplikację sędziowską. W kolejnych latach mąż zajął się biznesem, ja rodziną i wspieraniem przedsiębiorczej aktywności Jana.

Nowa rzeczywistość po 1989 roku dla mojego pokolenia była czymś zupełnie rewolucyjnym. Z jednej strony dawała niepowtarzalną szansę na lepsze życie, z drugiej – była dla nas wielkim zobowiązaniem wobec Polski. Wiem, że to może brzmieć patetycznie, ale tak byłam wychowana przez ojca pilota RAF-u. Budowaliśmy codzienną pracę, a nie powstańczym zrywem historię i nowy ustrój polityczno-ekonomiczny. Robiliśmy bezprecedensowe rzeczy, jeżeli chodzi o gospodarkę. Z perspektywy czasu ten okres można bezrefleksyjnie krytykować, jak i dzieło całej mojej generacji.

Ja jednocześnie poczułam potrzebę kreowania jeszcze czegoś innego, jakby

„odkopując” w sobie – po czasie wyciszenia – tę chęć pracy z artystami. To był początek lat 90. Byliśmy przedstawicielami koncernu Volkswagena na Polskę. Otworzyłam wtedy pierwsze dwa salony samochodowe w Poznaniu i w Warszawie i postanowiłam je połączyć z pokazami sztuki.

Od tego są chyba galerie sztuki?
– Było ich niewiele i nie funkcjonowały tak intensywnie jak dzisiaj. Miały w sobie duszę antykwariatów, a nie „żywych” galerii. Gdy stworzyłam w moim salonie samochodowym możliwość pokazywania prac, dla tych młodych artystów było to jak otwarcie bram do nowego świata.

Pewnie nie obyło się bez złośliwości.
– Na początku mówiono, że to jest „galeria w garażu”. Ale tym się zupełnie nie przejmowałam. Bo na koniec to miejsce stało się „salonem” towarzysko-kulturalnym.

To trwało aż do momentu, w którym zaczęłam budować Stary Browar w Poznaniu. A tam to już sztuka miała naprawdę dużo większą „scenę”. Była pani w Starym Browarze?

Tak, ale nie w tamtych czasach, niestety.
– Do tego, by wspierać sztukę, potrzebne są pieniądze, coraz większe pieniądze. Wpadłam więc na pomysł niekomercyjnej galerii w wielkiej przestrzeni postindustrialnej.

To był rok 1998 i 1999. Szukałam w Poznaniu nowego miejsca dla artystów i ich projektów. Stały się nim ruiny dawnego browaru Huggerów. Tylko że w ruinach można przez chwilę improwizować, a potem to się staje niemożliwe. Przestrzeń przeznaczoną dla sztuki trzeba było wykreować, zabezpieczyć finansowanie.

I stąd się wzięła moja idea „50 na 50”. Wówczas był to nowy sposób myślenia o wspieraniu kultury. Założyłam poświęconą kulturze fundację Art Stations. Przeprowadziłam rozbudowę i rewitalizację obiektu, który stał się kompleksem handlowym z przeznaczoną na wystawy galerią sztuki. Zorganizowałam w niej jakieś 80 wystaw.

Był też program performatywny w ramach projektu Stary Browar Nowy Taniec. Kuratorka Joanna Leśniewska była „spiritus movens” tego projektu. Zbudowałam profesjonalną scenę, z satysfakcją widziałam, jak z czasem coraz bardziej „puchnie” od widzów.

Na ogół polski biznes się sztuką niespecjalnie interesuje, a jeśli już, to w kategoriach komercyjnych.
– Nie do końca się zgadzam. Jest nowe bardzo mądre pokolenie kolekcjonerów, którzy chętnie udostępniają swoje interesujące zbiory. Proszę też spojrzeć – Marek

Roefler zbudował w Konstancinie przestrzeń dla sztuki, Anna i Jerzy Starakowie planują wybudowanie muzeum w Oborach pod Warszawą, Omenaa Mensah w Warszawie. Planowany jest też świetny projekt w Willi Gawrońskich, Sylwia i Piotr Krupowie, a także Viola Wojnowski prowadzą dwie przestrzenie wystawiennicze we Wrocławiu.

Są to kontynuatorzy pani działań?
– Nie są kontynuatorami, mądrze robią swoją robotę.

Biznes w Polsce dojrzał do momentu, w którym zamożni, inteligentni ludzie będą chcieli przeznaczać coraz większe pieniądze na kulturę i sztukę. Mnie może martwić jedynie brak zrozumienia w „środownisku” i po stronie publicznej. Ostatnio dyskutowaliśmy o tym na kongresie Impact w Poznaniu. Brak współpracy publiczno-prywatnej ze strony administracji państwowej jest wielkim niedopatrzeniem i utrudnia wiele cennych inicjatyw.

GRAŻYNA KULCZYK O KOBIETACH

Kilka lat temu sprzedawała pani w warszawskiej Desie Unicum dwieście niezwykle cennych obrazów. Uszczupliła się pani kolekcja?
– Uszczupliła się, ale wzbogaciła o inne obrazy. Jestem poznanianką, kobietą gospodarną. Sprzedawałam obrazy cenne i mi bliskie [za niecałe 40 mln zł – red.], które jednak nie wносиły już tego, czego oczekiuję od mojej kolekcji. Zyskałam co innego.

Mogłam wzbogacić mój zbiór o parę bardzo istotnych dzieł artystek ze świata.

Skąd ten pomysł, aby także w Muzeum Susch skupić się na artystkach?
– Jestem kobietą, od tego trzeba zacząć. Sytuacja kobiet jest wciąż obiektywnie trudniejsza. Zawsze miałyśmy pod górkę. Przez 40 lat byłam przedsiębiorczynią, stąd wiem, ile wysiłku kobiety wkładają w organizowanie życia zawodowego i rodzinnego. Wspieranie kobiet w każdej możliwej dziedzinie jest wręcz niezbędne.

Pomimo zdecydowanej zmiany wciąż niedostatecznie mówi się o artystkach. W latach 60. i 70. ubiegłego wieku zaczęły się pojawiać manifesty takie jak Lindy Nochlin „Dlaczego nie było wielkich artystek?”. Natomiast realnie niewiele się działo w sensie wystawienniczym i rynkowym, a jeśli coś tu się teraz zmienia, i tak jest niewspółmierne w stosunku do reprezentacji mężczyzn w sztuce. Uznałam, że trzeba stworzyć instytucję, która to systemowo zmieni.

W Susch prezentuję już po raz dwunasty wystawę retrospektywną wybra-

nej artystki. Od połowy czerwca do końca listopada jest prezentowana monograficzna wystawa nowatorskiej, niezwykle bogatej twórczości Jadwigi Maziarskiej. Prace pochodzą z muzealnych i prywatnych zbiorów.

Wciąż chyba mało jest kolekcjonerek?
– To też jest luka, którą staram się w mojej skali wypełnić. Gdy w katalogach aukcyjnych Sotheby’s czy Christie’s widzę nazwiska kolekcjonerów, są to niemal wyłącznie mężczyźni, a w najlepszym wypadku małżeństwa. Kiedy pod młotek idzie jakaś seria obrazów, piszą tam, że pochodzą one z kolekcji zbudowanej przez pana XYZ, a czasami przez małżeństwo, chociaż wiadomo, że najczęściej facet decydował o tym, co kupić.

To się jednak zmienia – na scenie pojawia się coraz więcej kolekcjonerek. W gruncie rzeczy wszystkie się znamy i darzymy wzajemnym szacunkiem. Są to Włoszki Patrizia Sandretto Re Rebaudengo, kolekcjonerka i założycielka prywatnego muzeum w Turynie, i Miuccia Prada i jej fenomenalna fundacja w Mediolanie i Wenecji.

W Europie niezwykle istotnymi postaciami są Maja Hoffmann z jej projektem w Arles, jej kuzynka Maja Oeri, a także Julia Stoschek i Susanne Klatten.

Instytucjonalnie wyłącznie sztuką kobiet zajmują się tylko dwa muzea na świecie – National Museum of Women in the Arts w Waszyngtonie i...moje Muzeum Susch.

Jaka jest obecnie pozycja kobiet w Szwajcarii?
– Ciągłe kiepska, chociaż to się zmienia. Kobiety dostały prawo wyborcze w latach 70. XX wieku, a w kantonie Appenzell Innerrhoden dopiero na początku lat 90.! Wierzyć się nie chce, że w centrum Europy niedopuszczanie kobiet do przywilejów obywatelskich trwało tak długo.

Starsze pokolenie absolutnie nie zmienia swoich przyzwyczajeń, kobiety nadal tkwią przy mężach. Natomiast młodsze Szwajcarki mają systemowy problem z pogodzeniem pracy i obowiązków rodzinnych. Młode matki, jeśli nie mają do dyspozycji opiekunki lub babci, muszą odbierać dziecko na przerwę szkolną do domu na obiad. I w związku z tym nie mogą się zatrudnić w instytucjach, które takiej przerwy nie dają.

A kobiety w życiu publicznym?
– Są w rządzie, podobno świetnie sobie radzą.

W Polsce kobiety walczyły o siebie przez ostatnie lata, zwłaszcza o prawa reprodukcyjne, ale to się nie przełożyło na efekty.
– Jestem wkurzona i nie ukrywam zniechęcenia. Jesteśmy w ogonie Europy, jeśli chodzi o regulację związanej z aborcją. W fundacyjnym biurze mamy plakat, który już w latach 90. zaprojektowała dla polskich kobiet Barbara Kruger – „Twoje ciało to pole walki”.

Tak po prostu nie może być. I mówię to nie jako ateistka, tylko praktykująca katoliczka.

A jeśli chodzi o moje alpejskie muzeum, mam dobrą wiadomość dla miłośników architektury i sztuki. Kupiłam ostatni z zabytkowych budynków wchodzących w skład zespołu klasztornego. Ten właśnie obiekt, położony najbliżej drogi i rzeki, chcę przeznaczyć na prezentację mojej prywatnej kolekcji – w sposób, który nie zakłóci klarownego, niezależnego programu kuratorskiego muzeum.

Planuję wkrótce rozpocząć jego remont i rozbudowę – również podziemną. To potrwa, ale mam nadzieję, że za dwa lata będę mogła zaprosić państwa do nowego obiektu. Będzie to przestrzeń dopełniająca działalność fundacji: miejsce badań, publikacji związanych z wystawami oraz rezydencji dla pisarek i pisarzy. ●

CHCECIE CHLEBA

— na Zachodzie jest chleb!



• **„Jak zdobywaliśmy Pomorze”,** praca zbiorowa reporterów; Michała Wójcika, Cezarego Łazarewicza, Ewy Winnickiej, Martyny Grzywacz, Artura Domostawskiego i Magdaleny Grzebałkowskiej. Ukazuje się 29 lipca nakładem wydawnictwa Rebis

• **Darłowo, rok 1949. Widok na pochodzącą z XIV w. Bramę Wysoką**

FOT. JAN BUŁHAK/POLONA

Miasto będzie musiało teraz znaleźć sobie nowe imię. Spróbuje być Dzierzłowem, Dyrłowem i Derłowem, ale ostatecznie wybierze Darłowo.

Magdalena Grzebałkowska

Fragmentem książki
„Jak zdobywaliśmy Pomorze”

Witamy w Derłowie,
Rügenwalde, marzec 1945.

Kule złowrogo fiukają wokół głów

Trzynastoletni chłopiec podnosi ręce i wybiega na ulicę z okrzykiem „Zdra-stwujcie, towarzysze!”. Klaus obserwuje, jak radziecki żołnierz w długim szynelu i futrzanej czapie unosi broń.

Słychać strzał, dziecko pada na bruk. Jest noc z 6 na 7 marca 1945 roku. W Rügenwalde staje czas.

Za dwanaście lat Instytut Zachodni w Poznaniu ogłosi, że w konkursie na pamiętnik osadnika Ziemi Odzyskanych wśród 227 nadesłanych prac zwyciężyły wspomnienia Stanisława Dulewicza (rocznik 1893), przedwojennego nauczyciela i działacza społecznego.

Aresztowany w maju 1944 roku za tajne nauczanie w Radziejowie Kujawskim, został ostatecznie zesłany z dziećmi (dorosłe córki Anna i Maria Weronika oraz nastoletni syn Jędrzek) do obozu w Pile. Po miesiącu wywieziono ich na targ niewolników w Rügenwalde.

Końca wojny Dulewicz, rozdzielony z bliskimi, doczekał w gospodarstwie Frau Lignitz. Nazwany przez nią Klaussem, karmił zwierzęta, pracował w ogrodzie i chodził po sprawunki do miasta, gdzie

od grudnia roku 1944 obserwował gęstniejącą falę uchodźców z Prus Wschodnich.

Na początku marca 1945 roku miał już przy sobie córki i syna, z którymi przez wiele miesięcy nie miał kontaktu, a którzy pracowali u niemieckich gospodarzy.

Gdy nocą z 6 na 7 marca do Rügenwalde wkraczała Armia Czerwona, Dulewicz wyszedł z synem z domu obserwować zdobywanie miasta.

„Było to z mej strony wielkim nierozsądkiem, gdyż zbłąkane kule karabinowe mknęły od strony dzisiejszej ul. Chopina i nieraz złowrogo zaflukały koło naszych głów”, przyzna w pamiętniku.

Na pytanie Jędrka o to, co należy zrobić na widok Rosjan, poradził mu wyjść na ulicę z podniesionymi rękami i okrzykiem „Zdrastwujcie, towarzysze!”.

„Skurczyło się z przerażenia serce moje, że na progu wolności zabito mi jedyne-go syna”. „Nie strielat?! Ja Polak!” – Klaus wybiega na ulicę i kieruje się w stronę chłopca. Z ulgą zauważa, że ten się podnosi.

– „[...] zanim padła salwa, Jędrzek potknął się o jakiś »koci leń« w bruku, rozciągnął się jak długi – i upadek ten w samą porę ocalił go przed śmiercią”, napisze we wspomnieniach.

Czas rusza, ale już nie w Rügenwalde.

Miasto będzie musiało teraz znaleźć sobie nowe imię. Spróbuje być Dzierzłowem, Dyrłowem i Derłowem, ale ostatecznie wybierze Darłowo.

Nie ma też już niewolnika Klaus. Jest Stanisław Dulewicz, przyszyły burmistrz Darłowa.

Co zrabowali Krzyżacy, dzisiaj odbierzemy

„Życie Warszawy”, 29 maja 1945

„RODACY! [...] Ziemie zrabowane przez Krzyżaków, Bismarcków i przez Hitlera, wracają do Macierzy. W panice uciekł zaborca za Odrę, zostawiając wsie i miasta, dwory i fabryki, obsiane pola, zagospodarowane stawy i ogrody.

Te wyludnione obszary czekają na nas – prawowitych gospodarzy: na pracowite ręce chłopca, rzemieślnika i kupca, robotnika fabrycznego i pracującego inteligenta.

[...] Chcecie chleba – na Zachodzie jest chleb! Chcecie ziemi – na Zachodzie jest ziemia!

[...] Im wcześniej wyjedziecie, tym wcześniej będziecie zbierać plony, w tym większym porządku i w lepszym stanie otrzymacie zabudowania gospodarskie i dom mieszkalny.

[...] Tysiące naszych rodaków już gospodaruje na Zachodzie [...]. Jadą pociągami, samochodami, furmankami, idą pieszo.

[...] Pełna zapалу i energii wiejska i miejska młodzież, bezrolni i małorolni, ludność ze zniszczonych, nieobsianych i za-

minowanych terenów pasa frontowego nad Wisłą znajdzie na Zachodzie pole, owocne dla swojej przedsiębiorczości i pracy.

Planowo zorganizowanymi grupami i gromadami ruszamy na Zachód!

Do swoich wsi i miast!
Po pracę i dostatek!
[...]
Centralny Komitet Przesiedleńczy”

Ziemie Odzyskane, rok 1945. Tylko na chwilę

Ruszają. Ci, którzy nie chcą, siłą przenoszeni z Bugu, wsadzani do wagonów z dziećmi, kurami, jedną krową albo kozą, pierzynami zwiniętymi w toboły i skrzyniami posażnymi, w których schowali największe rodzinne skarby, ubrania, kawalek słoniny, może kilka fotografii, na pewno obraz z Matką Boską zdjęty ze ściany.

Czasem mają z sobą kota, bo dziecko rozryczało się w ostatniej chwili, że bez Mruczka nigdzie nie jedzie. Psy zostawili uwiązane przy budach. Ich pożegnalne skomlenie będzie im się śniło jeszcze długo w nowych niemieckich domach.

Czekają ich setki kilometrów w drodze, dni oczekiwania na bocznicach kolejowych, tygodnie wegetowania na dworcach, gotowanie obiadów na wspólnej kuchni z Niemcami.

Zostawiają 178,8 tysiąca kilometrów kwadratowych nazywanych Kresami Wschodnimi – województwa: wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie, sta-

nisławowskie, w części białostockie i lwowskie, ukochane Wilno i Lwów.

Przed nimi 101 tysięcy kilometrów kwadratowych ziem zachodnich i północnych zwanych przez propagandę Ziemiami Odzyskanymi: Prusy Wschodnie (przyszłe województwo olsztyńskie), Prusy Zachodnie, czyli Pomorze Zachodnie (województwa koszalińskie i szczecińskie), Ziemia Lubuska (województwo zielonogórskie), Dolny Śląsk (województwo wrocławskie) oraz niemiecka część Górnego Śląska i Opolszczyzna (województwa katowickie i opolskie).

Wanda Melcer, popularna przed wojną reporterka, w czerwcu i lipcu 1945 roku objęddza z ekipą dziennikarzy nowy kawałek Polski i zachwycia się:

„Czy uwierzycie, obywatele, ile mniejszych i większych miast otrzymaliśmy razem z tymi ziemiami?

Ni mniej ni więcej tylko 327 (przeważnie zresztą na Śląsku), co stanowi połowę ogólnej ilości miast w Polsce. [...] Tak, te miasta są odpowiednie do mieszkania: nowoczesne, higieniczne, pierwszorzędnie zagospodarowane i urządzone z wdziękiem”.

Rusząc też ci, którym nikt nie kazał wynosić się z rodzinnych domów. Polska była u nich przed wojną i po wojnie nic się nie zmieniło. Ale mają dość biedy, ciasnoty i życia na klepisku w kilkanaście osób.

Albo nie stać ich na odbudowę zniszczonych przez wojnę domostw. Lub nie wierzą, że zrujnowana Warszawa kiedyś powstanie z gruzów.

Niektórzy mają coś na sumieniu i liczą, że rozplną się w milionowym tłumie na Ziemiach Odzyskanych. Są również tacy, którzy chcą się jedynie wzbogacić na szabrze i wrócić, skąd przyjechali.

[...] Panuje chaos. Część osadników postanawia szukać szczęścia na własną rękę. Wyruszają w kilka osób do miejscowości, o których do niedawna nie słyszeli, zajmują gospodarstwa na wsiach lub domy w miastach i wracają po swoich, zakreśliwszy kredą na drzwiach zarezerwowanych lokali napis „Zajęte przez Polaka”.

To jednak niepewny środek, więc częściej kaza pilnować upatrzonego przybytku komuś znajomemu, uzbroiwszy o w karabin.

Jedno łączy wszystkich osadników. Nikt, kto wyrusza na Zachód, nie wierzy w to, że Polska będzie tam już zawsze.

Wszyscy jadą tylko na chwilę.

Derlów, lato 1945. Ogromna biała kokarda

Nie ma już Warszawy Franciszki i Bolesława Lewalskich. Na dom przy ulicy Miodowej, w którym mieszkali, w czasie powstania spadł samolot. Nie chcąc wychowywać czteroletniej córki Elżbiety wśród gruzów, Bolesław rusza na Zachód w poszukiwaniu lepszego życia.

– Wrócił po kilku dniach i wyjechaliśmy całą rodziną – wspomina Elżbieta Cwynar, córka Franciszki i Bolesława. – Dojechaliśmy pociągiem do Sławna, bo dalej nie było torów. Pięć dni tam mieszkaliśmy, ale mocno zrujnowane miasto mamie nie odpowiadało, więc przenieśliśmy się furmanką do Derłowa.

Lewalscy zajmują mieszkanie blisko dworca. Bolesław – mechanik i złota rączka, przedwojenny konstruktor riks – chciałby dostać pracę na kolei. Problem jednak w tym, że do miasta, w którym jest stacja końcowa, pociągi już nie dojeżdżają. Armia niemiecka, uciekając przed radziecką, rozebrała tory łączące Rügenwalde ze Schlawe. Porozrzucane podkłady i tory leżą wzdłuż nasypu, po którym jeździł pociąg.

Burmistrz Dulewicz monituje Dyрекcję Kolei w Słupsku o naprawienie torów – miejscowość potrzebuje łączności z krajem i środków transportu. Furmanki nie wystarczają. Do Derłowa przyjeżdża coraz więcej osadników. Na początku marca w mieście było zaledwie 120 Polaków – jeńców wojennych i robotników przymusowych. Było też kilka tysięcy Niemców – mieszkańców Rügenwal-

de i uchodźców z Prus Wschodnich, którzy nie zdążyli uciec przed nadejściem Armii Czerwonej.

Teraz do Derłowa dociera od trzydziestu do pięćdziesięciu Polaków dziennie. A potrzeba ich o wiele więcej, bo nie ma kto pracować w opuszczonych fabrykach czy gospodarstwach, żąć pszenicy, orać ziemi pod zboża ozime, opiekować się zwierzętami.

Na razie do tych prac wykorzystuje się Niemców, ale za jakiś czas zostaną odesłani do swojego kraju i jeśli na ich miejsce nie zjawi się odpowiednia liczba ludzi, wiosną derłowianie będą głodować. Jednak Dyrekcja Kolei w Słupsku, mimo ponagleń, nie odpowiada na prośby burmistrza.

Dulewicz będzie wspominał: „Zgłosiło się do mnie paru dróżników i zawodowych kolejarzy, paru ślusarzy, którzy obiecali swą pomoc w uruchomieniu odcinka kolejowego Darłowo–Sławno”.

Burmistrz każe im się brać natychmiast do roboty. Mają wziąć sobie do pomocy polskich ochotników i Niemców zatrudnionych w mieście przy pracach porządkowych. W narzędzia zaopatrują się w poniemieckich sklepach, z których radzieccy żołnierze nie zdążyli wyszabrować wszystkich kilofów, młotów, obcęgow, szpadli i śrub. Pracę idą bardzo szybko.

Pozwolenie na przejazd pierwszego pociągu wydają eksperci kolejni przysłani ze Słupska. Trwa jeszcze lato, najwyżej jest wczesna jesień, bo ludzie czekający na peronie są w letnich ubraniach.

– Miałam na sobie sukienkę w groszki z krótkim rękawem i ogromną białą kokardę na głowie – opowiada Elżbieta Cwynar. – Za mną stała mama, która prowadziła bufet na dworcu. Tatuś był zawiadowcą stacji i przyjmował pierwszy pociąg wjeżdżający po naprawie torów do Derłowa.

Przystrojoną zielenią lokomotywę z godłem Polski, zgromadzonych na peronie, zieloną bramę powitalną i burmistrza z oficielami pozujących na schodach wagonu fotografuje Wawrzyniec Czechowicz.

Polanów, sierpień 1945.

Grzeczni, ale patrzą spode łba

Wiera Jewdokimowna Wasiljewa (rocznik 1925) i Ryszard Socha (rocznik 1923) wybierają Ziemię Odzyskaną z powodu miłości. Ona jest Rosjanką spod Leningradu, on Polakiem z Ostrowi Mazowieckiej.

– Poznali się na przymusowych robotach w Niemczech – mówi Krystyna Różańska, ich córka. – Mama, której w ostatniej chwili udało się uciec przed blokadą Leningradu, została wywieziona na roboty z całą rodziną. Tata przez jakiś czas był w obozie Schwetig, żył tam w strasznych warunkach i pracował przy budowie autostrady Berlin–Posen. A potem trafił do niewolniczej pracy w gospodarstwie, gdzie już była mama. Miał lepszą pozycję niż jej rodzina, pomagał im, dokarmił, no i się w sobie zakochali.

Wiera i Ryszard nie chcą się rozstać po wyzwoleniu, zamierzają spędzić razem całe życie. Wymyślają więc fortel. Ona ucieknie rodzinie w Warszawie, podczas powrotu do Związku Radzieckiego. On będzie czekał na nią w Ostrowi.

Pod koniec lipca 1945 roku prawosławna Wiera zostaje katoliczką, przyjmuje imię Weronika i w Ostrowi bierze ślub z Ryszardem. Wesele jest skromne, w pożyczonej sukni, z bigosem jako jedynym daniem. Panna młoda dostaje w prezencie ślubnym nylonowe pończochy. Bardzo tęskni za rodzicami, siostrą Zoją i bratem Saszą, zobaczy ich dopiero po śmierci Stalina.

– A już piętnastego sierpnia jechali na Ziemię Odzyskaną – relacjonuje Krystyna Różańska. – Zewsząd nawoływano, żeby jechać. Że tam jest lepiej. Postanowili więc spróbować i zapisali się do zorganizowanego naboru. Najpierw myśleli o Mazurach, ale na Pomorzu, we wsi Wiekowo, brat ojca Marian był na robotach, a ich siostry jeździły tam na szaber zaraz po przejściu Rosjan. Więc znali teren.

Sochowianie jadą na Ziemię Odzyskaną wagonem bydlęcym. W bagażu mają jedynie podarty koc i bochenek chleba.

Ostatnia stacja – Sławno. Pracownicy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego kierują ich do Polanowa (po niemiecku Pollnow) leżącego 45 kilometrów na południe od Derłowa.

W ankiecie wyjazdowej Wiera i Ryszard napisali, że chcieliby dostać gospodarstwo i uprawiać ziemię. To dziwna decyzja. Ona przed wojną pracowała w Leningradzie, on był dobošem w orkiestrze Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie. Pracę na roli Ryszard pokochał podczas robót przymusowych – chce być gospodarzem jak niemiecki bauer.

Wiera nie podziela marzeń męża, ale mu się nie sprzeciwia. Zaczyna jednak myśleć, jak zmienić życie z wiejskiego na miejskie. Krewni Ryszarda osiedli w Derłowie, wolałaby być z nimi. Polanów niemal nie istnieje. Przechodząc przez to pomorskie miasteczko, front zniszczył je w osiemdziesięciu procentach. Niemniej nowy dom i gospodarstwo Sochów na obrzeżach miasta, pod lasem ocalały.

– A w środku mieszkali nadal poprzedni właściciele – mówi Krystyna Różańska. – Byli grzeczni, ale patrzyli spode łba. Moi rodzice podzielili się z nimi domem na pół.

Jedno łączy wszystkich osadników. Nikt, kto wyrusza na Zachód, nie wierzy w to, że Polska będzie tam już zawsze

Dawni gospodarze mają teraz służyć nowym właścicielom. Wierę to krępuje. Nie nawykła do proszenia kogoś o pomoc, mimo że praca w gospodarstwie jest ponad siły jej wyniszczonego robotami przymusowymi organizmu.

Niemców na Ziemiach Odzyskanych wciąż jest więcej niż Polaków. Ze spisu ludności z września 1945 roku wynika, że w samym tylko Polanowie żyje 3500 Niemców i 117 Polaków, a w Derłowie 4783 Niemców i 800 Polaków. Zaplanowane przesiedlenia zbiorowe jeszcze nie ruszyły.

Pierwsza powojenna

Pod koniec listopada 1946 roku na świat przychodzi Krystyna Różańska.

– Byłam pierwszym powojennym polskim dzieckiem poczętym w Polanowie – opowiada. – W szpitalu był niemiecki personel, poród odebrali niemiecki lekarz i niemiecka położna Christine. Mama ze wzruszeniem wspominała ją jako mądrą, dobrą kobietę, która odnosiła się do niej z sympatią, choć przecież była Rosjanką. Na cześć tamtej położnej dostałam imię.

Darłowo, lato 1946.

Małe, ale schudne

W lipcu Leon Lewczuk (rocznik 1896) przez trzy dni zwiedza Darłowo. W dzienniku, który prowadzi nieprzerwanie od 1924 roku, notuje: „Miasto Darłowo mnie się podobało, było małe, ale schudne i czyste. Nabrałem więc chęci przemieszczenia się tu na stałe”.

Znajomy z dawnych lat Ludwik Dzierżanowski, zastępca burmistrza Dulewicza, zaproponował mu objęcie stanowiska sekretarza w Zarządzie Miejskim Darłowa.

W mieście wciąż brakuje ludzi, zwłaszcza inteligentów. Pochodzący z Wołynia Lewczuk, wykształcony pod zaborem rosyjskim, przedwojenny samorządowiec po studiach, obieżyświat, byłby bezcennym nabytkiem.

Zanim Leon podejmie ostateczną decyzję, Darłowo musi obejrzeć Zofia (rocznik 1915), jego przyszła żona.

Teraz więc ona jedzie nad morze. „Po powrocie oświadczyła mi, że miasto Darłowo jej się podoba i gotowa jest tam przenieść się na stałe zamieszkanie”, zapisuje Lewczuk.

Leon zwalnia się ze stanowiska sekretarza gminy w Pruszczu (powiat Świecie

nad Wisłą), gdzie pracował od zakończenia wojny. Zofia, urodzona w Stanach Zjednoczonych, lecz mieszkająca od dwóch dekad w Pruszczu, jest zastępczynią swojego przyszłego męża. Także ona składa wy-mówienie.

28 sierpnia biorą ślub w pruszczańskim urzędzie stanu cywilnego, a potem w miejscowym kościele. Dzień później o godzinie 15.00 państwo Lewczukowie wysiadają z pociągu na dworcu w Darłowie. Od tej pory będzie to ich miejsce na ziemi.

„Niestety, mieszkanie dla nas nie było przygotowane – pisze Leon Lewczuk – i dosłownie w ostatnim momencie, przy naszej obecności, wysiedlona została jedna Niemka i przydzielili nam dwa pokoje z kuchnią przy ulicy Chopina, róg Curie-Skłodowskiej; przydzielono też nam chwilowo meble i tu my zamieszkali”.

Pierwszego września 1946 roku Leon Lewczuk rozpoczyna w Darłowie pracę jako sekretarz Zarządu Miejskiego. Zofia otrzymuje angaż do referatu Ewidencji i Ruchu Ludności.

●
Sekretarz Lewczuk bardzo szybko dochodzi do wniosku, że Stanisław Dulewicz, który jednocześnie jest dyrektorem miejscowego gimnazjum i przewodniczącym Polskiej Partii Socjalistycznej w Darłowie, nie radzi sobie na stanowisku burmistrza.

Notuje: „[...] w urzędzie roilo się od nadużyć i kradzieży. Dział finansowo-podatkowy funkcjonował tylko dla oka i w biurze całe dnie odbywały się orgie pijackie finansowane przez kierownika Gospodarstwa Rolnego Miejskiego. Jednym słowem, każdy kto mógł, to ciągnął do własnej kieszeni. [...] Ja dosłownie nie wiedziałem od czego zacząć, aby ukrócić tę anarchię, bo burmistrz nic nie widział i był szczęśliwy, że jemu codziennie dostarczane były artykuły spożywcze z Gospodarstwa Rolnego Miejskiego”.

Przyznane Lewczukom poniemieckie mieszkanie było tak wilgotne, że spleśniały im skórzane rzeczy. Okna drugiego, do którego się przenieśli, wychodziły wprost na podwórko Gospodarstwa Rolnego Miejskiego.

„Wiedziałem o wszystkich machinacjach kierownika o czym on też dowiedział się i robił mnie rozmaite wstręty. Nie chciałem na początku chodzić ludziom po piętach, postanowiłem znowuż zmienić mieszkanie”, zapisuje sekretarz.

Trzecie lokum, pięciopokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką, jest puste, bo poprzedni polski lokator wyprowadził się z całym poniemieckim dobytkiem. Ale Zarząd Miejski nakazuje uzupełnić braki w wyposażeniu. Do prowadzenia domu Leon i Zofia zatrudniają Niemkę. „Okazała się dobrą kobietą i człowiekiem i też ściągala do nas różne »cacka«”, odnotowuje Lewczuk w dzienniku. Wkrótce jednak niemiecka gospodyni zostaje wysiedlona, a na jej miejsce przychodzi sprowadzona z Pruszcza Polka. [...]

Darłowo, lato 1947. Płacz za śmietnikiem

W pobliżu dworca dzieci bawią się w chowanego. Każde stara się znaleźć jak najlepszą kryjówkę. Schowana za śmietnikiem sześciolatnia Elżbieta, córka pierwszego darłowskiego zawiadowcy stacji, nagle słyszy w pobliżu płacz.

– Spojrzałam głębiej za kubły i zobaczyłam niemowlę owinięte w czysty kocyk – wspomina Elżbieta Cwynar. – Nie wiedziałam, co robić. Zawołałam koleżankę. Przyszła, rozwinęła fachowo pieluchę i stwierdziła, że to chłopiec. Miała dwóch młodszych braci. Kazałam jej zostać z dzieckiem i pobiegłam po mamusię, która pracowała już wtedy w darłowskim domu dziecka.

Chłopiec trafia do placówki. Jest zdrowy. Nie ma przy nim żadnych dokumentów, nie wiadomo, kim jest jego matka. Zostaje ochrzczony jako Andrzej Darłowski. ●

● Skróty i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Tomasz Urzykowski, Rafał Górski

Indzie, którzy się tutaj urodzili, wyprowadzają się tylko w jedno miejsce, na cmentarz – mówi Dżery, uliczny artysta, który od 25 lat przygrywa przechodniom na gitarze, siedząc na murku przy ul. Świętojańskiej, w wąskiej uliczce prowadzącej do ul. Piwnej.

Mówi, że Stare Miasto zna jak własną kieszeń. A żartując dodaje, że nawet bardziej, „bo grając na ulicy, kieszenie zwykle są dziurawe”. Pieniądz wpada i zaraz z niej wypada. – To było powiedzenie pani Gabrysi Kownackiej, która zawsze, gdy przechodziła obok nas, rzucała dyche i mówiła, żeby nie zgubić w dziurawej kieszeni – wspomina słynną aktorkę i mieszkankę starówki, a konkretnie okolicy przy Kamiennych Schodkach. – Takich ludzi, jak ona było kiedyś więcej – podkreśla.

– Artystów? – pytam.

– Przede wszystkim Polaków. Dziś częściej słychać tu hiszpański, angielski, niemiecki... – wylicza.

W 2024 roku Warszawę odwiedziło 21 milionów ludzi. To ponad dwa razy więcej niż rok wcześniej. Według badań, które przeprowadził stołeczny ratusz, najpopularniejszym miejscem, do którego ciągnęli turyści – choćby na jeden dzień – było właśnie Stare Miasto.

Studenta tutaj raczej nie zaokrętujesz

Ale wieczorami ta część miasta wymiera. Kiedyś imprezy trwały do godz. 2-3 w nocy, dziś zamiast klimatycznych i roztańczonych uliczek, jest cisza. Nie zjesz, nie potańczysz, nie napijesz się. Żyje tylko nocny sklep francuskiej sieci, w którym można spotkać grupki turystów. Z rozmów z nimi wynika, że są nieco zaskoczeni.

Byli przekonani, że w Warszawie, jak na całym świecie, taka dzielnica jak Starówka żyje całą noc. A tak nie jest. Nocne życie Warszawy koncentruje się w innych rejonach. A mieszkańcy na ucho dopowiadają, że cisza na Starówce jest tylko pozorna. Tu kamienice mają specyficzną akustykę, dlatego nocne krzyki się niosą bardziej niż w innych miejscach. A jak wszędzie i tu zdarzają się nocne awantury, czy wesołe powroty do wynajętych apartamentów.

Zresztą mieszkań, udostępnionych na wynajem krótkoterminowy jest tu najwięcej. Ceny zaczynają się od mniej niż 250 złotych za noc. Ale to wyjątki. Dominują ogłoszenia od 400 złotych w górę. To więcej niż pokój w hotelu Novotel w samym centrum miasta. – U mnie na Piwnej, są tylko trzy mieszkania niewynajmowane przez Booking czy Airbnb – mówi pani Aneta.

Mieszka vis a vis sklepu Krówka, który działa od 1978 roku, a w zeszłym roku przeszedł gruntowną renowację i zerwał z wizerunkiem taniego sklepu osiedlowego. W sprzedaży pojawiły się rzemieślnicze lody i kawa. – Kasa, misiu, kasa – ironizuje.

Jej zdaniem Piwna to prawdziwe serce starówki. – Żaden Rynek czy barbakan. Na Piwnej oprócz Krówki jest minimarket spożywczy, warzywniak i nocny. Tu się spotykają lokalsi i obcokrajowcy, którzy nocują w mieszkaniach z Airbnb i chcą zrobić zakupy, by sobie coś ugotować – wyjaśnia.

Słaby dostęp do sklepów to jedna z głównych bolączek tej lokalizacji. Nie ma tu żadnego dyskontu, a w sklepach, które działają, jest drogo.

– Jak zabraknie śmietany do zupy, to wyskakując po nią w kapiach, musisz zapłacić 5-6 złotych. Studenta tutaj raczej nie zaokrętujesz – żartuje.

Dodaje, że oprócz Piwnej, drugi sklep to Żabka na Podwalu, ale odkąd wprowadzono w niej pizzę i zapiekanki, z Żabki zrobił się bar szybkiej obsługi i tubylcy jej unikają. – Najbliższy normalny sklep, to Biedronka naprzeciwko ambasady Chin. Piechotą



Warszawska Starówka to dziś jeden wielki hotel, i to tylko na krótki termin.

CAŁY ŚWIAT SPOTYKA SIĘ W KRÓWCE

to niby tylko 20 minut, ale w dwie strony to już czterdzieści minut stracone na szybki wypad – podkreśla.

Młody Trzaskowski, Niemen i Chyra

W ciepłe lipcowe popołudnie wąskie, brukowane uliczki tętnią życiem, turyści z aparatami w dłoniach przechadzają się, podziwiając freski na odrestaurowanych kamienicach, a w tle słychać gwar rozmów w ogródkach restauracji.

Za fasadą kamienic toczy się jednak normalne życie. – Które albo się kocha, albo nienawidzi. Nie ma innej opcji – mówi 55-letni Hubert, który mieszka przy ulicy Mostowej, a więc z dala od zgiełku Rynku. Mieszkanie odziedziczył po rodzicach. Gdyby nie rozwód, pewnie by je wynajmował, a tak wrócił na stare śmieci.

– Kiedyś starówka była zupełnie inna. Był porządny sklep mięsny, szewc, pasmanterie, to była normalna dzielnica. Można było wpaść „na jednego” do knajpy u Flika przy Jezuickiej, ale równie dobrze dostać w łeb. Na Jezuickiej był też komisariat

policii, zamknął się, jak zaczęli się stąd wyprowadzać ludzie, wyparła ich turystyka – opowiada.

Wspomina, że na Starówce mieszkali kiedyś głównie artyści i pracownicy warszawskich placówek kulturalnych. Pamięta młodego Rafała Trzaskowskiego, którego widywał w Marcinku na Podwalu, kultowym lokalu vis a vis pomnika Małego Powstańca.

Przez dekady lokal gościł kilka pokoleń warszawiaków, był także znany miejscem spotkań artystów, aktorów, reżyserów czy uczniów pobliskiej szkoły teatralnej. Imprezy były też w pracowni rzeźbiarza Zbigniewa Maliszewskiego przy ul. Bugaj.

– U pana Zbyszka drzwi się nie zamykały. Kilka razy byłem tam na imprezie, na której były powszechnie znane osoby: od Czesława Niemena po młodego Andrzeja Chyrę. Ale to wszystko zawdzięczam temu, że mieszkam na Starym Mieście. Inaczej nie miałbym tam wstępu – wyjaśnia.

Mówi, że dla tych, którzy tu jeszcze zostali i nadal na Starówce mieszkają, naj-

gorszy jest brak miejsc parkingowych. Jeśli ktoś nie ma przepustki, musi polować na wolne miejsce na płatnym parkingu wzdłuż Podwalu. Ale tam zwykle samochody zostawiają turyści.

Piętrowy autobus, hulajnogi i motocykliści

Paula na Starówce kilka lat mieszkała w wynajmowanym mieszkaniu. Za swoją kawalerkę jeszcze dwa lata temu płaciła 2,2 tys. zł. Dziś taka kwota to mrzonka. Na popularnym serwisie ogłoszeniowym ceny zaczynają się od 3 tys. zł. Ale sufitu cenowego nie ma.

– Właścicielka uznała jednak, że będzie wynajmować je na krótki termin, bo bardziej się jej to opłaca niż trzymać jednego lokatora, nawet jeśli miał być na kilka lat – opowiada. Ceny więc wystrzeliły w kosmos.

Przez te kilka lat zdążyła się przekonać, na czym polegają uciążliwości związane z mieszkaniem na Starówce. Duża liczba turystów wcale nie była najgorsza. Jeszcze większym wyzwaniem są sprawy związane z komunikacją.



• Mieszkańcy
Warszawy
obchodzą
70. urodziny
Starówki,
22.07. 2023

na Brzozowej. Pogoda piękna, w mieszkaniu nie ma klimatyzacji, więc duszno. Ale strach otworzyć okno, bo jeden z drugim krzyczą ze sceny i przekonuje, jak masz żyć. I oni jeszcze śmiać twierdzić, że chcą lepiej dla ludzi. Szkoda, że nie dla mieszkańców Starówki, którym zatruwają życie.

Ale mimo tego narzekania, które jest powszechne w rozmowach z obecnymi i byłymi mieszkańcami warszawskiej Starówki – na hałas, drożyznę, tłumy – przewija się w nich jeden motyw. To duma. Duma, z miejsca, które powstało z popiołów, z tego, że zostało wpisane na listę UNESCO jako symbol niezłomności. I choć dzięki nim, tubylcom, Starówka coraz bardziej staje się dzielnicą bookingową, to nadal zajmuje wyjątkowe miejsce w sercach warszawiaków.

– Tutaj każda kostka brukowa ma swoją historię, a my jesteśmy jej strażnikami – mówi mi starsza mieszkanka Starego Miasta, którą spotykam pod murami Barbakanu, gdy spaceruje z psem.

Twierdza walczącej Warszawy

Stare Miasto sto lat temu było jednym z uboższych rejonów Warszawy. Na zdjęciach z tamtego czasu widać zaniedbane kamienice, które zamieszkiwała głównie biedota.

Okres świetności Starówki, założonej na przełomie XIII i XIV w. na wiślanej skarpie obok zamku książąt mazowieckich, skończył się u schyłku XVIII w. wraz z utratą przez Polskę niepodległości, a przez Warszawę – rangi stolicy państwa z siedzibą królewskiego dworu.

Po rozbiorach stała się ona miastem najpierw pruskim, potem rosyjskim. Jej centrum w XIX w. przeniosło się na południe, w rejon dworca kolei żelaznej. Zepchnięta na margines Starówka zaczęła podupadać. Działania, które obecnie nazwalibyśmy rewitalizacją, podjęto tutaj w latach międzywojennych.

W dziesiątą rocznicę odrodzenia Polski kamienice wokół Rynku ozdobiono malowidłami, a za prezydentury Stefana Starzyńskiego odsłonięto fragmenty średnio-wiecznych murów obronnych. W sierp-

**Ostatnio roi się tu od
patriotycznych marszów.
Drą się, sikają po bramach,
piją alkohol. Strach otworzyć
okno, bo jeden z drugim
krzyczą ze sceny i przekonuje,
jak masz żyć**

Szukaj z nami fenomenu Warszawy i wygrывaj

• Razem z Muzeum Warszawy ogłaszamy konkurs na „Fenomen Warszawy”, czyli coś, co nasze miasto wyróżnia spośród innych. Swoją propozycję należy przesać za pośrednictwem formatki w serwisie **Wyborcza.pl/fenomenwarszawy**. Może to być też nagranie wideo lub audio albo zdjęcia. Na propozycje czekamy do 31 lipca, wyniki ogłosimy 20 sierpnia.

• Zwycięzcy otrzymają nagrody:
za pierwsze miejsce – 1500 zł, nocleg dla dwóch osób w pokoju gościnnym Muzeum Warszawy, roczna karta wstępu do muzeum;
za drugie miejsce – 1500 zł, roczna karta wstępu do Muzeum Warszawy, pakiet upominków; **za trzecie miejsce** – 1500 zł, roczna karta wstępu do Muzeum Warszawy. Kapituła wskaże też do 12 najciekawszych fenomenów, które zostaną poddane pod głosowanie w internetowym plebiscycie

– A weź ze Starego Miasta wyjedź. Pracowałam na ul. Mokotowskiej. I żeby się tam dostać, musiałam bardzo kombinować. Latem Trakt Królewski jest częściowo zamknięty, autobusy jadą objazdem przez Senatorską i tworzą się tam niewyobrażalne korki.

Tak samo wygląda wyjazd z Podwała, przez ul. Długą, gdzie roi się od zdezorientowanych turystów, którzy szukają miejsca parkingowego. A jeszcze jeździ tamtędy piętrowy autobus, hulajnogi i motocykliści robią sobie zjazdy.

Polityka zamiast rocka

Na problemy wyludniającej się starówki inaczej patrzy Karol Terenowicz. Zna ją go tu wszyscy. Pod koniec lat 90. pracował jako wydajło w restauracji U Barssa. To w nim gościł Janusz Gajos we wstrząsającym filmie „Żółty szalik” według scenariusza Jerzego Pilcha.

Dziś rozdaje ulotki jednej z restauracji. Spaceruję z nim w okolicy pomnika Jana Kilińskiego na Podwalu. Dochodzimy do placu Zamkowego, na rogu od 2020 roku działu tu McDonald’s.

– To jest symbol. Starówka sama stała się fast foodem i wypędza stąd ludzi. Kiedyś to było nie do pomyślenia, nawet gdy w latach 90. był problem z bandziorami, to wszystko było jakoś ze smakiem. Teraz jest coraz więcej tandety – mówi.

Zwraca uwagę, że na Starówce zmienili się nawet uliczni artyści. – Kiedyś to byli artyści przez duże „A”. Muzycy, iluzjoniści, trupy teatralne, tancerze... Teraz bronią się tylko polykacze ognia. To cyrkowcy, więc fajnie się prezentują. Reszta zrezygnowała ze sztuki ulicznej, ich miejsce zajęły obrotowe stanowiska do selfie z muzyką disco polo. Dlatego warszawiaka trudno tu spotkać. Ludzie wiedzą, że tu jest drogo, tłoczno i tandetnie.

Mówi też, że zmieniło się jeszcze jedno. – Kiedyś mieszkańcy skarżyli się, że miasto stale organizuje im koncerty rockowe i przez ten hałas nie da się tu żyć. Ale udało się im wywalczyć, żeby to ukrócić. Teraz na Starówce robi się politykę – twierdzi.

– Ostatnio roi się tu od patriotycznych marszów. Drą się, sikają po bramach, piją alkohol. Niedawno byłem u znajomej,

FOT. SP. AWOMIR KAMINSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Wieczne ruiny czy osiedle mieszkaniowe

Tuż po wojnie odbudowa Starego Miasta nie była wcale przesądzona. Komunistyczne władze początkowo nie widziały dla siebie propagandowych korzyści w podnoszeniu z ruin kamienic i kościołów, będących wszakże dziedzictwem burżuazyjnej Warszawy. Budowano Trasę W-Z, Mariensztat, Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową, Muranów, Dom Partii. A na Starówce wciąż sterczały kikuty wypalonych murów.

Odbudowa historycznych obiektów była zresztą sprzeczna z panującą wówczas doktryną konserwatorską wykluczającą rekonstrukcje zabytków. Padaly propozycje, żeby resztki Starego Miasta wyburzyć albo pozostawić w wiecznej ruinie. Historyk i krytyk literatury Kazimierz Wyka pisał na łamach „Odrodzenia”: „Nie powinniśmy tych zaoranych skib podnosić i na nowo czynić bruzdą Świętojańskiej, Dunajów Wąskich i Szerokich. Czy każda odbudowa według takiego schematu nie byłaby po prostu falsyfikatem. Dla kogo i po co? Już bym wolął nie tykać tego krajobrazu, obwieść go autostradą, usadzić przy niej restauracje i dancingi, zamówić gwiazdki w przewodnikach, niech wokół ruin kołują bogacze z Zachodu i zostawiają dolary na odbudowę reszty”.

Odmienne stanowisko reprezentował architekt, historyk sztuki i konserwator zabytków Jan Zachwatowicz, który po wojnie został Generalnym Konserwatorem Zabytków. Równocześnie kierował Wydziałem Architektury Zabytkowej Biura Odbudowy Stolicy.

W artykule-manifeście opublikowanym w „Biuletynie Historii Sztuki i Kultury” napisał: „Nie mogąc zgodzić się na wydarcie nam pomników kultury, będziemy je rekonstruowali, będziemy je odbudowywali od fundamentów, aby przekazać pokoleniom, jeżeli nie autentyczną to przynajmniej dokładną formę tych pomników, żywą w naszej pamięci i dostępną w materiałach”.

Przekonał ówczesne władze, że odtworzone Stare Miasto można włączyć w nurt przemian społecznych jako socjalistyczne osiedle mieszkaniowe. Już w 1945 r. kazał rozwieść na ruinach Starówki czerwone tablice z zakazem rozbiórki.

Bolesław Bierut przerzucił kilka łopat

Pierwsza decyzja o odbudowie Starego Miasta zapadła w 1947 r. Jej zasady określili profesorowie Jan Zachwatowicz i Piotr Biegański, architekt pełniący wtedy funkcję Konserwatora Zabytków m.st. Warszawy. Starówka miała mieć średniowieczny układ ulic, a kamienice – XVII- i XVIII-wieczny kostium.

Jako szczególnie cenne należało wyeksponować odkryte średniowieczne fragmenty. Dotyczyło to zwłaszcza przeznaczonych do odtworzenia murów obronnych i Barbakanu. Za historycznymi elewacjami domów miały się znaleźć współczesne mieszkania, instytucje użyteczności publicznej, sklepy i punkty usługowe.

1 września 1947 r. na Starówce pojawił się prezydent RP Bolesław Bierut. Przerzucił kilka łopat potłuczonych cegieł inicjując w ten sposób akcję odgru-



• Rok 1953. Festyn z udziałem ekip odbudowujących Stare Miasto FOT. ZBYSZKO SIEMASZKO / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Putrament: olbrzymie głazy przypominają, że tu stała katedra św. Jana. I oto przed nami Rynek Starego Miasta – pięciometrowe kurhany gruzów

wywania historycznej dzielnicy. W tym czasie w pracowni kierowanej przez architekta Mieczysława Kuzmę powstawały projekty domów. Gorzej było z ich realizacją. Pieniądze ze Społecznego Funduszu Odbudowy Stolicy płynęły powoli. Brygady robotników co rusz przierzucano na inne budowy.

W końcu naczelny architekt Warszawy Józef Sigalin wystąpił do władz o przyspieszenie ślimaczącej się odbudowy. Przedstawił im plan podźwignięcia w krótkim czasie z ruin ciągu zabudowy przechodzącego przez Stare i Nowe Miasto, nazwanego Traktem Starej Warszawy. Propozycja chwyciła.

Uchwałę w tej sprawie podjęło w lipcu 1952 r. Prezydium Rządu. Wyznaczono mordercze terminy: kamienice przy Rynku, Zapiecku i Piwnej miały być gotowe do 22 lipca 1953 r., a cały trakt od placu Zamkowego przez Świętojańską, Rynek, Nowomiejską, Fretę do Zakroczymskiej – rok później. Kierownik budowy inż. Mieczysław Strzelecki był przerażony. Przysnał to po latach w pamiętniku „A Starówka znów stoi”.

Kamienice po dwóch stronach Rynku trzeba było wznosić niemal od podstaw, a po stronie Dekerta – tu gdzie mieści się Muzeum Warszawy – przemurować ściany i dokonać wielu przeróbek. Na Zapiecku i Piwnej też wszystko było rozgrzebane.

„Nagle zaroilo się od robotników – resztki odgruzowywania. Gruz okazało się więcej, niż było, odchylające się bowiem od pionu ruiny niektórych kamieniczek (...) wymagały wyburzenia niemal do pierwszego pietra. Szły pojawiały się szyny i pociąg z zała-

dowanymi gruzem wagonikami odjeżdżał i wracał ul. Świętojańską. Trwało to dosyć długo, co nie przeszkadzało w stawianiu rusztowań, które stopniowo pięły się ku górze. A rusztowań było tyle, ile stron Rynku – cztery” – wspominał w „Kronice Warszawy” prof. Janusz Durko, wieloletni dyrektor Muzeum Historycznego m.st. Warszawy (dzisiejszego Muzeum Warszawy).

Czerwienieją się nowiutkimi dachówkami

Codziennie do pomocy robotnikom zgłaszało się około tysiąca ochotników. Przy ich udziale ze Starówki udało się usunąć łącznie blisko 500 tys. m sześciennych gruzu.

W trakcie prac zdarzały się momenty dramatyczne, na przykład gdy popsuło się koło samojedźnego dźwigu Wolf i nikt nie potrafił go naprawić. Na przełomie 1952 i 1953 r. złapał silny mróz, ale robót nie przerwano ani na chwilę. Na środku Rynku w wielkich kotłach grzano wodę do zalewania zaprawy. Termin ukończenia prac został dotrzymany.

Pierwszy odbudowany fragment Starego Miasta uroczystie otwarto 22 lipca 1953 r. z udziałem najwyższych władz państwowych i tysięcy warszawiaków. „Odświeżenie wyglądają staromiejskie fasady mieszczańskich kamieniczek. Błyszcza złoconiami i barwą polichromii. Bieleją świeżością nowych tynków, czerwienieją się nowiutkimi dachówkami. Dumni byli budowniczowie tej kolebki miasta, że dali radę w tak krótkim czasie odbudować pierwszą część zabytkowego Traktu. (...) Dumni byli, że Stare Miasto mogło dzięki ich wysiłkowi gościć w dniu ogólnej radości kierownictwo naszego Rządu i Partii” – relacjonował tygodnik „Stolica”.

Odbudowa Starówki była przedsięwzięciem interdyscyplinarnym. Uczestniczyli architekci, konstruktorzy, konserwatorzy zabytków, ale też artyści tworzący malowidła ściennie, w tym sgraffita, dekoracje rzeźbiarskie i unikatowe w formie semaforowe szyldy.

„Po raz pierwszy w dziejach naszej sztuki nowoczesnej wła-

śnie przy odbudowie Rynku Starego Miasta nawiązano współpracę plastyków z architektami na tak szeroką skalę. Nie będziemy wnikali w poszczególne studia tej współpracy, w szereg widocznych jeszcze błędów czy niedociągnięć, (...) podkreślić bowiem pragniemy jedynie fakt nie podlegający żadnej chyba dyskusji: piękna forma Rynku Staromiejskiego możliwa była do osiągnięcia jedynie przez wspólny wysiłek architektów, malarzy i rzeźbiarzy” – napisał Aleksander Wojciechowski w książce „Rynek Staromiejski” wydanej rok po otwarciu pierwszej części Starówki. Jej ostatnie fragmenty kończono już w latach 60.

Przekupka zamiast św. Weroniki

Nie wszystkie obiekty odbudowano. Zrezygnowano na przykład z odtworzenia Wieży Marszałkowskiej i Szpitala św. Łazarza przy Mostowej. Z drugiej strony, starano się zachować jak najwięcej autentycznej substancji. W wielu przypadkach zmieniano jednak program ikonograficzny budynków, zastępując umieszczone na nich wizerunki świętych przedstawieniami na wskroś świeckimi.

Do najbardziej spektakularnych przypadków takich działań należy przekształcenie dekoracji kamienicy kupca Jakuba Gianottiego przy Wąskim Dunaju 8. Wierzącą jej attykę figurę Chrystusa Zmartwychwstałego wymieniono na obelisk, a znajdujące się poniżej popiersie św. Weroniki z chustą w rękę przekuto na portret przekupki w chusteczce.

Nie bez wpływu na jakość odbudowy miały tempo wykonywanych prac i użyte materiały, między innymi pochodzące z rozbiórki. W ocenie konserwatorów remontujących staromiejskie kamienice, im dalej od Rynku i później, tym mniej starannie je odtwarzano.

Na Starym Mieście jako osiedlu docelowo miało zamieszkać 3 tys. osób. Standardem były mieszkania składające się z dwóch lub trzech izb, wyposażone we wszystkie dostępne wtedy media. Każdy blok zabudowy miał swoją kotłownię i skład koksu. By zapewnić mieszkańcom większy komfort życia, zrezygnowano z odtwarzania znacznej części oficyn, urządzając w ich miejscu zielone podwórza. Projektanci zaplanowali też żłobek, przedszkole, ambulatorium, aptekę i pocztę.

W staromiejskich kamienicach kwaterowano osoby z różnych warstw społecznych. Jeden z pierwszych mieszkańców, Władysław Matkowski, pół wieku później opowiadał dziennikarzom „Gazety Stołecznej” jak się tu znalazł.

Przydził na pokój z kuchnią z widokiem na podwórze w kamienicy przy Rynku Starego Miasta dostał jako młody pracownik Centrali Handlu Zagranicznego. Miał już żonę, akurat urodził mu się syn. Był na liście oczekujących na mieszkanie. Tak się złożyło, że człowiek z poprzednim numerkiem z listy zrezygnował z przydziału, bo chciał mieć większe lokum. Skorzystali na tym państwo Matkowscy.

Zamieszkali na Starówce, w jednym domu z nauczycielką, urzędniczką pocztą i hydraulikiem. Początkowo przyznano im mieszkanie z widokiem na Rynek. Kiedy pan Władysław kończył już malować ściany, dowiedział się, że w kamienicy zmieniono numerację lokali, skutkiem czego z żoną i dzieckiem musi się przenieść do innego, z gorszymi warunkami. „Tamto mieszkanie przydzielono komuś innemu. Może miał lepsze dojścia?” – zastanawiał się w rozmowie z nami.

Odbudowa Starego Miasta otworzyła drogę do podniesienia z ruin zabytkowych centrów Gdańska, Poznania czy Lublina. W 1980 r. dzięki staraniom architekta i konserwatora zabytków prof. Krzysztofa Pawłowskiego warszawska Starówka została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Powodem tego wyróżnienia nie były jej wartości architektoniczne, czy historyczne, ale to, że jest „wyjątkowym przykładem całkowitej rekonstrukcji zespołu historycznego”. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34387927

Warszawa to więcej niż miasto.

Weź udział w konkursie:
Wyborcza.pl/fenomenwarszawy

ORGANIZATOR

PARTNER GŁÓWNY

PARTNER

70. rocznica wystawy Arsenał '55

NIEŚMIAŁO OTWARTE DRZWI DO WOLNOŚCI

To wydarzenie bywa uznawane za narodziny polskiej sztuki współczesnej. Niesłusznie. To był tylko ostrożny powrót do twórczej swobody po opresyjności socrealizmu

Maria Anna Potocka*

Włody człowiek, któremu w 1918 r. подарowano wolną Polskę, był potomkiem kilku generacji Polaków żyjących w niewoli. 21 lat później – już jako dorosły – ten człowiek doświadcza koszarnej niewoli pod lufą hitlerowców. Wychodzi z tego biedny, rodzinie pokancerowany, upokorzony swoją bezradnością w obliczu tragedii Żydów lub tłumiący wyrzuty sumienia za bezczynność albo za czyny, do których nigdy się nie przyzna.

Rok 1945, koniec wojny, przywraca mu poczucie wolności, które trochę przypomina narkotyczne zachłyśnięcie się swobodą. Ale nie na długo. Rok 1949, początek stalinizmu, zmusza Polaków do wstrzymania tego oddechu i uważania na czyny, słowa i znajomości. Od tego momentu znowu obowiązuje pakiet ochronny człowieka zniewolonego.

Śmierć Stalina to kolejny wystrzał w wolność. W 1953 r. nasz pięćdziesięcioparolatek ma za sobą kilka niewoli i kilka wolności. Każda z nich była trochę inna i każda inaczej grała skalą opresji. Historia niczego temu człowiekowi nie oszczędziła. Jego dzieci, urodzone w latach międzywojennej wolności, zderzyły się młodziemczo z II wojną światową, a potem dorosły w latach stalinowskich. To ich mentalność i ich skomplikowane poczucie wolności stworzyły Arsenał '55, drugą po wojnie odsłoniętą wolną sztukę.

Systemy posttotalitarne, które zawdzięczają swoje istnienie temu, że ich totalitarny poprzednik totalnie przegiął, wypuszczają wolność z pewnym nadmiarem. Nie ma w tym geście politycznego otwarcia. Jest to podszyty lękiem eksperyment, zakładający moment, w którym wolność zacznie być niebezpieczna.

Decydenci obserwują, na ile posmak wolności dodaje ludziom odwagi i na ile ta odwaga może być dla systemu zagrożeniem. Najczęściej czymś takim się okazuje, bo wolność daje siłę i hardość. Więc smycz z powrotem się napręża. Cenzura tnie głębiej, sztuka jest poskramiana przekupstwem, po-



**Ogólnopolska Wystawa
Młodej Plastyki,
która do historii przeszła
pod nazwą Arsenał '55, była
zapowiedzią Października
'56 i równocześnie
artystyczną manifestacją
postalinowskiej, kalekiej
wolności**

mieszanym z zakazami, a kontakty ze światem ograniczane. Ten zabieg polityczny kończy się prawie zawsze zamykaniem ust twórcom.

Ale rok 1955 był dopiero wstępem do tego eksperymentu i przypominał nieśmiało otwieranie drzwi do wolności. Zaczną się one zamykać dopiero – a raczej już – za trzy lata. Władysław Gomułka, absolwent szkoły podstawowej – entuzjastycznie przyjęty przez Polaków, m.in. Marię Dąbrowską – wystraszył się konfrontacji z wyzwolonymi intelektualistami i przywrócił stalinizm w wersji zmiękczonej. „Polski Październik” nie trwał długo, ale

nieodwracalnie przeniknął umysły polskich twórców poczuciem prawa do wolności myśli i wypowiedzi. Sporo za to płacili przez kolejne 30 lat, ale udało im się ten kaganek przechować.

Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki, która do historii przeszła pod nazwą Arsenał '55 [otwarta 21 lipca 1955 r. w Warszawie], była zapowiedzią Października i równocześnie artystyczną manifestacją postalinowskiej, kalekiej wolności. W dziesiątą rocznicę zakończenia wojny doskonale jesz-

• Andrzej Wróblewski, „Matki”, olej, tempera, 179 x 135 cm
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE
© FUNDACJA ANDRZEJA WRÓBLEWSKIEGO

cze pamiętano jej dramat. Ciągłe z lękiem o niej myślano i ona wydawała się największym złem, z którym wszelkimi sposobami należało walczyć. Nic więc dziwnego, że hasło wystawy – zapewne narzucone odgórnie przez polityków kultury – brzmiało: „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi”.

W przygotowanie wystawy zaangażowanych było prawie 50 osób. Komisarzem (dzisiaj: kurator) został Aleksander Wallis, a przewodniczącym komisji kwalifikacyjnej Wojciech Fangor. Było w niej kilka osób, które historia postawiła na piedestale: Walerian Borowczyk, Antoni Kenar, Jerzy Panek, Ryszard Stanisławski i Andrzej Wajda. Wtedy wystawę przygotowywano demokratycznie i nie była ona autorytarnym konceptem kuratora; co niekoniecznie wychodziło sprawie na dobre. W tamtych czasach rola komisarza polegała przede wszystkim na logistycznym rozparcelowaniu, oprawieniu i powieszeniu prac. W Arsenale postawiono przed nim wielkie wyzwanie, bo wystawa obejmowała ponad tysiąc dzieł.

Katalog (obecnie rarytas) nie wysiłał się na kuratorski intelekt – co dzisiaj bywa niezdrowe – tylko skrupulatnie zinventaryzował stan wystawy. Podano, kto odpowiada za pomysły i wybory, jak wystawa została podzielona i jakie prace pokazali artyści: nazwisko, tytuł, technika, wymiar. Tę lakoniczną publikację zdobiło prawie 50 czarno-białych reprodukcji wybranych według zasady „dogodzić wszystkim”.

Komisarz wystawy i przewodniczący komisji powierzyli honor napisania wstępu Andrzejowi Jakimowiczowi, najlepiej z całej grupy przygotowanemu i najsprawniej piszącemu. Nie wykorzystał on sytuacji do popisania się intelektualno-krytycznymi możliwościami, tylko na dwóch stronach starał się przybliżyć wystawę tym, którym „dalej do sztuki”.

W Arsenale pokazano trzy media: malarstwo, grafikę i rzeźbę. Udział wzięło 130 (!) malarzy, 94 (!) grafików i 45 rzeźbiarzy. W sumie ponad 260 artystów. Parę nazwisk się powtarzało.

Spośród malarzy do większej historii przeszli: Izaak Celnikier, Tadeusz Dominik, Stefan Gierowski, Wanda Gólkowska, Józef Hałas, Adam Hoffmann, Juliusz Joniak, Barbara Jonscher, Jan Lebenstein, Andrzej Matuszewski, Alfons Mazurkiewicz, Marek Oberländer, Teresa Pagowska, Jerzy Potrzebowski, Jacek Sempoliński, Jacek Sienicki, Franciszek Starowieyski, Andrzej Strumiłło, Jerzy Tchórzewski, Andrzej Wróblewski.

Spośród rzeźbiarzy: Jerzy Bereś, Bronisław Chromy, Jerzy Jarnuszkiewicz, Józef Marek, Maria Pinińska-Bereś, Antoni Rząsa, Magdalena Więcek.

Spośród grafików: Walerian Borowczyk, Jan Chwałczyk, Józef Hałas, Janina Kraupe-Swiderska, Włodzimierz Kunc, Jan Lenica, Lucjan Mianowski, Jerzy Panek, Jan Szancenbach, Jan Tarasin, Stanisław Wóytowicz, Józef Żąbkowski.

Przesłanie artystyczne wystawy – przekazane doborom reprodukcji – jest mocno zachowawcze. Dominują klasyczne techniki i wyłącznie realistyczne przedstawienia. Odwagę wyczuwa się jedynie w ekspresji, uproszczeniach i deformacjach. Wiele prac na kilometr pachnie jeszcze socrealizmem. Sporo artystów starało się oddać dramat wojny. Najślawniejszą antywojenną kompozycją wystawy było „Getto” Celnikiera (w Wikipedii, jako praca z Arsenalu, reprodukowany jest niewłaściwy obraz).

Docenieni przez historię artyści pokazali w Arsenale prace w niczym nieprzypominające ich późniejszej twórczości. Dla przykładu warto kilku przywołać. Jerzy Tchórzewski – później członek Grupy Krakowskiej – znany obecnie ze swoich ekspresyjnych, lekko agresywnych abstrakcji, w Arsenale dał widzom mocno do myślenia: przedstawił nagą, monumentalną kobietę z ogromnymi piersiami, zaatakowaną przez złowrogą hybrydę nietoperza z bombowcem.



• **Pracownia prof. Xawerego Dunikowskiego, ul. Helclów w Krakowie. Jerzy Bereś przy pracy nad rzeźbą profesora, 1954/55**

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

w kinie, a bogatsze w teatrze”. Nie było powstania: „Bo by się porcelana potłukła”.

W Warszawie Krzysztof Kamil Baczyński, zamiast oszczędzać swój talent dla chwały literatury polskiej, walczył i dał się zabić w powstaniu. W Krakowie Tadeusz Kantor realizował swoją pasję teatralną, organizując spektakle w prywatnych mieszkaniach.

Kto miał rację? Jakich twórców zostawiały po sobie tak różnie doświadczono miasta?

Artyści „Nowoczesnej”, których ukształtował Kraków, dopiero co wyrwali się z niewoli niemieckiej, z koszmaru faszyzmu i ich poczucie wyzwolenia było pełne. Byli wolni i chcieli zapomnieć. Zawładnęła nimi abstrakcja i eksperyment, odkrywanie własnej niezwykłości i niepowtarzalności. Osiągnęli wolność na obu polach – zewnętrznym i wewnętrznym. Ich wystawa musiała nieźle przerazić aparat partyjny potencjałem swojej niezależności.

Jednak wbrew pojawiającym się informacjom tej wystawy nie zamknięto ostatecznie, tylko pozwolono jej doczekać końca zaplanowanej, miesięcznej ekspozycji. Natychmiast potem, w połowie stycznia 1949 r., ogłoszono doktrynę socrealizmu. Dla artystów był to upadek na dno piekieł. Praktycznie wszyscy z „Nowoczesnej” zamilkli i zamknęli się w sobie.

Artyści Arsenalu wyrwali się z niewoli polsko-stalinowskiej. Takie zniewolenie skuteczniej penetruje duszę niż wroga okupacja. Głębiej przenika nas to, co własne, niż to, co cudze

Z kolei Jerzy Bereś – też parę lat później członek Grupy Krakowskiej – sławny przez swoje rzeźby i ołtarze z brutalnie ciosanego drewna, zaprezentował w Arsenale gipsową postać Xawerego Dunikowskiego, swojego wybitnego nauczyciela.

Z generacji arsenalowskiej, czyli tej urodzonej około 1930 r., jedynie Andrzej Wróblewski – dla którego ta wystawa była wielkim wydarzeniem – pokazał się w pełni dojrzałości artystycznej. Jego „Matki” – wybitna kompozycja – w zaskakująco precyzyjny i przebiegły sposób operując uproszczeniem, geometrią, gestem, zawieszeniem ruchu, koncentracją jednej postaci na drugiej, rozdzieleniem światów. Trudno uwierzyć, że tak młody człowiek posiadał słuch do tego stopnia wyczulony na niuanse i impulsy znaczeniowe obrazu.

Arsenal '55 bywa niesłusznie uznawany za narodziny polskiej sztuki współczesnej. Był on „jedynie” nieśmiałym powrotem do twórczej wolności po opresyjności socrealizmu. Prawdziwe narodziny polskiej sztuki współczesnej miały miejsce w 1948 r. na I Wystawie Sztuki Nowoczesnej. Za to, że Arsenal przegrywa w konkurencji „ważność sztuki” z „Nowoczesną”, nie można winić artystów. „Arsenalowcy” byli ofiarami historii i jej psychologicznych oraz socrealistycznych manipulacji.

„Nowoczesną” utworzono w Pałacu Sztuki w Krakowie w połowie grudnia 1948 r. Udział w niej wzięło ponad 30 artystów, wśród nich: Tadeusz Brzozowski, Witold Damasiewicz, Zbigniew Dłubak, Maria Jarema, Tadeusz Kantor, Janina Kraupe, Jadwiga Maziarska, Kazimierz Mikul-

ski, Jerzy Nowosielski, Andrzej Pawłowski, Erna Rosenstein, Jerzy Skarżyński, Henryk Stażewski, Jonasz Stern, Władysław Strzemiński. W przeciwieństwie do Arsenalu, gdzie z listy artystów do historii przeszło kilkanaście procent nazwisk, „Nowoczesna” ma transfer niemal 90-procentowy i na dodatek wielu z tych artystów to nazwiska znane w świecie i niezwykle pożądane na rynku kolekcjonerskim.

Arsenal '55 ma swój sztandar, jest nim wspomniane hasło: „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi”. Przyczyna narzucenia tej wystawie hasła, i to właśnie takiego, miała mocną wymowę polityczną, bo w tej inwokacji pulsowało pokłosie socrealizmu. Sztuka musi odnosić się do ważnego tematu, walczyć o coś i przekonywać do tego innych. Musi coś przedstawiać i służyć jakiejś idei.

To bardzo ciekawy moment historii, wart analizy i wzięcia sobie jego doświadczeń do serca. Mamy w Arsenale do czynienia z „cofką” wolnościową. W 1948 r. artyści, uciekając od wspomnień, poddali się prywatnym wizjom, formalnym eksperymentom i zanurzyli w abstrakcji. Te wystawy to osobne kosmosy sztuki. Dlatego warto porównać Arsenal '55 z I Wystawą Sztuki Nowoczesnej, zaczynając od spojrzenia na miasta, które te wystawy zainspirowały.

Warszawa w czasie wojny była polem walki. Bombardowana w 1939 r., pokrwawiona ulicznymi egzekucjami, spalona w dużej części w 1943 r. w czasie powstania w getcie, doszczętnie zbombardowana w 1944. Kraków był stolicą Generalnej Guberni, gdzie niemiecki król Polski zasiadał na Wawelu i chciał mieć spokojne miasto. Działyła kina i teatr: „Tylko świnie siedzą

Wprowadzenie socrealizmu oznaczało, że wszystkie galerie mogły i musiały wystawiać tylko „taką” sztukę, a wszystkie wydawnictwa publikować tylko „taką” literaturę. Dokonał tego Włodzimierz Sokorski, ukończony filozof, kiepski pisarz i na dodatek generał.

Ten człowiek miał politycznego nosa do kultury. Doskonale zdawał sobie sprawę, że sztuka i literatura wypuszczone na wolność kreują obywatela niezależnego, skłonnego do pogłębionych refleksji, słowem niebezpiecznego dla systemów opartych na przekłamanej idei, na dodatek systemów, które nie wynagradzały tej duchowej niewygody luksusem życia.

Na takiego obywatela trzeba uważać, bo łatwo może się obudzić i desperacko wyrwać w stronę wolności. Dlatego lepiej z góry ograniczyć jego refleksyjność. Artystom niezależnym zamknięto wtedy dostęp do publiczności, żeby przynajmniej ją oszczędzić przed zarazą niezależnego patrzenia na świat.

Artyści Arsenalu zostali poddani innemu doświadczeniu. Oni wyrwali się z niewoli własnej, z niewoli polsko-stalinowskiej. Wydaje się, że z psychologicznego punktu widzenia jest to zniewolenie skuteczniej penetrujące duszę niż wroga okupacja. Głębiej przenika nas własne niż cudze.

„Nowocześniaki” dorastały przed wojną, która była gwałtem na ich młodości. Uciekli od tego koszmaru w abstrakcję i indywidualność, walczyli o swoją prywatność, o wyzwolenie stłamszonego potencjału ludzkiego. „Arsenalowcy” dorastali w czasie wojny, nie znali zbyt dobrze innego świata i wyszli z wojny z przekonaniem, że trzeba zrobić wszystko, aby ten los nie

powrócił, przede wszystkim, aby innym tego losu oszczędzić.

Mieli dużo bardziej wczulony sensor społeczny niż indywidualiści z „Nowoczesnej”. Na pewno byli przeciwnikami socrealizmu, ale równocześnie pulsowało w nich zobowiązanie wobec ludzi prostych, wycucie ich potrzeb, wyjście im na przeciw. Stąd w Arsenale sporo kompromisów kompozycyjno-tematycznych.

Historia sztuki postawiła pomnik „Nowoczesnej”, traktując Arsenał jako wydarzenie ciekawe, ale oparte na kompromisie politycznym. Niemniej dla zrozumienia mechanizmów sztuki, przyglądnięcia się jej wrażliwości na historię, trzeba koniecznie analizować socjologiczne i psychologiczne uwikłania, jakich przykładem był Arsenał ’55

Ta wystawa okazała się pożegnaniem ze sztuką zaangażowaną we wspólne dobro. Po niej przywrócono artyście prawo do pełnej indywidualności, do egoizmu, absurdu i anarchizmu. Tak się dzieje, kiedy kultura popada w stan niebezpiecznego samozadowolenia. Wtedy wyzwała siły dokonujące na niej gwałtu.

Taki zabieg wykonała Grupa Zamek, która powstała w Lublinie w 1956 r. Do dużej historii sztuki przeszli z niej Włodzimierz Borowski i Jerzy Ludwiński. Ten pierwszy radykalnie wyrwał, a raczej uwolnił sztukę z polskości i historii. Ten drugi stworzył dla tej wyzwolonej sztuki conceptualną, nowoczesną teorię.

Obraz polskiej sztuki powojennej to piękny przykład zmagania artystów z opresyjnością historii. To niezły ring, na którym powalczono o prawa, na jakich artysta może być w pełni wolny i od wszystkiego niezależny. Wykonano cztery kroki. Dwa ostatnie ustaliły zasady, na jakich do dzisiaj dzieje się „nasza”, czyli „wszystkich” sztuka.

Pierwszym krokiem była I Wystawa Sztuki Nowoczesnej. To było coś niesamowitego. Niemal jak gest Kozakiewicza wobec wszystkiego, co nie pozwala człowiekowi być sobą. Ale brawura wolności na tej wystawie dotyczyła przede wszystkim formy, którą przepuszczano przez różnorodne abstrakcje.

Drugim krokiem był Arsenał ’55, który można uznać za terapeutyczne cofnięcie się w historię. Generacji Wróblewskiego potrzebne było spojrzenie na koszmar wojennego dzieciństwa przez sztukę.

Trzeci krok, czyli Grupa Zamek, wyprzedzał swój czas. Był przedwczesnością. Toteż jego potencjał – pomieszanie intelektu z absurdem, tekstu z obrazem, akcji z dziełem – odczekał co najmniej dziesięć lat w lodówce historii sztuki, po czym ujawnił się w performansie i conceptualizmie.

W końcu czwartym krokiem, który najmocniej przysłużył się obecnej sztuce polskiej, było powstanie w 1957 r. II Grupy Krakowskiej. Warunkiem przyjęcia było uzależnienie od sztuki, pasja tworzenia oraz etyka artystyczna. Oczywiście brano pod uwagę talent. Ci artyści – związani z kultową Galerią Krzysztofora – na szóstkę odrobili lekcję artystycznej demokracji. Ostentacyjnie demonstrowali różnorodność.



FOT. KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Maria Anna Potocka

• krytyczka i kuratorka, autorka książek o filozofii sztuki, w latach 2010-24 dyrektorka Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK. Tytuł tekstu: „Wyborcza”.

Co się wydaje

Moje życie to centrum świata

Żywołność, żywiołowość, czar życia cieszy najbardziej. I tych z bogobojnej prawicy, i tych z obrazoburczej lewicy

Tadeusz Bartoś*

Chcesz żyć pełnią życia, taką pełnią życia i radości, że zapominasz o ryzykach, masz je za nic, czy to śmierć, czy choroba. A ból to tylko naturalna część, konieczny warunek życia kwitnącego i rozkwitającego.

Życie, które samo jest celem, nic więcej. Czymś najwyższym, jedynym. Nie życie w ogóle, ale to tutaj, teraz, dziś, moje, nie cudze, nie życie opisywane przez kronikarzy, nie życie gwiazd, idoli, mistrzów. Ale moje życie dziś jest centrum świata, osią kosmosu. Jest wszystkim.

– Narcyz! – powie ktoś pochopnie. Nie-słuszna jest ta „słuszność racji”. Narcyz sobą, a nie życiem się zajmuje – moje, moje, nie twoje. Życie to coś więcej niż „ja”, moje ukochane „ja”, zwane też niekiedy „ego”. Życie, moje życie, nie potrzebuje „ja”. W swej intensywniej pełni życie nie musi ciągle się bronić i chronić, patrzeć spod bryka, cierpieć, bo ten krzywo spojrzał, a tamta to chyba nawet mnie nie lubi.

Życie, moje życie jest żywiołem, potęgą

Nasza biedna cywilizacja odciąga sprawy, odkłada, obiecuje na „po śmierci”, codzienność życia oczerniając: bo to leż padół, grzech, zło, ciemność

gą samo-satysfakcjonującą. Autoteliczną – powiedzieliby filozoficzni mędrkowie. Samo sobie celem. Bo czy jest coś piękniejszego od życia? Pytam dziś, a piszę, kiedy pierwsze pąki kwiatów kwitną już w naszych parkach. Czy nie właśnie żywołność, żywiołowość, czar życia cieszy najbardziej? I tych z bogobojnej prawicy, i tych z obrazoburczej lewicy – wszystkich kwiatki cieszą. Nie tylko zresztą kwiatki polskie.

A jednak nie umiemy żyć, gubimy się, nie widzimy, co najważniejsze.

Potężna moc życia, którą ponoć sami jesteśmy? Pierwsze słyszę! Cedujemy ją na innych, choćby – u nas bardzo popularne – na Boga Stwórcę. On tak, a my to nie, my tylko słudzy uniżeni. On wszystkim, my niczym.

Do tego jeszcze, na nasze nieszczęście, wpatrujemy się w martwy kosmos – sparaliżowani monstrualną potwornością tych „demonicznych” energii, gdzie życie, nasze życie, jest bez szans. Choć – tutaj chwila spekulacji kontrfaktycznej – może to iluzja, owa potworna potęga nieskończonych kosmicznych energii? Efekt liczenia. A jak wiadomo, liczymy to, co możemy policzyć, z czego wynika nieodparcie, że jak się czegoś nie da policzyć, to tego nie liczymy. Niepoliczone = nieistniejące. To nieprawda. Liczydłowe urojenie.

Z pewnością nie da się policzyć skrywanej się potęgi życia. A przecież ona, choć niepoliczalna, istnieje. Istnieje inaczej. Dostępna jedynie w ludzkim doświadczeniu.

Zachłystać się radością i lekkością naszego żywota. Doznać, choć raz, gdzieś, w jakimś uroczym miejscu, nieopisanego przyływu energii. Nigdy wcześniej nie-

doświadczanego. Zrozumieć pochłaniającą moc, która uwalnia od lęków, bo życie, skarb, piękno, już są, nie są obietnicą, ale dziś goszczą pośród nas.

Nie, że po śmierci, jakby ktoś był wierzący, coś takiego łatwo przyjdzie mu do głowy. Nie. Już dziś ja sam jestem gejzerem życia, jego centrum, źródłem, niczym wody termalne, albo i wulkan jakiś (jeśli pomyślimy o ogniu jako metaforze ekstremalnej żywołności, a nie tylko o szkodach wyrządzonych przez erupcję).

Przyznajcie, drodzy czytelnicy, nie myślicie tak o sobie. Mało kto tak myśli. Nasza biedna cywilizacja nie uczy nas tego, odciaga, odkłada, obiecuje na „po śmierci”, codzienność życia oczerniając (leż padół, grzech, zło, ciemność). I wpatrujemy się w te szpetoty, nieostroźnie, nie bacząc na przestrogę znanego XIX-wiecznego filologa klasycznego, że mianowicie „kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie”.

Po tym cokolwiek rozbudowanym wstępie przejdźmy do „ad remu”. Właśnie pojawiła się w księgarniach sympatyczna książka krakowskiego filozofa Piotra Augustyniaka „Boga nie ma, jest życie”. Na jej kartach zapisane zostało spotkanie z żywiołem życia. Spotkanie jako unikalny moment, przebłysk, jedyna chwila. Niezapomniana. Znajdziemy w książce refleksję nad doświadczeniem przyływu i odpływu zachwycającej potęgi życia. Poznamy osobiste historie, opowieści z życia krakowskiego filozofa. Bardzo prywatne.

Uwaga. Nie bez racji obudzić się może w nas książkowy malkontent, że oto znowu ktoś chce nas sobą umęczyć. Tu jednak dysponujemy solidnym „sed contra” [„ale z drugiej strony”]: nie sposób opowiedzieć o doświadczeniu życia bez ukazania intymności żyjącego dziś czyjś jego życia.

Książka jest wskazówką, zapisem doświadczeń wędrowcy. Czy żywioł życia całkowicie go pochłonął? Pewnie nie, autor wgląda impulsów życia i o nich opowiada. Patrzy w tę stronę, gdzie mało kto spogląda, bo zaprogramowani kulturowym zaprogramowaniem sądzimy, że nic się tam znaleźć nie da. Mamy oczy, ale nie widzimy; uszy mamy i nie słyszymy. Wiadomo.

Mecz już trwa, nie ma meczu po meczu, nie ma życia po śmierci. Dziś jest życie, pomyślimy o nim, o naszym dziś, ciepło, serdecznie, pomyślimy o nim nie jako o kator-dze, zesłaniu, uwięzieniu w kieracie spraw. To zasłony. W każdym z nas, stłamszony, skrywa się wulkan nieskończonej radości życia. Nieskończonej – dziś, nie kiedyś tam. Nie gdzieś tam, ale w nas.

Żeby szukać, trzeba pomyśleć, czego szukamy. Mieć w głowie jakiś zarys. Jak na grzybobraniu, gdzie wyświetlamy sobie oczyma wyobraźni rydze, podgrzybki, prawdziwki, gąski, a może nawet maślaki, wypatrując ich w leśnym poszyciu. I cieszymy się, gdy zobaczone oczyma wyobraźni, staną przed nami na żywo. Jeśli więc, jak grzyby w lesie, skrywa się w nas nadmiar życia, wyświetlmy sobie w głowie jego choćby zarys, portret pamięciowy, a może ujrzymy, gdzie się chowa – i wyświetli się nam w naszym życiu.

Przyjdzie i przywita nas, powie: Hej, tu jestem, gdzie byłeś, gdy cię nie było? „Redi ad te ipsum”, „wróć do samego siebie” – pisał św. Augustyn.

Piękne okoliczności przyrody może to sprawią, zapierający dech widok morza

**WIERSZ POLECA
ANDRZEJ ZAGOZDA**

Kajsyn Kulijew*

* * *

*Czy byłoby to z wielką szkodą,
Jeżelibyśmy tak z powrotem
Zaczęli płot nazywać płotem,
A chlebem chleb i wodę wodą?*

*Słowa obrosły grubą warstwą
Kłamstwa – zacznijmy więc na nowo,
Wszak na początku było słowo,
Lecz słowo prawdy, a nie łgarstwo.*

*Słowa są zawsze nam posłuszne,
Lecz tego język znieść nie może,
Gdy ma o górze mówić „morze”,
O nocy „dzień”, o pełnym „próżne”.*

*Niech dziecko laskę dziadka siodła,
Kiedy ją uzna za rumaka –
Niechby nieprawda tylko taka
Swój między nami żywot wiodła.*

1966
przetł. Witold Dąbrowski

***Kajsyn Kulijew** - 1917-85, poeta, pierwszy wielki liryk Bałkarów, grupy etnicznej mieszkającej na Kaukazie Północnym. Autor tomików poetyckich, poematów historycznych, opowiadań i krótkich powieści. W przekładzie na polski ukazał się m.in. tom jego wierszy „Zraniony kamień”, wybór i wstęp Witold Dąbrowski, PIW, Warszawa 1973. Stąd pochodzi publikowany przez nas utwór.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

i gór Grecji, jak w przypadku Augustyniaka, bywalca na Peloponezie, albo morza szum, ptaków śpiew. Największy skarb jest tuż-tuż, tu, obok, przy nas, i wcale się specjalnie nie skrywa. Patrzymy i nie widzimy. Bo nie spodziewamy się zobaczyć. ●



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Tadeusz Bartoś

• filozof, publicysta, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Autor książek filozoficznych. Nieprzerwanie fascynują go Platon, Tomasz z Akwinu, Spinoza, Nietzsche, Heidegger, Deleuze i im podobni. Ich myśl jest dla niego nieustającą inspiracją.



Piotr Augustyniak
**„Boga nie ma,
jest życie”**
Znak Literanova 2025



POCZDAM '45

POLACY CHCĄ ZA DUŻO

Gdy 2 sierpnia zakończyła się konferencja Wielkiej Trójki w Poczdamie, świat przeszedł z epoki II wojny światowej w epokę zimnej wojny. Dużą rolę w rozpadzie koalicji mocarstw odegrała kwestia polskich granic.

Andrzej Brzeziecki

Winston Churchill obudził się nagle przed świtem 26 lipca 1945 roku. Czuł niemal fizyczny ból. Tego dnia miał poznać wyniki wyborów do parlamentu. Szedł spać z przeświadczeniem, że Brytyjczycy chcą, aby kontynuował misję. Ale teraz, o poranku, nabrał przekonania, że jednak konserwatyści ponieśli porażkę. Churchill wspominał potem, że zrozumiał wówczas, iż „władza kształtowania przyszłości zostanie mi odjęta. Zdobyta wiedza i doświadczenie, zyskany w tak wielu krajach autorytet pójdą na marne”.

Zdołał jednak zasnąć i spał jeszcze kilka godzin. Gdy o godzinie dziewiątej był już na nogach, okazało się, że faktycznie nie będzie już szefem rządu. Jego żona Clementine, chcąc go pocieszyć, stwierdziła, że to może być ukryte błogosławieństwo. Były już premier stwierdził, że jeśli tak, to jest to błogosławieństwo bardzo dobrze ukryte...

Po latach wojennego wysiłku Brytyjczycy mieli już dość Churchilla, który prowadził ich do zwycięstwa, oferując pot, krew i łzy. Szczególnie kiepsko konserwatyści wypadli w komisjach, w których głosowali żołnierze.

KTO TU WPUŚCIŁ DZIENNIKARZY?

Jeszcze dwa dni wcześniej w Poczdamie Churchill wraz z prezydentem USA Harrym Trumanem i przywódcą Związku Radzieckiego Józefem Stalinem dzielił świat, decydował o przyszłości narodów, przesuwiał granice państw... To rzeczywiście było niepojęte. W szoku był nawet Stalin. Gdy 25 lipca rozmawiał z Brytyjczykiem przed jego odlotem – zapewniał go, że pozostanie on u władzy. Takie miał informacje od brytyjskich komunistów. Wróżył Churchillowi 80 głosów przewagi.

Stalin nie wyobrażał sobie, by świstek papieru, jakim jest kartka wyborcza, mógł pozbawić władzy człowieka tego formatu. Jak zauważył historyk Antony Beevor, w mniemaniu Stalina „demokracja parlamentarna była najwyraźniej niebezpiecznie niestabilnym systemem rządów”.

Do Poczdamu, na kolejną sesję konferencji, Churchill już nie pojechał. Zastąpił go przywódca Partii Pracy Clement Attlee, który był w wojennym gabinecie Churchilla. Churchill zresztą wcześniej już wziął labo-urzystę do Poczdamu, bo uważał, że jeśli – ewentualnie – nastąpi zmiana warty, to Attlee musi zapoznać się z sytuacją. Dla Stalina takie zachowanie było dziwactwem – jak można nie wiedzieć, jakie będą wyniki wyborów?

Trwająca od 17 lipca do 2 sierpnia konferencja w Poczdamie – kolejna po spotkaniach przywódców Wielkiej Trójki w Teheranie i Jalcie – doskonale ilustrowała różnice między demokracjami i dyktaturą. W ciągu kilkunastu miesięcy za stołem obrad zmie-

nili się premier Wielkiej Brytanii i prezydent USA. Franklin D. Roosevelt zmarł 12 kwietnia 1945 roku w wyniku udaru, ale jego czwarta kadencja budziła wówczas opory i stała się powodem formalnego ograniczenia prezydentury USA do dwóch kadencji. Na placu boju pozostawał tylko Stalin. Mógł patrzeć, jak inni przywódcy zmieniają się, a on trwa.

Sowiecki dyktator, tak jak nie mógł zrozumieć kapryśnej logiki demokracji, tak nie mógł zrozumieć przekonania Churchilla, że trzeba obecnym w Poczdamie dziennikarzom wyjaśniać, co i jak. Do tego niemieckiego miasta zjechało ich blisko dwie setki. Politycy musieli jednak rozmawiać w spokoju, dlatego się izolowali, co wywoływało irytację mediów. Ale równie poirytowany był Stalin. Pytał się Churchilla, kto w ogóle wpuszcł dziennikarzy i czego właściwie oni chcą? Brytyjczyk cierpliwie tłumaczył, że reporterzy nie przebywają na terenie wyznaczonym na rozmowy, więc nie można ich przeganiać i mają oni prawo zadawać pytania.

BERLIN, A MOŻE JEDNAK PARYŻ?

Pytań zaś było bardzo wiele. Zwłaszcza tych dotyczących Polski i Europy Środkowej oraz Bałkanów. Wojna z Niemcami była skończona, ale wojna z Japonią wciąż trwała. Stalin domagał się części floty niemieckiej, chciał swobodnie żegluga przez cieśninę między Morzem Czarnym a Śródziemnym, miał chrapkę na Kars i Ardahan – miasta we wschodniej Turcji. Gdyby spełniono te żądania, cały kraj znalazłby się w orbicie Moskwy.

Chciał także obalenia w Hiszpanii reżimu Franco, co otworzyłoby lewicy szansę na rządy w tym kraju; zgłaszał również pretensje do zarządzania dawnymi koloniami włoskimi w Afryce. Przywódca Zachodu na wiele z tych postulatów byli gotowi przystać, ale nie chcieli wpuszczać Stalina zbyt daleko na Zachód. Sam Churchill przyznawał, że Rosja to kolos, „którego nozdrza są zatłkane wąskimi wyjściami z Bałtyku i Morza Czarnego”.

Churchill i Truman, do których w pierwszym dniu konferencji dotarła informacja o udanej próbie użycia bomby atomowej, byli przekonani, że zyskali wielki atut. Martwili się nawet, jak to powiedzieć Stalinowi. Jak się potem okazało, niepotrzebnie, bo Stalin dzięki radzieckim szpiegom właściwie o wszystkim wiedział na bieżąco. Gdy Truman na osobności pochwalili się Stalinowi sukcesem, przywódca ZSRR nie wydawał się zaskoczony. Prezydent uznał, że ten najwyraźniej nie zrozumiał wagi informacji.

Bomba dawała Zachodowi przewagę strategiczną, ale na razie tylko na papierze. Od udanej próby do gotowego do użycia arsenału droga była jednak bardzo daleka. Amerykanie chcieli bomby rzucić na Japonię, by radykalnie przerwać wyniszczające walki. Japońscy żołnierze nie mieli zwyczaju się poddawać, przeciąganie się wojny na Dalekim Wschodzie oznaczało śmierć dalszych setek tysięcy ludzi.

Sytuacja była więc inna niż podczas rozmów w Teheranie i Jalcie. Wtedy to Związek Radziecki brał na siebie główny ciężar walk. Teraz to jednak, jak zauważył Anthony Eden, Stalin nie traci ani jednego żołnierza, za to amerykańscy i brytyjscy żołnierze giną w walce z Japończykami. Gdy Truman odebrał raport o sukcesie prób z bronią atomową, przestało mu zależeć na wsparciu Stalina, ale Churchill błędnie uznał, że bomba atomowa uczyni prezydenta USA jastrzębiem.

W Europie to jednak Stalin rozdawał karty. Miał wciąż zmobilizowaną wielką armię, która zajęła połowę kontynentu, co wcale nie wyczerpywało jego apetytu. Przekonał się o tym bliski współpracownik prezydenta USA, Averell Harriman, który zagadnął Stalina, stwierdzając, że ten musi być zadowolony, będąc teraz w Berlinie po tym wszystkim, co jego kraj wycierpiał. Stalin kąśliwie stwierdził, że car Aleksander I dotarł aż do Paryża...

CYGARA I PROSTE ANGIELSKIE OBIADY

Gdy Wielką Trójkę łączył przeciwnik, rozmowy były znacznie cieplejsze. Kolacje, alkohol, toasty, cygara... Teraz w Poczdamie dawni sojusznicy byli już właściwie cichymi rywalami. I czuć było to w atmosferze rozmów. Eden zapamiętał, że gdy przyszedł do niego Wiaczesław Mołotow, przyprowadził ze sobą żołnierzy z pistoletami maszynowymi, którzy obstawili ogród posesji, w której zamieszkał Brytyjczyk. „Ponure musi być życie każdego, kto dba do tego stopnia o własne bezpieczeństwo” – zauważył Eden.

Podejrzliwość i brak zaufania czuć było na każdym kroku.

Ponadto, o ile Churchill znalazł się dobrze z Rooseveltem, to Trumana spotkał po raz pierwszy dopiero w Poczdamie. Między przywódcami nie było chemii

◀ **Konferencja w Poczdamie (17 lipca – 2 sierpnia 1945), uścisk dłoni Wielkiej Trójki, Józefa Stalina, Harry’ego Trumana i Winstona Churchilla przed kolacją wydaną przez brytyjskiego premiera**

FOT. BETTMANN

ARCHIVE /

GETTY IMAGES

sprzed lat. Churchill zapisał, że na ostatniej konferencji Wielkiej Trójki dominowała frustracja. Bywały jednak momenty życzliwe i pełne humoru – zwłaszcza podczas przyjęć. Przywódcy bowiem popołudniami prowadzili obrady, a wieczorami każdy po kolei wydawał kolacje.

Churchill, wciąż oczarowany przywódcą Związku Radzieckiego, gotów był na wiele, by go zadowolić. Częstoował Stalina cygarami, a ten żalił mu się, że nie może zasnąć przed czwartą rano. Stalin pytał się, czemu do Poczdamu nie przyjechał król Jerzy VI, chwalił instytucję korony oraz angielskie obiady jako proste i godne zarazem. Gdy Truman zagrał na fortepianie utwór Chopina, przywódca Związku Radzieckiego skromnie stwierdził, że Churchill jest malarzem, prezydent USA pięknie gra, a tylko on jeden pozbawiony jest talentów.

Przy innej okazji zbierał od uczestników autografy na karcie menu. „Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że może być lowcą autografów! – pisał o Stalinie Churchill. – Kiedy wrócił do mnie, podpisałem się, tak jak sobie życzył, spojrzeliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem”.

Wszystkie te uprzejmości prawili sobie politycy, którzy zamierzali sobie powbijać noże w plecy, gdyby była taka konieczność i możliwość. Churchill już wcześniej zlecił rozpatrzyć ewentualność wojny ze Związkiem Radzieckim, Stalin kazał swym szpiegom śledzić każdy ruch sojuszników.

Nie wszyscy zresztą mogli się tak spoufalać. Gdy marszałek Gieorgij Żukow, wznosząc toast, nazwał Churchilla towarzyszem, szybko się zreflektował i dodał, że chodzi o towarzysza broni, ale i tak Stalin go potem zganił.

„Churchill i Eden uważali, że przyznanie Polsce zbyt dużych ziem kosztem Niemiec narazi ją w przyszłości na germański rewanżyzm. Uważali, że w interesie Polaków trzeba walczyć o mniejsze terytorium, ale za to o demokratyczny ustrój. Upominali się o wolność słowa i niezależne sądownictwo

Churchill i Eden uważali, że przyznanie Polsce zbyt dużych ziem kosztem Niemiec narazi ją w przyszłości na germański rewanżyzm. Uważali, że w interesie Polaków trzeba walczyć o mniejsze terytorium, ale za to o demokratyczny ustrój. Upominali się o wolność słowa i niezależne sądownictwo

„Nawet ta konferencja nie była pozbawiona miłych chwil” – zapisał Anthony Eden. Szef brytyjskiej dyplomacji został zaproszony na przyjęcie przez II. Pułk huzarów, należący do słynnej 7. Dywizji, tzw. Szczurów Pustyni – zabijaków, którzy dali się we znaki Niemcom w Afryce Północnej, a potem we Włoszech. Żołnierze chcieli podarować Edenowi na pamiątkę fragment biurka Hitlera, ale on wybrał pułkową oznakę.

NAJTRUDNIEJSZE I NAJPRZYKRZEJSZE

Eden uznał rozmowy na temat Polski za najtrudniejsze i najprzykrejsze ze wszystkich. Rzeczywiście dyskusje o Polsce zajęły wiele godzin. Brytyjczycy, wspierani przez Amerykanów, uważali, że Polska powinna oczywiście otrzymać rekompensatę za ziemie utracone na rzecz Stalina, ale nie aż tak wielkie. Tyle ustalono w Jalcie. Teraz alianci uznawali, że Polakom należy się granica na Nysie. Ponadto nie bardzo widzieli Szczecin i Pomorze Zachodnie w rękach Polaków. W sumie chodziło o kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych. Tyle że tereny te były już pod kontrolą Armii Czerwonej, która wpuszczała tam polską administrację i polskich osadników.

Dla Amerykanów i Brytyjczyków była to sprzeczna z ustaleniami polityka faktów dokonanych. Ich opór nie wynikał z niechęci wobec Polski, ale z troski o własne interesy i z chęci zabezpieczenia pokoju w Europie.

Przepędzani z ziem zajętych przez Polaków Niemcy lądowali w alianckich strefach okupacyjnych i nie bardzo było ich czym karmić. Gdy nadejdzie zima, przekonywał Churchill, w Berlinie ludzie będą zamarzać, bo braknie śląskiego węgla.

Ponadto – co podnosili zachodni alianci – Polacy, zajmując te ziemie, de facto uzyskują własną strefę. Miało ich być cztery, a jest pięć. Churchill i Eden uważali, że przyznanie Polsce zbyt dużych ziem kosztem Niemiec narazi ją w przyszłości na germań-

ski rewanżyzm. Uważali, że w interesie Polaków trzeba walczyć o mniejsze terytorium, ale za to o demokratyczny ustrój. Upominali się o wolność słowa i niezależne sądownictwo.

Szczęśliwie dla Polski Stalin rozumował zupełnie odwrotnie. To chyba rzadka chwila w polityce, gdy złe intencje dają dobre skutki. Oczywiście bronił on swego zewnętrznego imperium, ale tym samym występował w interesie Polski.

Czytając zapisy rozmów Trumana i Churchilla ze Stalinem, można zauważyć pewne podobieństwo do rozmów z nim Stanisława Mikołajczyka albo generała Władysława Andersa. Pewnie zresztą wiele z takich rozmów Stalin tak właśnie prowadził – bawiąc się kotka i myszkę, rżnąc głupa i kłamiąc w żywe oczy.

Przywódca Związku Radzieckiego obstawał, że żadnych Niemców już na terenach zajętych przez Polaków nie ma. Cóż więc się stało z Niemcami? – pytali Churchill z Trumanem. Przywódca ZSSR odpowiadał, że... uciekli. Chodziło o kilka milionów ludzi.

Zapewniał on też swych rozmówców, że obecnie tylko Polacy są w stanie uprawiać ziemię na Dolnym Śląsku i wydobywać śląski węgiel, na którym notabene Berlin wcale nie polegał w zupełności, bo brał go z Saksonii. Churchill prostował jednak, że 40 procent węgla dla Berlina pochodziło ze Śląska.

Brytyjski premier uważał, że nawet jeśli wszyscy Niemcy uciekli, to teraz są na terenie stref okupowanych i trzeba będzie ich wyżywić, a na to alianci nie mają środków. Stalin odpowiadał krótko: niech kupują żywność i węgiel u Polaków. Uważał, że w sumie lepiej jest, jeśliby głód mieli cierpieć Niemcy niż Polacy, a jeśli ktoś jest winien całej sytuacji, to on i zbieg okoliczności. Dawał do zrozumienia, że nie martwią go problemy Niemców – bo może wreszcie się oduczą wszczynania kolejnych wojen.

Polacy zajęli te ziemie, pracują tam, produkują żywność, wydobywają węgiel i nic się z tym nie da zrobić – tak kwitował sprawę Stalin. „Mogliśmy albo zatrzymać produkcję albo pozwolić prowadzić ją Polakom” – dodawał. Przekonywał, że niemieccy mężczyźni zginęli na frontach, a robotnicy przymusowi wrócili do swoich krajów. Jeśliby Polacy nie zagospodarowali tych ziem, stałyby one odłogiem.

Stalin był gotów przystać na propozycję, by ostatecznie granice Polski ustalić na konferencji pokojowej – ale ta, jak wiemy, nigdy się nie odbyła.

Z BIERUTEM NA OSTRO

Churchill podkreślał w Poczdamie, że to z powodu Polski Londyn ruszył na wojnę, więc teraz ma prawo współdecydować o jej losach. Stalin był niewzruszony, raczej interesowały go aktywa, jakie polski rząd londyński dostał od Brytyjczyków, a które teraz, jego zdaniem, powinny przypaść rządowi instalującemu się w Warszawie. Chodziło o polskie złoto, ale także o broń, którą dysponowały polskie wojska na Zachodzie.

Amerykanom zależało na szybkim i pozytywnym zakończeniu konferencji. Tak samo Stalinowi. Churchill nie miał ani bomby atomowej, ani tyłu dywizji co Stalin, by móc egzekwować swoją wolę. Był pod urokiem Stalina, ale uważał, że sam też jest w stanie wpłynąć na przywódcę Związku Radzieckiego i przejrzeć jego zamiary. Mylił się. Pod wpływem Churchilla Stalin, owszem, zaczął palić podarowane mu cygara. I to wszystko.

Premier Wielkiej Brytanii postanowił więc rozmówić się z Polakami osobiście. Tak oto 24 lipca 1945 roku doszło do spotkania Bolesława Bieruta z potomkiem siódmego księcia Marlborough.

Churchill tłumaczył przywódcy polskich komunistów: „do naszych stref przybyły masy uchodźców, podczas gdy Polacy otrzymali bogate terytoria, które normalnie żywiły resztę Niemiec. Polacy żądają za wiele”.

Przywódca polskich komunistów sprytnie i bez kompleksów przedstawiał brytyjskiemu premierowi swoje racje. Jak zapisał potem Churchill, rozmowy były ostre. Bierut mówił, że właśnie Brytyjczycy, którzy ruszyli na wojnę z powodu Polski, teraz powinni zrozumieć jej żądania, które przecież nie są takie wielkie. Wyliczał, że Niemcy, którzy przegrywają wojnę, tracą jedynie 18 procent ziem, podczas gdy Polska musi stracić 20 procent powierzchni. Bierut zapewniał swego rozmówcę, że Polska daleka będzie od komunizmu i będzie się rozwijała z zasadami zachodnich demokracji. Kłamał także, twierdząc, że Armia Czerwona opuszcza Polskę, a NKWD nie prowadzi nad Wisłą działalności.

Churchill nie przekonał, bo nie mógł, swojego rozmówcy. Anthony Eden zanotował, że obrady na temat granic Polski zakończyły się dla Brytyjczyków niepowodzeniem.

Nazajutrz obaj konserwatywni politycy wylecieli do Anglii, by dowiedzieć się o swojej kolejnej porażce. ●



• Czerwiec 2019 roku, Paweł Smoleński zbiera materiały do książki o trądzie w leprozorium w Jeevodaya w Indiach FOT. ADAM ROSTKOWSKI



NIEDOKOŃCZONE *OPUS MAGNUM*

Dla Pawła Smoleńskiego trąd nie jest metaforą, tylko rzeczywistością gnijących ran, amputowanych palców i zdeformowanych twarzy.

Cezary Łazarewicz

Gdy na początku lat 90. zacząłem publikować w „Gazecie Wyborczej” swoje teksty, a w zasadzie tekściki, Paweł Smoleński był już tam królem. Swoją pierwszą książkę opublikował w podziemnym wydawnictwie, drugą wydał w paryskiej Kulturze, a trzecią już na rynek francuski. Polska już go coraz mniej zajmowała, chyba że wielkie, kontrowersyjne tematy – opisywał narodziny brunatnej narodowej siły, rzeź wołyńską czy Goralenvolk, czyli górali uwikłanych w nazizm. Ale „Wyborcza” głównie wysyłała go w świat, by próbował opisywać jego złożoność. Niezapomniany był jego cykl reportaży, gdy przemierzał ze wschodu na zachód Stany Zjednoczone, z objętej wojną domową Irlandii, okupowanego Iraku i z poszukiwań potomków UPA na Ukrainie.

Ale największą jego reporterską miłością pozostał Izrael, do którego ciągle wracał. „Izrael już nie frunie” to jego najbardziej znana reporterska książka o tym państwie rozdartym między marzeniami założyciela a brutalną rzeczywistością dnia codziennego. Opisał tam napięcia i podziały między świeckimi i ortodoksami,

bogatymi i biednymi, a także Żydami i Arabami. Do Izraela wracał kolejnymi swoimi książkami – „Arab strzela, Żyd się cieszy”; „Balagan. Alfabet izraelski”; „Oczy zasypiane piaskiem”, „Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew” i „Wnuki Jozuego”.

PAWEŁ, NAPISZMY O TRĘDOWATYCH

Jego nowa książka to miało być coś zupełnie innego. To miał być reportaż globalny – jak „Głód” Capparósa – wykraczający poza historię jednego narodu, jednego państwa, a nawet kontynentu. To miała być opowieść o straszliwej chorobie dziesiątkującej przez wieki ludzkość, siejącej do dziś spustoszenie w Azji, Afryce, Ameryce Południowej, a nawet w Europie.

To miała być opowieść o trądzie, ale także o biedzie, odrzuceniu i przemykaniu oczu bogatych na cierpienia biednych.

Siedzieliśmy przy kawiarnianym stoliku na warszawskich Kabatach, a on opowiadał o ciężkiej pracy, która go jeszcze czeka. To miało być jego opus magnum – najważniejsza książka w jego reporterskiej karierze. Studium biedy i upadku, podróż przez kon-

tynenty i wieki, przez slumsy, beznadzieję i ludzką obojętność. Opowieść o nierównościach, o ludzkich dramatach i mechanizmach wykluczenia – pełna faktów, ludzkich historii i przejmujących obrazów codziennego życia, jak to u Smoleńskiego.

Na początku 2023 roku, gdy o tym rozmawialiśmy w kawiarni, było to znacznie więcej niż tylko pomysł na książkę, ale o wiele mniej niż zamknięty projekt. Paweł był już po podróży do ośrodka dla trędowatych w Jeevodaya w Indiach i wybierał się na kolejną podróż, jeśli dobrze pamiętam – do Rumunii. Miał już wszystko zaplanowane. Tylko że kilka tygodni po tej naszej ostatniej rozmowie trafił do szpitala i chwilę później oplakiwaliśmy Pawła na Powązkach, słuchając przy jego grobie Boba Dylana.

Całą historię tego wielkiego reporterskiego zamysłu poznaję dopiero teraz, gdy wyszła ostatnia jego książka „Trędowate kobiety czyszczą ryz”. Pomysł podsunęła

jego żona Maria Fredro-Smoleńska, która jesienią 2018 roku poleciała do Libanu, by napisać tekst o koczujących tam syryjskich uchodźcach. Tam spotkała fotografa Adama Rostkowskiego, który od 20 lat pracował w ośrodku dla trędowatych w Indiach. To ona namówiła męża i miało to być ich wspólne dzieło.

PRZERWANE OPOWIADANIE

Pomysł rozpisali na rozdziały. Spotykali się już nawet z lekarzami specjalizującymi się w leczeniu trądu, słuchali ich opowieści. Byli na Krecie – trafili do Plaki, skąd przeprawiali się na Spinalongę, wyspę z największym w Grecji leprozorium działającym do roku 1957.

W Izraelu chodzili śladami Baldwina IV, średniowiecznego króla Jerozolimy zwanego Trędowatym. Mieli w planach wyjazd do Bergen w Norwegii, gdzie w XIX wieku

Lubię ten jego prosty, nieheblowany styl bez upiększeń, dokładny opis, cierpliwość wobec słuchacza.

Bez fajerwerków. To wielka siła tej książki.

I wpisuje się w to, co Paweł robił przez całe życie.

Stawał po stronie słabszych i wykluczonych



działyły trzy leprozoria, do Rumunii – do wciąż czynnego leprozorium Tichilesti w okręgu Tulcza. Tylko że przyszła pandemia i wszystkie prace zostały wstrzymane. Do Indii Paweł pojechał sam i spędził kilka tygodni w założonym przez polskich misjonarzy leprozorium Jeevodaya.

„Trędowate kobiety czyszczą ryż” to jego ostatnia, nieukończona książka. To tylko fragment tej wielkiej opowieści, którą autor miał w głowie. Reszty już nigdy nie będzie. I to nadaje tej publikacji niezwyklej charakter. To nie tylko książka o ludziach wykluczonych, ale też o przerwany opowiadaniu.

Zarazem ten fragment jest kompletny i charakterystyczny. Nie ma tu egzotyki ani heroicznych opowieści o samej misji. Oglądamy Jeevodaya oczami Smoleńskiego – z całym brudem, smrodem, biedą, zmęczeniem i upokorzeniem. Dla niego trąd nie jest żadną metaforą, tylko rzeczywistością: gnijących ran, amputowanych palców, zdeformowanych twarzy. Bo w Indiach trąd to nie tylko choroba, to wykluczenie i piętno społeczne. Chorzy nie idą do lekarza, bo boją się ujawnienia diagnozy, która zniszczy nie tylko ich, ale także ich rodziny. Dzieci trędowatych nie mogą chodzić do szkoły, rodziny boją się utraty pracy. Ludzie uciekają, umierają z głodu, wyrzucają własnych bliskich na ulicę. To o tym pisze Smoleński.

JEEVODAYA, CZYLI HEROIZM CODZIENNY

To też opowieść o Jeevodaya – małej osadzie założonej przez polskiego pallotyna Adama Wiśniewskiego. Ojciec Adam to fascynująca postać – powstaniec warszawski, lekarz chorób tropikalnych, misjonarz. W 1969 roku kupił kawałek czerwonej, jałowej ziemi i zbudował tam miejsce dla trędowatych. Najpierw były trzy namioty – kaplica, przychodnia i noclegownia. Potem warzywniak, kurnik, szkoła, przychodnia, kościół. Przyjmował wszystkich – chorych, zdrowych, biednych, głodnych, wykluczonych. Wierzył, że Jeevodaya ma być wspólnotą równych – bez podziału na lepszych i gorszych.

Smoleński dociera do zapomnianych dzienników założyciela – bardzo surowych i suchych. To nie literatura piękna, tylko zapis codziennej walki. „Przyjęto 13 tręd.”, „Uciekli Begwandas. Ukradł koc, spodnie i zegarek.”, „Na 396 kur 294 jaj” – to notatki księgowego. Nie ma tu sentymentalizmu, ale jest prawda. I jest gniew, frustracja, wy-

buchy złości, zmęczenie – Wiśniewski nie był aniołem, ale człowiekiem z krwi i kości, który próbował zrobić coś niewyobrażalnie trudnego.

Smoleński nie wybiela tej historii. Pokazuje konflikty z ochotnikami z Polski, którzy nie wytrzymywali warunków. Opisuje szczegółowo listy Wiśniewskiego, w których ten ostrzega potencjalnych wolontariuszy: nie ma tu wygód, jedzenia jest mało, trzeba pracować z chorymi na trąd, mieszkać z nimi, jeść z tej samej miski. Trzeba być gotowym na heroizm codzienny.

Jest w tej książce też coś z kroniki umierania. Śmierć jest tu wszechobecna – dzieci umierają z głodu, rodzice wyrzucają chore córki do pociągu, by się ich pozbyć. Jeevodaya próbuje tym ludziom dać dom – ale nie zawsze się udaje. Smoleński nie robi z tego taniej hagiografii. Pokazuje też ciemne strony – chorych, którzy kradną i uciekają, emocje Wiśniewskiego, który nie zawsze potrafił okazywać miłość, czasem wybuchał i krzyczał.

To wszystko składa się na obraz nie heroicznej misji, ale trudnej, pełnej porażek i małych zwycięstw walki z wykluczeniem. Smoleński w swoich książkach nikogo nie oceniał. Miał szacunek dla swoich bohaterów. Patrzył i zapisywał.

Lubię ten jego prosty, nieheblowany styl bez upiększeń, dokładny opis, cierpliwość wobec słuchacza. Bez fajerwerków. To wielka siła tej książki. I wpisuje się w to, co Paweł robił przez całe życie, czyli stawał po stronie słabszych i wykluczonych.

Dlatego pisał o Beduinach z Negewu, uchodźcach z Gazy, ofiarach akcji „Wisła”, Żydach wracających po pogromach do swoich miasteczek. I tu znów patrzy na tych, których nikt nie chce nawet dotknąć – a on pisze o nich z uwagą, cierpliwością i respektem.

REPORTERSKI TESTAMENT

Pamiętajmy jednak, że „Trędowate kobiety czyszczą ryż” to książka niedokończona. Miał być wielki reportaż o trądzie – o Spinalondze, Norwegii, Rumunii. Miał być opisany jako zjawisko społeczne i kulturowe, rozpisany na kraje, konteksty i głosy. I że większość, która była w głowie autora, nigdy nie powstanie. Że to tylko fragment opowieści o Indiach, który zdążył do śmierci napisać. Fragment większej całości, która już nigdy nie powstanie. Ten fragment jest po to, żebyście mogli, drodzy czytelnicy, wyobrazić sobie, na co Smoleński się porwał i jaki mógłby być efekt końcowy.

Ta książka to też jego reporterski testament, który warto dobrze odczytać. I niech każdy zrobi to po swojemu. Ja tak odczytuję jego ostatnie słowo: zawsze gdzieś są jacyś ludzie wyrzuceni poza nawias – i warto, a nawet trzeba o nich pisać, nawet wtedy, gdy jest na to za mało czasu. Nawet wtedy, gdy nie starcza życia.

„Trędowate kobiety czyszczą ryż” to ostatnia książka Pawła Smoleńskiego. Jego pożegnanie z nami. Ukazała się dwa lata po jego śmierci. To jego ostatnie słowa:

„Było nam dobrze i spokojnie, zwłaszcza że pogryzione przez szczury nogi Bideśami [imię jednej z trędowatych] już nie krwawiły. Pachniały mydliny i kurz, a taki zapach nie sprzyja rewolucyjnym myślom. Wiatr przynosił od pola, gdzie w końcu urosnie ryż, wilgotne drobiny pyłu i płatki sadzy z rozpalonych ognisk. Kwiczały świnki w chlewiku, a psy szukały cienia. Skorpiony spały gdzieś w podziemnych norach”.

Czytajcie, bo nic innego już nie napisze. ●



Trędowate kobiety czyszczą ryż

Paweł Smoleński

Wydawnictwo Czarne 2025

Antypolityka historyczna

Czego nie wiemy

40 lat po studiach już wiem, co było największą nieprawdą wpojoną nam w PRL-u przez podręczniki historii.



Kilka tygodni temu napisałem, że jednym z zadań Muzeum Historii Polski powinno być przedstawianie szerszej publiczności obszarów sporów i różnic interpretacyjnych między historykami. Zaciekał mnie i zdziwił głos jednego z internautów, który napisał mniej więcej coś takiego: Muzeum pokazujące spory między historykami – „co za środowiskowy egocentryzm”. Pomyślałem: jak strasznie dużo my, historycy, mamy niechęcie do zrobienia, aby wyjaśnić niehistorykom, na czym polega istota naszej pracy.

Otóż – ustalamy fakty. Mamy do tego pewne metody, które bardzo trudno opisać; historycy uczą się ich tak jak jazdy na rowerze, to jest przez praktykę badawczą, a nie przez opanowanie formułek. Dzięki tym metodom potrafiemy lepiej lub gorzej ustalić fakty.

Tyle że, po pierwsze, i tak te znane nam fakty są nieskończone – małą częścią spośród tych wszystkich faktów, które w ciągu dziejów się wydarzyły, a o których nie wiemy nic. A po drugie, te fakty, które znamy, możemy układać na bardzo wiele sposobów, budując z nich bardzo wiele sensownych i spójnych obrazów przeszłości, sprzecznych wzajemnie.

Mamy bardzo wiele klocków do układanki, lecz inaczej niż w dziecinnych puzzlach nie mamy obrazka, na którym możemy się wzorować, ani nie wiemy, który obrazek ułożony przez nas z klocków jest zgodny z tym, co się wydarzyło.

Kiedy piszę, że nie wiemy, jak było, nie mam na myśli – wyjaśniam na wszelki wypadek – też negacjonistów, według których na przykład nie było Holocaustu. Fakt Holocaustu jest, niestety, prawdziwy ponad wszelką wątpliwość. To, czego nie umiemy, to ustalenie szeregu związków przyczynowo-skutkowych, które do tej tragedii doprowadziły. A także ustalenie miejsca tego faktu w całokształcie dziejów; czy był czymś wyjątkowym, czy jedną z wielu masakr? To bowiem są problemy interpretacji, która tylko w niewielkim stopniu zależy od faktów, w dużym stopniu zaś od światopoglądu historyka, jego osobistych doświadczeń i filozofii życiowej.

Jest w tym paradoks: z jednej strony interpretacja jest koroną pracy historyka; jest tym, co go

odróżnia od antykwariusza. Bez interpretacji, bez przekształcenia pojedynczych faktów w spójną opowieść, nie ma historii. Z drugiej strony zaś interpretacja jest zawsze subiektywna: dwóch równie wykształconych i uczciwych historyków, analizując te same źródła, może dojść do zupełnie przeciwnych wniosków.

Kiedy dziś, 40 lat po studiach, zastanawiam się nad tym, co było największym błędem wpojonym mi przez podręczniki, to nie myślę o oczywistych przemilczeniach i fałszerstwach z czasów PRL. Z nimi w latach 80. już łatwo było sobie poradzić, wiedziałem dobrze, co się wydarzyło w Katyniu, i że główną siłą polskiego oporu w drugiej wojnie światowej była Armia Krajowa, a nie Armia Ludowa itp.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, że największą nieprawdą podręczników szkolnych, a także niektórych akademickich było przedstawianie przeszłości w sposób jednoznaczny. W czytelniku budziło się przekonanie, że znamy przebieg wydarzeń historycznych, że wprowadzić mogą być potrzebne korekty, ale w zasadzie wiemy, by użyć formułki jednego z klasyków naszej dyscypliny, „jak to właściwie było”.

Dlaczego żadna z popularnych, a nawet i naukowych książek historycznych nie powiedziała mi: „Nie wiemy, jak było”?

Autor, który pisze na swój indywidualny rachunek autorską syntezę, jak Michał Bobrzyński, o którym pisałem trzy tygodnie temu, ma pełne prawo być subiektywny i przedstawić swoją własną, osobistą, wizję przeszłości. Wiele najwybitniejszych prac historycznych jest syntezami tego rodzaju. Ale autor podręcznika nie ma prawa do pełnej ekspresji swojego „ja”. Pi-sze dla ludzi, dla których być może jego podręcznik będzie jedynym kontaktem z historią. Oni nie będą mieli szansy skonfrontować poglądów autora podręcznika z poglądami innych badaczy w celu wyrobienia sobie własnego zdania.

Otóż sytuacja muzeum historycznego jest sytuacją podręcznika, a nie inteligentnej, subiektywnej autorskiej syntezy. Wystawa w muzeum musi – nie wiem, jak to zrobić – ukazać alternatywne możliwości interpretacyjne, nie może stawiać kropki nad „i”. Inaczej będzie nieuczciwa.

Wracając do uwagi internauty: przejawem egocentryzmu ze strony środowiska historycznego byłoby przedstawienie przeszłości tak, jakbyśmy na pewno wiedzieli, jaka ona była. Przedstawienie wielu różnych możliwości jest przejawem skromności. ● **Maciej Janowski** – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku

Mariusz Zawadzki

Tamta operacja, której celem był reaktor w Iraku, przeszła do legendy, jako jeden z największych sukcesów izraelskich służb specjalnych i lotnictwa. Ale czy naprawdę nim była? Warto wrócić do tego pytania i opowiedzieć całą historię na nowo – uwzględniając nieznane wcześniej fakty, o których dowiedzieliśmy się od irackich naukowców i inżynierów na służbie Saddama Husajna. Kiedy w 2003 roku Ameryka zajęła Irak, mogli mówić bez obaw, że osiągnie ich zemsta dyktatora.

**BEZUŻYTECZNE
EKSPERYMENTY**

Pod koniec lat 60. Irak kupił od Związku Radzieckiego niewielki eksperymentalny reaktor, który zamontowano w nowopowstałym ośrodku badań nuklearnych Tuwaitha 18 km od Bagdadu. Był to raczej symbol wyzwolenia spod jarzma Zachodu niżli początek starań o bombę atomową. Takie były czasy. W 1968 roku władzę w kraju przejęła partia Baas, której ideologia była mieszanką socjalizmu, panarabskiego nacjonalizmu i antykolonializmu.

Ale symbol nie wszystkim wystarczał. W 1972 roku Abdul Razzaq al-Hashimi, przewodniczący organizacji partyjnej w Irackiej Komisji ds. Badań Atomowych (IKBA), skrytykował kolegów, którzy – jego zdaniem – skupiali się na „bezużytecznych akademickich eksperymentach”. Zamiast postawić sobie jakiś konkretny cel, np. zbudowanie bomby atomowej. Była to opinia wysoce kontrowersyjna, bo Irak już w 1969 roku, jako jeden z pierwszych krajów świata, ratyfikował traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

W słowach al-Hasihimiego pobrzmiwała jednak ambicja i wizjonerstwo, które spodobały się rządzącym. Nowa władza postanowiła zainwestować w badania nuklearne – na razie ogólnie, bez stawiania wyraźnych celów wojskowych. Pieniądzy w budżecie nie brakowało, bo na początku lat 70. światowe ceny ropy były wysokie. W 1973 roku przewodniczącym IKBA został wiceprezydent kraju Saddam Husajn. „Niniejszym ogłaszam się ojcem chrzestnym irackiego programu atomowego!” – mówił, obejmując stanowisko. Utrzymał je aż do 1979 roku, kiedy został prezydentem i miał już za dużo rzeczy na głowie.

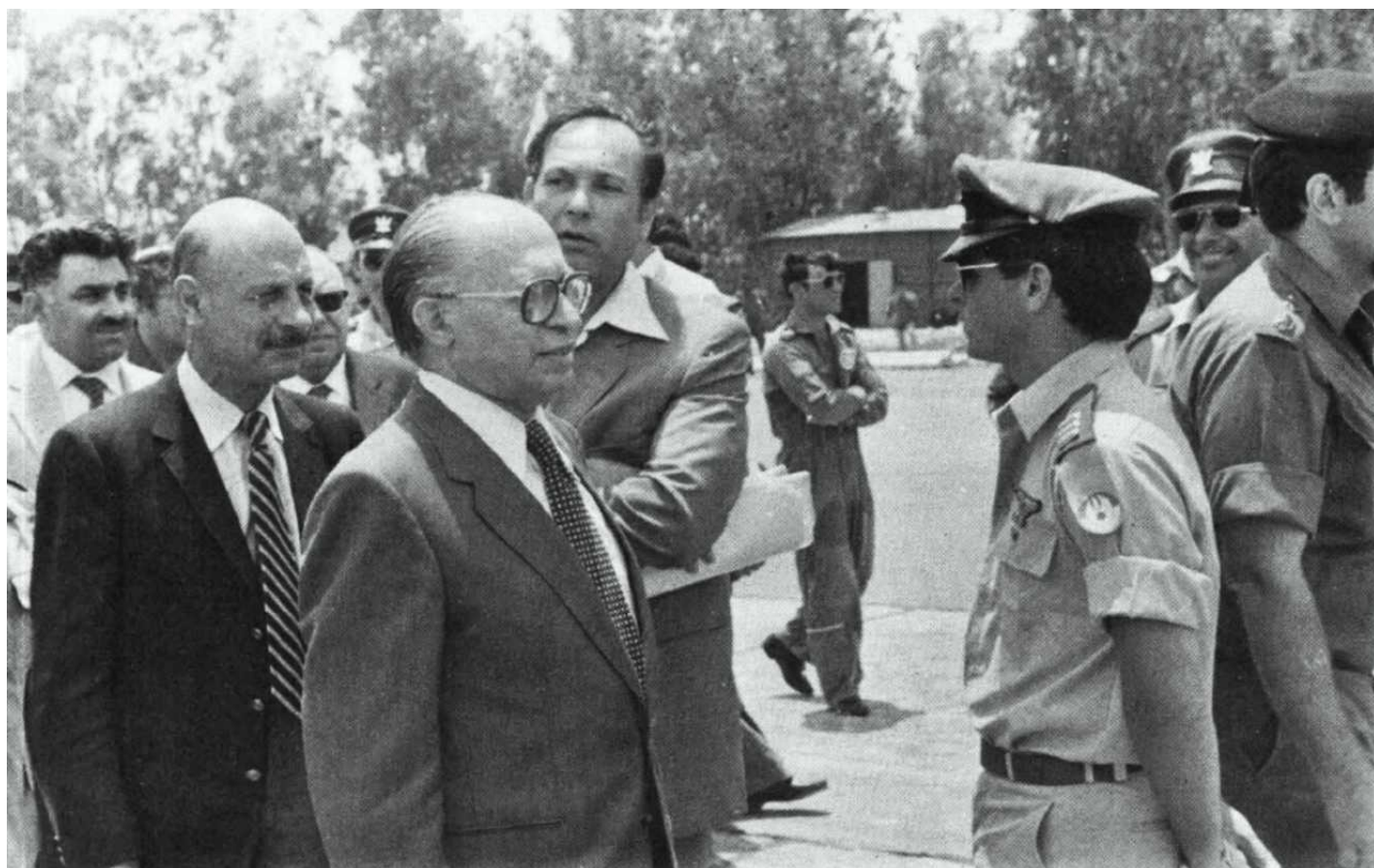
Pod osobistym nadzorem Saddama program nabrał rozpędu. W 1976 Irak podpisał z Francją umowę o kupnie reaktora o mocy 40 megawatów – również eksperymentalnego, ale znacznie większego niż rosyjski. W kwocie 300 mln dolarów, co w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze oznacza 2 mld dolarów, Francuzi dodatkowo obiecali dostarczyć paliwo do reaktora – 72 kg wysoko wzbogaconego uranu. Taki zapas wystarczyłby na zbudowanie jednej bomby atomowej, dlatego Francuzi zastrzegli, że w żadnym momencie w Iraku nie będzie więcej niż 20 kg wzbogaconego uranu – paliwo miało być przekazywane w transzach, każda następna po spaleniu przez reaktor poprzedniej.

**O WADACH I ZALETACH
PLUTONU**

Czy już wtedy Irakijczycy myśleli o produkcji bomby atomowej? Izraelczycy uważali, że tak. Obawiali się, że Saddam chce stworzyć bombę plutonową, czyli taką samą, jaką Amerykanie

zrzucili na Nagasaki, bo pierwsza bomba, zrzucona na Hiroszimę, była uranowa. W reaktorze, w którym paliwem jest mieszanka uranu rozszczepialnego – izotop 235 i nierozszczepialnego – izotop 238, w wyniku reakcji jądrowej do uranu 238 przyłącza się jeden neutron i powstaje rozszczepialny pluton 239 – idealny do stworzenia bomby.

Plutonowa bomba ma tę zaletę nad uranową, że potrzeba znacznie mniej



• Tel Awiw, 19 czerwca 1981 rok. Premier Izraela Menachem Begin i ministrowie jego rządu gratulują pilotom, którzy przeprowadzili operację „Opera”, podczas której zniszczyli iracki reaktor atomowy pod Bagdadem FOT. THE ISRAEL DEFENSE FORCES

JAK IZRAEL *WKURZYŁ* REAGANA

Naloty na Iran, które w czerwcu przeprowadziły Izrael i USA, były powtórką z historii. 44 lata temu Izrael zbombardował inny kraj na Bliskim Wschodzie, żeby zatrzymać jego program atomowy.

ładunku – wystarczy około 10 kg plutonu, a ściślej mówiąc – jego izotopu 239. Dla porównania – do produkcji bomby zrzuconej na Hiroszimę zużyto ponad 60 kg uranu. Jednakże bomba plutonowa na też wadę: wywołanie reakcji łańcuchowej jest znacznie trudniejsze niż w przypadku uranu. Dlatego, zanim naukowcy zaangażowani w Projekt Manhattan przekazali armii USA bombę plutonową, przeprowadzili jej próbę na pustyni Los Alamos. W przypadku bomby uranowej żadna próba nie została przeprowadzona, bo mechanizm eksplozji wydawał się twórcom znacznie prostszy i niezawodny. Nad Hiroszimą ich przypuszczenia się potwierdziły.

Teoretycznie rzecz biorąc, wojskowy pluton powstaje w każdym reaktorze każdej elektrowni jądrowej na świecie. Szkopeł w tym, że zaraz znika. Reakcja jądrowa w reaktorze cały czas trwa, nowo powstałe atomy plutonu 239 są nadal bombardowa-

ne przez neutrony; do każdego z nich przyłącza się kolejny neutron i powstaje pluton 240, który jest militarnie bezużyteczny. Kiedy po kilkunastu miesiącach uranowe paliwo jest wyjmowane z reaktora, plutonu 239 już nie ma.

Żeby zatem wylapać wojskowy pluton, trzeba zmodyfikować reaktor. Jak? Nie ma co wchodzić w techniczne szczegóły, dość powiedzieć, że taka modyfikacja znacznie przekraczała możliwości irackich naukowców z przełomu lat 70. i 80.

Reaktor kupiony od Francuzów, któremu nadano nazwę Osirak, nie był zmodyfikowany. Dlatego, jak twierdzi profesor fizyki nuklearnej z Harvardu Richard Wilson, w praktyce nie był zagrożeniem. Prof. Wilson był w Iraku jesienią 1981 roku – kilka miesięcy po izraelskim nalocie i na własne oczy oglądał ruiny reaktora. W wywiadzie dla „Guardiana” w 2012 roku ironizował: „Czekam, aż znajdzie się cho-

ciaż jeden naukowiec na świecie, który mi wyjaśni, jakim cudem ten reaktor miałby produkować wojskowy pluton”.

Oczywiście jeśli Irakijczycy marzyli o bombie, to eksperymenty z francuskim reaktorem – tak czy inaczej – były dla nich pożyteczne. Musieli się jeszcze dużo nauczyć. Żeby nadrobić zaległości, Saddam zatrudnił egipskiego naukowca Jahię al-Meszada, który przez sześć lat studiował fizykę jądrową w Moskwie. Pod koniec lat 70. stał się on mózgiem irackiego programu atomowego.

**SOJUSZ ISLAMISTÓW
I EKOLOGÓW**

Reaktor miał zostać dostarczony do Bagdadu wiosną 1979, ale niespodziewanie (albo spodziewanie?) piętrzyły się trudności, które to uniemożliwiły.

Najpierw francuscy inżynierowie, którzy pracowali w irackim projekcie, zaczęli dostawać dziwne telefony z pogróżkami – rzekomo od fanatycznych muzułmanów z Iranu, którzy grozili im śmiercią jeśli będą pracować dla bezbożnego, świeckiego rządu Iraku. Fanatycy przedstawiali się jako przedstawiciele Komitetu ds. Ochrony Islamskiej Rewolucji. To brzmiało bardzo groźnie, bo od 1978 roku w telewizjach na całym świecie pokazywano irańskich rewolucjonistów i srogiego ajatollaha Chomeiniego, który był ich duchowym przywódcą. Niektórzy z zastraszonych inżynierów zrezygnowali z pracy, szczególnie po tym, kiedy w domu jednego z nich wybuchła mała bomba.

Co ciekawe, nikt nigdy wcześniej ani później nie słyszał o Komitecie ds. Ochrony Islamskiej Rewolucji.

Przed planowanym załadowaniem elementów reaktora na statek w porcie w Tulonie przewieziono je do magazynu w pobliskim miasteczku La Seyne-sur-Mer. Tam w piątkową noc 6 kwietnia doszło do sabotażu. Jakies dwie atrakcyjne kobiety zagadały strażników magazynu, ich wspólnicy przecięli druty ogrodzenia, niepostrzeżenie dostali się do środka i zamontowali na kontenerach z reaktorem bomby zegarowe. Kiedy wybuchły, poważnie uszkodziły ładunek. Do akcji przyznała się Francuska Grupa Ekologiczna, o której nikt nigdy wcześniej ani później nie słyszał. Jej członkowie przedstawiali się jako przeciwnicy odpadów radioaktywnych, które generują reaktory jądrowe.

Jak łatwo się domyślić, rzekomi ekologzy i islamiści to byli w rzeczywistości przebierańcy z Mossadu. 40 lat później potwierdził to izraelski fizyk nuklearny Micky Ron, który tak pisał w swoich wspomnieniach: „Mossad konsultował się ze mną przed akcją we Francji, ponieważ nadzorowałem podobny izraelski reaktor w Dimonie. Chciałem jechać z nimi do Tulonu, żeby pokazać, gdzie najlepiej podłożyć bomby, ale odmówili. Dlatego kiepsko je podłożyli i Francuzi dość szybko naprawili zniszczenia”.

AMPUTACJA MÓZGU I INNE OPERACJE

W czerwcu 1980 roku prof. al-Meszaad mózg irackiego programu atomowego poleciał do Paryża, żeby osobiście sprawdzić jakość paliwa nuklearnego, które zgodnie z kontraktem przygotowali Francuzi. Pokojówka z hotelu Le Meridien, gdzie się zatrzymał, znalazła go któregoś ranka zmasakrowanego, z licznymi śladami ran zadanych nożem. W toku śledztwa policja ustaliła, że ostatnią osobą, która widziała profesora żywego, była prostytutka, którą poprzedniej nocy zaprosił do hotelu. Była ona znana w okolicy pod pseudonimem Marie Express, który trafnie oddawał charakter jej pracy.

Policjanci ją odnaleźli, ale popełnili błąd, który świetnie znany jest wszystkim widzom filmów kryminalnych. Zamiast przesłuchać Marie Express od razu, odesłano ją do domu i wezwano na komendę tydzień później. Jak łatwo się domyślić, nie dożyła do dnia przesłuchania. Zginęła w wypadku samochodowym.

To nie koniec pechowej serii. W ciągu kilku następnych tygodni dwóch kolejnych irackich fizyków jądrowych podróżujących po Europie niespodziewanie zmarło – sekcje zwłok w obu przypadkach wykazały truciznę.

Do dziś nie wiadomo kto zabił profesora al-Meszada, towarzyszkę jego ostatniej nocy i dwóch jego kolegów. Ale każdy, kto choćby pobieżnie śledzi wydarzenia na Bliskim Wschodzie, bez trudu odgadnie nazwę kraju, dla którego pracowali zabójcy.

Mimo wszystkich przeciwności budowa reaktora pod Bagdadem została we wrześniu 1980 roku ukończona. Irytowało to nie tylko Izraelczyków, ale również Irańczy-



• **Iraccy naukowcy podczas prac przy reaktorze jądrowym, który w latach 60. kupili od Związku Radzieckiego**

FOT. GAMMA-KEYSTONE VIA GETTY IMAGES

“

**Lecąc nad Jordanią,
izraelscy piloci
udawali Saudyjczyków,
którzy zboczyli z kursu,
a nad Arabią Saudyjską
– jordańskich**

ków, którzy od kilku miesięcy byli w stanie wojny z Irakiem.

30 września eskadra irańskich myśliwców F-4 wykonał następujący manewr: kilka poleciało nad Irakiem bardzo wysoko, żeby zobaczyły ich radary, ale jednocześnie dwa poleciały bardzo nisko nad ziemią do ośrodka atomowego Tuwaitha. Tam zrzucały bomby na wszystkie budynki poza kopułą reaktora, bo Irańczycy obawiali się, że paliwo nuklearne już zostało załadowane. Z tego powodu irański nalot nie był zbyt skuteczny. Najgorsze było to, że wystraszyli się pracujący przy reaktorze Francuzi, którzy w ogóle uciekli wtedy z Iraku. Ale w lutym 1981 roku francuscy inżynierowie wrócili, żeby nadzorować odbudowę zniszczeń.

PAKT Z DIABŁEM

Izraelski premier Menachem Begin wiedział, że jeśli chce dokończyć dzieło zniszczenia, które rozpoczęli Irańczycy, to nie ma chwili do stracenia. Po załadowaniu paliwa nuklearnego bombardowania wywołałyby skażenie promieniotwórcze w Bagdadzie, czyli pięćmilionowym mieście odległym o zaledwie kilkanaście kilometrów.

Początkowo planowano akcję komandosów, którzy mieli zostać zrzućci gdzieś w okolicy, przebić się do reaktora, osobiście zdetonować bomby i odlecieć w glorii zwycięzców. Ten hollywoodzki scenariusz został jednak uznany za zbyt ryzykowny. Premier Begin zdecydował się na nalot, ale był jeden problem – izraelscy piloci potrzebowali dokładnych zdjęć celu. W 1981 roku fotografie satelitarne nie były tak dokładne jak dzisiaj. Izraelczycy nie mogli sami wysłać samolotu zwiadowczego pod Bagdad, bo gdyby został zauważony przez radary, to

stałoby się oczywiste, że planują zbombardować reaktor.

Z pomocą przyszli... Irańczycy. Tak, to nie pomyłka! Nowo utworzona Islamska Republika Iranu przemogła swoje obrzydzenie do Małego Szatana, jak w Teheranie nazywany jest Izrael – w odróżnieniu od Wielkiego Szatana, czyli Ameryki – i zawarła z nim chwilowy sojusz, żeby pokonać wspólnego wroga. Irańczycy wysłali nad Tuwaithę zwiadowczy myśliwiec F-4, który zrobił zdjęcia. Irański samolot pod Bagdadem nie wywołał podejrzeń, bo oba kraje były w stanie wojny. Następnie zdjęcia przekazano je Izraelczykom, którzy rozpoczęli próbę generalną przez „Operą” – taki kryptonim otrzymała planowana operacja.

Tak się szczęśliwie złożyło, że wtedy właśnie Izrael otrzymał od Ameryki pierwsze, jeszcze pachnące nowością myśliwce F-16. Wtedy były one absolutnym szczytem techniki wojskowej. Ta pierwsza partia była przeznaczona pierwotnie dla Iranu, ale po rewolucji, która obaliła proamerykańskiego szacha, dostawę oczywiście wstrzymano.

GODZINA ZERO

W grupie uderzeniowej, która 7 czerwca o godzinie 15.55 wystartowała z bazy Etzion na półwyspie Synaj (wtedy jeszcze okupowanym przez Izrael), było osiem myśliwców F-16. Nad Morzem Czerwonym dość pechowo przeleciały nad jachtem króla Jordanii Husajna, który widząc kierunek lotu i podwieszane wielkie tonowe bomby domyślił się, gdzie zmierzają izraelskie samoloty. Zaraz zadzwonił do ministerstwa w Ammanie, żeby zaalarmowali Irakijczyków, ale połączenie się urwało i ostrzeżenie nie zostało przekazane.

Lecąc nad Jordanią, izraelscy piloci udawali Saudyjczyków, którzy zboczyli z kursu, a nad Arabią Saudyjską – jordańskich. Nad pustynią zrzućili dodatkowe zbiorniki z paliwem, które mieli prowizorycznie przyczepione do maszyn. W Iraku lecieli na wysokości 30 metrów nad ziemią, ale przed celem wzbili się na 2000 m i pikowali jeden po drugim. Każdy zrzućił dwie tonowe bomby, przynajmniej osiem z nich uderzyło w kopułę reaktora lub sam reaktor. Wszyscy bezpiecznie i bez przygód wrócili do bazy. Najmłodszy z ósemki pilotów, 26-letni Ilan Ramon, dwie dekady później poleciał w kosmos na pokładzie Columbi i razem z całą ośmioosobową załogą zginął podczas lądowania, kiedy termiczna powłoka wahadłowca nie wytrzymała wejścia w atmosferę.

Dwa dni po nalocie na konferencji prasowej w Tel Awiwie premier Begin mówił: „Zaatakowaliśmy teraz, bo później byłoby za późno. Gdybyśmy beczynni czekali z założonymi rękami, za dwa, trzy może cztery lata Saddam Husajn wyprodukowałby trzy, cztery, pięć bomb... I wtedy Żydom groziłby kolejny Holocaust. Nigdy więcej!

Nigdy nie pozwolimy, żeby nasi wrogowie zdobyli broń masowego rażenia! Ten atak będzie precedensem i drogowskazem dla wszystkich następnych rządów Izraela. Każdy następny premier Izraela w podobnych okolicznościach zrobi to samo, co właśnie zrobiliśmy”.

Świat nie podzielał moralnego wzmocnienia Begina. Wręcz przeciwnie, wybuchło powszechne oburzenie, wszak Izrael zaatakował instalacje nuklearne w kraju, który przestrzegał traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, oficjalnie i legalnie kupił we Francji reaktor oraz paliwo jądrowe i poddawał się wymaganym w trakcie inspekcjom ONZ. 19 czerwca 1981 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ jednogłośnie (sic!) przyjęła rezolucję nr 487, potępiającą Izrael, potwierdzającą prawo Iraku do pokojowego programu atomowego i wzywającą rząd w Tel Awiwie, żeby wypuścił inspektorów ONZ do swoich obiektów atomowych. Za rezolucją głosowały nawet Stany Zjednoczone! Prezydent Ronald Reagan zdenerwował się do tego stopnia, że na dwa miesiące wstrzymał kolejną dostawę myśliwców F-16 do Izraela.

ZRÓBMY SOBIE BOMBĘ!

Do dzisiaj dość powszechna jest opinia, że nalot z 1981 roku uratował Izrael (i świat) przed bombą atomową Saddama. Ale wiele wskazuje, że było dokładnie odwrotnie: nalot znacznie zwiększył ryzyko, że bomba powstanie.

Zapoczątkowany w latach 70. jawny, nadzorowany przez ONZ, iracki program atomowy, którego cele nigdy nie były jasne nawet dla uczestniczących w nim naukowców, po izraelskim nalocie na reaktor Osirak zamienił się w tajny program, którego jednoznacznym celem było stworzenie bomby atomowej. To, że ostatecznie nie została stworzona, wynika z dwóch przyczyn: po pierwsze, z awanturnictwa Saddama, który atakując Kuwejt, wpłatał się w katastrofalny konflikt z Ameryką, a po drugie, z nieudolności ludzi, którym zlecił zbudowanie bomby.

Takie wnioski nasuwają się po wysłuchaniu relacji irackich naukowców. Swoją wersję wydarzeń przedstawili m.in. z Jafar Dhiya Jafar, kierownik naukowy irackiego programu atomowego w latach 80., Mahdi Obeidi, kierownik zespołu ds. wzbogacania uranu oraz Imad Khadduri, który odpowiadał za zdobywanie materiałów niezbędnych do wdrażania programu. Po amerykańskiej inwazji na Irak wszyscy oni opowiadali, że w 1981 roku – już kilka tygodni po nalocie! – Saddam zlecił im zbudowanie bomby. Ale nie plutonowej, której obawiali się Izraelczycy, tylko uranowej. Bo taką Irak mógł – jak się wtedy wydawało – stworzyć własnymi siłami.

Pieniądzy na ten cel nie brakowało pomimo trwającej niemal przez całe lata 80. wyniszczającej wojny z Iranem. Ale tajny program był prowadzony wyjątkowo nieudolnie.

Początkowo przez kilka lat skupiano się na wzbogacaniu uranu metodami podobnymi do tych, które stosowano pół wieku wcześniej w Projekcie Manhattan. Dopiero pod koniec lat 80. iraccy naukowcy zmienili strategię i postanowili opanować nowoczesną technologię wirówek. Obawiając się gniewu Saddama, oszukiwali go, że są znacznie bliżej bomby niż byli w rzeczywistości. Efekt był taki, że po zajęciu Kuwejtu w sierpniu 1990 r. Saddam zażądał do nich pierwszej bomby w ciągu sześciu miesięcy. Mieli szczęście, bo niedługo przed nierealnym deadline’em, czyli w styczniu 1991 r., Amerykanie wypędzili irackie wojska z Kuwejtu i rozpoczęli bombardowania Iraku – w tym ośrodka atomowego Tuwaitha. A po wojnie Irak został ukarany sankcjami – nie mógł sprzedawać ropy, tylko mógł ją wymieniać na żywność – i stał się krajem skrajnie biednym i zrujnowanym. Na bombę nie było już pieniędzy. ●

CZŁOWIEK

kalejdoskop

Alex Weissberg nie został ani skazany, ani zabity. Wkrótce po pakcie Ribbentrop-Mołotow Stalin przekazał go w prezencie III Rzeszy.

Marian Sworzeń

Tytuł książki „Wielka karuzela” jest zapowiedzią nieustającej mnogości epizodów – przyspieszeń, zwolnień, zawirowań, czasem tylko kadrów – z życia Aleksandra Weissberga-Cybulskiego. Ale nie tylko. Jest w nim nawiązanie do jego życiowego dzieła, które zachowało ważność po dziś dzień, otwierając rząd klasyki opisów stalinizmu. Mowa o „Wielkiej czystce” wydanej jeszcze za życia Stalina. Domknięcie zbioru – „Archipelag GUŁag” Solżenicyna – miało nastąpić dopiero za 20 lat.

Przed nami obszerna biografia bohatera. Podzielona jest na cztery części: „Kraków, Wiedeń, Berlin”, „W ZSRR – od utopii do koszmaru”, „Wojna”, „Po wojnie”.

Do tego dochodzi niezwykła mnogość źródeł, przypisów, relacji z rozmów, odesłań do archiwów, także wątków pobocznych – sam indeks osobowy zawiera blisko tysiąc nazwisk.

Rozpocznijmy zatem drogę przez przeszłość prowadzeni słowami autorki: „Weissberg, czyli Alex, bo tak go będę często nazywać, urodził się w habsburskim wte dy Krakowie, wychował w Wiedniu, pracował w Berlinie i Charkowie, z dziewięciu przebytych tam lat trzy spędził w więzieniach. Potem został rzucony pod okupację w Polsce. Tak przebiegły 44 lata jego życia.

Powojennych 19 przemieszczał w wielu europejskich miastach, umarł i został pochowany pod Paryżem. Ciągłe niezadomowiony, przed śmiercią planował powrót do Wiednia”.

Jeden z krewnych nazwał go człowiekiem kalejdoskopem. Tytuł książki temu nie przeczy. Wszak kalejdoskop to nie tylko wielka karuzela obrazów, ale także urządzenie przystosowane do oczu pojedynczego widza. Jakże bliski jest mu czytelnik wpatrzony w karty książki...

Tak się złożyło, że symbolicznym zespoleniem obrotu życiowych spraw naszego bohatera jest wydanie omawianej książki właśnie w Krakowie. Wszak jego dom rodzinny przy ulicy Mostowej i siedziba wydawnictwa Znak leżą niedaleko od siebie. Oddziela je Wisła, ale łączy metafizyczna kładka ze słowami wiersza Eliota: „W moim początku jest mój kres”. Wejdzmy na nią i rozpocznijmy lekturę.

ŚCISŁOWIEC KOMUNISTA

Aleksander Weissberg urodził się w 1901 roku w zamożnej rodzinie żydowskiej. Rodzice, Samuel i Mariam z Blanksteinów, pochodzili z rodziny kupieckich. W roku 1907 rodzina przeniosła się do Wiednia, gdzie Aleksander wraz ze starszym bratem

Jakobem pobierał naukę gimnazjalną. Zdanie otwierające rozdział „Młody socjalista”: „W szkole poza nauką Alex interesował się polityką”, wprowadza nas w obszary idei, która zaważadnęła wtedy naszym bohaterem. Konsekwencją tego było przystąpienie do partii socjaldemokratycznej podczas studiów matematyczno-fizycznych na Uniwersytecie Wiedeńskim. Z uczelni tej przeniósł się do stołecznej Wyższej Szkoły Technicznej – naukę zakończył dyplomem z fizyki technicznej: „Był wtedy jedną z pierwszych dziesięciu osób w całej Austrii, które ukończyły studia w tym przedmiocie”.

Miał już wtedy za sobą doświadczenie polityczne jako uczestnik demonstracji z 15 lipca 1927 roku zakończonej spalaniem Ministerstwa Sprawiedliwości – literacki zapis dramatycznego przebiegu tego wydarzenia zawiera „Pochodnia w uchu” – dzieło innego „ścisłowca”, wówczas studenta chemii, Eliasa Canettiego. W tamtym czasie był już w szeregach komunistów, do których przyłączył się 1 maja 1927 roku. Dwa lata później wyjechał do Berlina. Pracował tam jako asystent na uczelni technicznej w Charlottenburgu, a potem zajmował się inżynierską obsługą zagranicznych zamówień składanych w niemieckich fabrykach. Wtedy też ożenił się z Evą Striker, projektantką nowoczesnej ceramiki, i zaprzyjaźnił z Arthurem Koestlerem. Autor „Ciemności w południe” wspominał po latach, że Alex, przekonując go do marksizmu, zrobił z niego „dialektyczną siekankę”.

W podsumowaniu tamtego pobytu Weissberga czytamy: „Oddawał się hazardowi (o czym mało wiadomo), prowadził życie towarzyskie, zajmował się szpiegostwem przemysłowym i działalnością partyjną. Ze szpiegostwa wyniknęły poważne kłopoty i musiał szybko opuścić Niemcy”. Książka szczegółowo relacjonuje kwestie jego przenosin z kompartii austriackiej do niemieckiej, obu i tak podległych Kominternowi z siedzibą w Moskwie.

UMIERAJĄ TYLKO KUŁACY...

Wiosną 1931 roku Weissberg przyjechał do Sowie tów. Wszystko było przygotowane, partia i bezpieka – powiadomione, wyznaczonym miejscem jego działalności miał być zaś Ukraiński Instytut Fizyko-Chemiczny w Charkowie. Znamy to miasto. Od kilku lat jest obiektem rosyjskich bombardowań. Blisko niego odnaleziono masowe groby polskich oficerów zabitych przez NKWD w 1940 roku. Jest też obecne w innych epizodach naszej historii – w połowie XIX wieku profesorem tamtejszego uniwersytetu był brat wieszcz, Aleksander Mickiewicz, Romuald Traugutt zaś, nim został

dyktatorem powstania styczniowego, był oficerem charkowskiego garnizonu.

Weissberg pełnił w instytucie odpowiedzialne funkcje kierowniczo-organizacyjne. Nieraz musiał jeździć do partyjnych szefów przemysłu w Moskwie. Bywało też, że podróżował służbowo po okolicy. Wiemy, że to czas umierania Ukrainy, której Charków był wtedy formalną stolicą.

Zachodni dziennikarz, świadek Holodomoru Garreth Jones, notabene bohater filmu Agnieszki Holland „Obywatel Jones”, odbył wówczas sekretnie pieszą wędrówkę przez wymarłe wioski, zakończoną dotarciem do Charkowa. Jego zapiski z marca 1933 roku pokazują to, co Weissberg również musiał widzieć: kolejki za chlebem, jedzenie na przydziały, pełno mundurowej milicji, gromady obszarpanych bezprizornych dzieci. Do tego – wieżowce na wzór Ameryki i wielka fabryka traktorów na potrzeby kolchozów. Jakże ocenić na tym tle ówczesną wspólną konstatację Weissberga i goszczącego u niego Koestlera, wedle której „umierają tylko kułacy”? Głupota – to za mało, skoro istnieje przecież głupota zbrodnicza...

WSZYSTKO JEST W AKTACH

Od 1932 roku w ZSRR była też żona Weissberga. Pracując w swoim zawodzie, zamieszkiwała najpierw w Leningradzie, potem w Moskwie. W połowie 1936 roku została aresztowana. Postawiono jej zarzuty trockizmu, wrogiej propagandy i udziału w grupie planującej zabójstwo Stalina. Po szeregu przesłuchań i próbie samobójczej, po kolowrocie przyznawania i odwoływania, została w 1938 roku zwolniona i opuściła Sowiety.

W tym czasie Weissberg był już od roku w więzieniu. Podzielił jej drogę, acz jego przejścia były wielokrotnie trudniejsze. I do kładnie przezeń opisane.

Jeśli ktoś nie zna lub już nie pamięta „Wielkiej czystki”, znajdzie jej precyzyjne przedstawienie w książce Ireny Grudzińskiej-Gross. Po lekturze będzie jego osobistą decyzją, czy sięgnie po raz pierwszy lub ponownie po dzieło Weissberga. Autorka przeczytała tę książkę już jako młoda dziewczyna w Warszawie w 1967 roku, zaraz po ukazaniu się jej polskiego wydania. Moja lektura odbyła się później – na początku stanu wojennego, w Mikołowie. Jak widać, „Kultura” potrafiła dotrzeć z Paryża w najróżniejsze miejsca w Polsce.

Po wstępnych przesłuchaniach w siedzibie NKWD Weissberg został aresztowany. Miejscem jego uwięzienia stała się centralna tiumna Charkowa – Chołodnaja Gora. Każdy ze śledczych został opisany – jego wygląd, cechy i metody przesłuchania, zachowanie;



• Aleksander Weissberg-Cybulski na wakacjach w

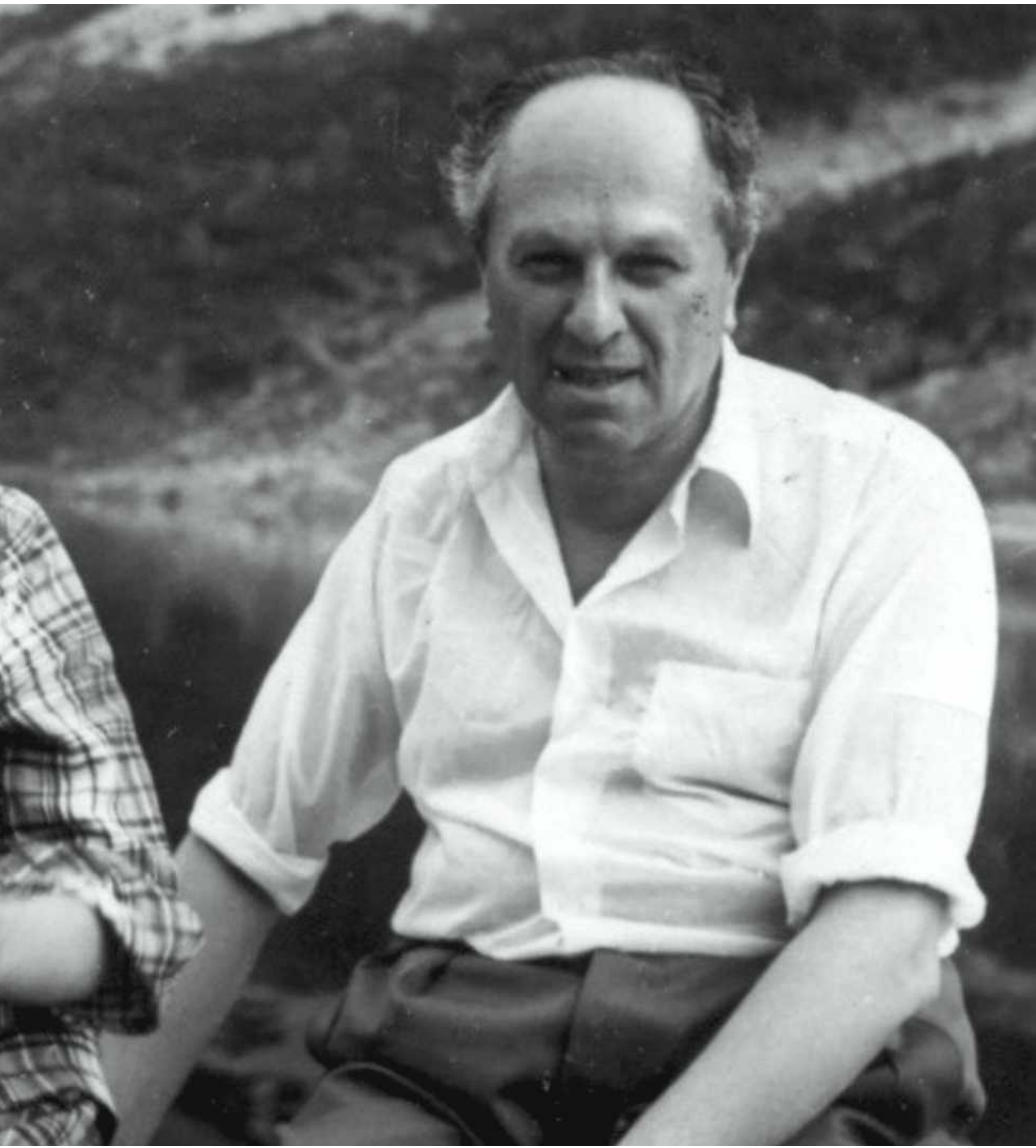
każdy ma imię, nazwisko, stopień. Opisany też został inkwizycyjny proceder, który miał jedyny cel – doprowadzenie do przyznania się, przy mnogości środków, zależnych od wielu czynników: stopnia zastraszenia, wieku, wykształcenia, stanu rodzinnego, usposobienia, czasu przetrzymywania.

W zakresie metod nie było ograniczeń – od zwykłego bicia przez trzymanie w ciemnicy o głodzie po wymyślne tortury. Był też konwejer – długotrwałe, nieraz wielodniowe, przesłuchiwanie przez zmieniających się śledczych. Weissberg ukazał też formalny aspekt tych badań – wszystko musiało być zaprotokolowane.

Jak czytamy w „Wielkiej czystce”, akta dwuletniej sprawy autora liczyły 800 stron – przed zamknięciem śledztwa, przez osiem godzin udało mu się przedrzeć przez jedną piątą materiału. Znaczącą częścią protokołów były obciążające zeznania innych osób pozyskane w podobny, często okrutny sposób. Czasami – bywało – dotyczyły zwykłych sytuacji, którym dorobiono przestępczy kontekst. Przykład: Weissberg, wjeżdżając bez grosza do ZSRR w 1931 roku, na wezwanie konduktora o zapłatę za pościel w sli-pingu, poprosił współpasażera o pożyczenie kilku rubli. Otrzymawszy pieniądze, zapisał jego adres celem późniejszego oddania. Po latach tenże człowiek – już jako współwięzień – opisał szczegółowo, jak to Weissberg już w przedziale agitował go do kontrrewolucyjnej szajki. W protokole wszystko się zgadzało – data, pociąg, granica polska, stacja Sze pietowka, kwota: pięć rubli...

PODARUNEK DLA HITLERA

„Wielka czystka” jest do dzisiaj wielkim oskarżeniem stalinizmu. I jego opisaniem. Weissberg jest jednym z jej bohaterów. Znał dobrze własną sprawę, ale wysłuchał i zapisał setki historii innych ludzi. Były one nieraz uderzająco podobne, ale czasem niewiarygodne. Vide sekta „Bożych rabów” nieuznających posiadania nazwiska, jako że i Bóg go nie miał, nawet NKWD była wobec nich bezradna, tak samo jak carat wobec starowierów. Jakże odmienna jest „Ciemność w południe”... Jej autor nie doświadczył na sobie metod sowieckiej



Austrii z Jean Richards, piesek Zofii Cybulskiej FOT. ZBIORY EVY ZEISEL

rzuceniu się „w szaleńcze zarabianie pieniędzy, z pewnością bardzo ryzykowne”.

Jesienią tegoż roku był już w Warszawie, gdzie starał się o uwolnienie kobiety, z którą wcześniej związał się w Krakowie. Osobą, u której zamieszkał, była Zofia Cybulska – używał jej nazwiska, a po ślubie z nią – już po wojnie, po jej rozwodzie – dołączył je do swojego. Każda z okupacyjnych sytuacji, od finansowych poprzez mieszkaniowe, od prywatnych po uczuciowe, od towarzyskich po dramatyczne, opisana jest szczegółowo, zawsze z odnośnikami w przypisach.

Są tam też zdania zaskakujące. Na przykład o krociowych zarobkach Weissberga wyliczonych przez niego samego na 200 tysięcy dolarów, a odpowiadających dzisiejszym trzem milionom dolarów. Nie można tego czytać bez niedowierzania. Również wtedy, gdy Weissberg pisze: „Wszystkie te pieniądze zostały wydane przez następne trzy lata na pomoc dla towarzyszy i przyjaciół, na wykup więźniów, organizację dokumentów, mieszkań, broni itd.”.

Podczas powstania warszawskiego był w stolicy. W walkach zbrojnych nie brał udziału. Pisząc: „Brałem w nim udział od pierwszego dnia aż do kapitulacji”, nie skłamał, gdyż uczestniczył w zbiorowym dramacie ludności cywilnej Warszawy. Udało mu się przedostanie się razem z żoną ze Śródmieścia do Powiśla. Po opuszczeniu miasta zamieszkali krótko w podwarszawskich Włochach. Tam dotrwali do wkroczenia Rosjan.

PISARZ NIE POTRAFI MILCZEĆ

Po wojnie zamieszkali w Krakowie. Oto cytat otwierający ostatnią część książki: „Alex założył firmę i rozwijał nielegalne handlowe działania. Przyjął polskie obywatelstwo

Wiadomo, że to Koestler nalegał na Weissberga, by napisał książkę o sowieckich przeżyciach. Z drugiej strony trzeba przyjąć, że – gdyby nie wewnętrzne przekonanie Alexa i jego umiejętności – nigdy by do tego nie doszło. Znalazłem swoiste potwierdzenie tej tezy. Otóż w maju 1931 roku, gdy Weissberg był już w Sowietach od kilku tygodni, Michaił Bulhakow zapisał w dzienniku: „Nie ma pisarza, który potrafiłby milczeć”. I tak też się stało.

Weissberg milczeć nie potrafił. Napisał po niemiecku „Hexensabbat”, znany z późniejszego polskiego przekładu jako „Wielka czystka”. Dzieło wciąż żyje, dzień i noc czeka na czytelnika na portalach „Kultury” i Biblioteki Narodowej.

Jest jeszcze inna książka Weissberga, o której polska społeczność czytelnicza – ze mną włącznie – dowiaduje się po raz pierwszy.

Irena Grudzińska-Gross tak relacjonuje okoliczności powstania „Desperackiej misji” – w 1956 roku Weissberg wysłuchał w Paryżu, a potem spisał opowieść Joela Branda, który w maju 1944 roku brał udział w negocjacjach z Niemcami. Szło o uwolnienie setek tysięcy Żydów węgierskich od Zagłady w zamian za tysiące ciężarówek. Naziści mieli wstrzymać wywózki, alianci – przekazać sprzęt, wysłannicy już ruszyli do Turcji... Szczegóły w rozdziale „Druga książka: Eichmann w Budapeszcie”. Tamże wzmianka, że Eichmann podczas ukrywania się w Argentynie przeczytał „Desperacką misję”. Był niezadowolony, gdyż godziła w jego zamiar wymordowania wszystkich Żydów w Europie.

ILE ZA W MAISONS-LAFITTE

W latach 50. Weissberg z racji zaangażowania w prace Kongresu Kultury poznał ludzi z kręgu polskiej emigracji. Dowiadujemy się o jego znajomości z Miłoszem, Herlingiem-Grudzińskim, Czapskim, Hertzem, Jeleńskim i Giedroyciem. Mamy też dowód tej przyjaznej bliskości – solidny, murowany, stoi po dziś dzień. Otóż dzięki zaangażowaniu Weissberga udało się kupić siedzibę, której nazwa i adres, poczynając od 1954 roku, figurowały na każdej publikacji „Kultury”. Na czym jego wkład polegał? Pomijając enigmatyczne szczegóły, spójrzmy na wymierny efekt: „Otóż Weissberg przysłał pracowników swojej firmy budowlanej, by zbili cenę domu w Maisons-Lafitte do połowy. Bez tego zakup domu byłby niemożliwy”. Mam przed sobą ostatni numer „Kultury” z października 2000 roku. Sprawdzam – adres się zgadza.

Alexander Weissberg-Cybulski zmarł w 1964 roku. W kwietniu – nazwanym w „Ziemi jałowej” Eliota, w rozdziale „Grzebanie umarłych”, „najokrutniejszym” z miesięcy. Spoczął na cmentarzu pod Paryżem po nabożeństwie w polskim kościele przy ulicy Saint-Honoré. Trzy lata później ukazało się polskie wydanie jego książki.

Sześćdziesiąt jeden lat po jego zgonie dane jest nam poznanie wszystkich bez wyjątku – pięknych i bolesnych, jasnych i ciemnych, jednoznacznie dobrych i wieloznacznie odmiennych – chwil jego życia. Czas przyłożyć oko do kalejdoskopu! ●

Marian Sworzeń

- (1954), prawnik, pisarz, członek PEN Clubu – autor książek „Dezyderata. Dzieje utworu, który stał się legendą”, „Opis krainy Gog”, „Czarna ikona – Biełomor. Kanał Białomorski. Dzieje. Ludzie. Słowa”.



Wielka karuzela. Życie Aleksandra Weissberga-Cybulskiego

Irena Grudzińska-Gross
Wydawnictwo Znak 2025

Jakże ocenić na tym tle ówczesną wspólną konstatację Weissberga i goszczącego u niego Koestlera, wedle której „umierają tylko kułacy”? Głupota – to za mało, skoro istnieje przecież głupota zbrodnicza...

bezpieki, dla Koestlera najważniejszy był sam bohater, Rubaszow...

I jeszcze jedno. Weissberg we wstępie swojej książki nazwał wszystkie ofiary stalinizmu niewinnymi; ostatnie jej zdanie brzmiało: „Głęboko pod ciężką powłoką żarzy się tęsknota za wolnością”.

Podkreślam to, bo zdarza się nam usłyszeć, że wszystko zaczęło się od tajnego referatu Chruszczowa w 1956 roku, że wtedy przyszło partyjne otrzeźwienie i polski Październik, etc.

Weissberg nie został ani skazany, ani zabity. Kilka miesięcy po pakcie Ribbentrop-Mołotow dołączono go do grupy osób przekazanych III Rzeszy w ramach – jak czytamy – „gestów praktycznych”. Jeden z nich polegał na oddaniu gestapo ponad trzystu „byłych więźniów NKWD, w tym Żydów i komunistów, którzy szukali schronienia w ZSRR”. Autorka podkreśla, że wobec braku niemieckiej wzajemności owa „ekstradycja była podarunkiem Stalina dla nowego sojusznika”.

Przed deportacją więźniowie zostali umieszczeni w moskiewskich więzieniach, gdzie ich podkarmiono i zaopatrzone w porządną odzież. Weissbergowi przypadł „bardzo ładny płaszcz zimowy” z metką szwedzkiego krawca. Szło najpewniej o po-

kazanie, że sojusznicze państwo – obdarzone świeżym zaufaniem Führera – dobrze traktuje uwięzionych. Paradoks polegał na tym, że III Rzesza już od lat miała obozy w Dachau i Buchenwaldzie, wobec tego gestapowcy nie byłiby zdziwieni fatalnym stanem przybyszy ze Wschodu.

200 TYSIĘCY DOLARÓW

Od 1 stycznia 1940 roku Weissberg przebywał już na terenie Generalnej Guberni. Najpierw trzymano go w lubelskim więzieniu, potem zwolniono z nakazem udania się do Krakowa. Tam kilkakrotnie zmieniał mieszkania. Nie dostał pozwolenia na przeniesienie się do Wiednia, nie otrzymał też wizy do żadnego z krajów południowej Ameryki. Udało mu się natomiast przyłączyć do lukratywnego przedsięwzięcia przemysłowego wyrobu szczotek i papy.

W marcu 1941 roku Weissberg „uciekł z getta i prawdopodobnie przebywał w gettach w Bochni i Tarnowie zajęty frenetycznym zarabianiem pieniędzy”. Przymiotnik „frenetyczny” nie został użyty przypadkowo – autorka pisze o Weissbergowym

i zmienił nazwisko na Cybulski – dało mu to paszport. Podróżował. Zarabiał. Fizyk i inżynier wrócił do kupiectwa”.

Powstała firma nazywała się Hanzag spółka z o.o. – jej formalnym właścicielem była Zofia, prokurentem – on. Przedmiotem importu był korek kupowany głównie w Szwecji. Firma miała potężne obroty, pewnych dostawców i płatników. Także – urzędowych tropicieli. Ostatecznie doszło do jej rozwiązania, zajęcia majątku, sprawy sądowej i ukarania niektórych osób powiązanych interesami ze spółką.

Alex i Zofia byli wtedy za granicą – do kraju nie wrócili już nigdy. Doszła do tego dziwaczna, choć ostatecznie niezrealizowana transakcja z ich współudziałem, polegająca na dostawie silników samolotowych do Hiszpanii. Poniemieckie motory do junkersów były polską zdobyczą, ale ich odbiorcą miało być lotnictwo generała Franco. Kontekst polityczny kontraktu, jego wielka wartość oraz finalne zablokowanie na wysokim szczeblu dyplomatycznym spaliły możliwość powrotu. Sprawa ta – opisana w książce niezwykle dokładnie – obrazuje ekonomiczne zawiłości dziejące się ponad głowami zwykłych obywateli w powojennej Polsce.



Groźny władca tajemniczej wyspy zaprasza do siebie najlepszych na świecie wojowników, by ci zmagali się ze sobą w szlachetnej rywalizacji. Oczywiście nagroda dla zwycięzcy warta jest wysiłku, poza tym triumfatora czeka sława no i uwielbienie „branży” – władca wyspy, który sam jest doskonałym fighterem, prowadzi bowiem na niej szkołę dla adeptów walki.

No dobrze, to nie do końca tak. Znaczący się, owszem, jest i wyspa, i turniej, i szkoła i groźny władca biegły w sztukach walki. Ale tak naprawdę ów władca, niejaki Han, to arcyłotr, okrutnik i złoczyńca, który trudni się handlem narkotykami i ludźmi oraz sutenerstwem, a turniej ma tak naprawdę pomóc mu wyłonić czempiona, który wspomógł go w zbrodniczym dziele.

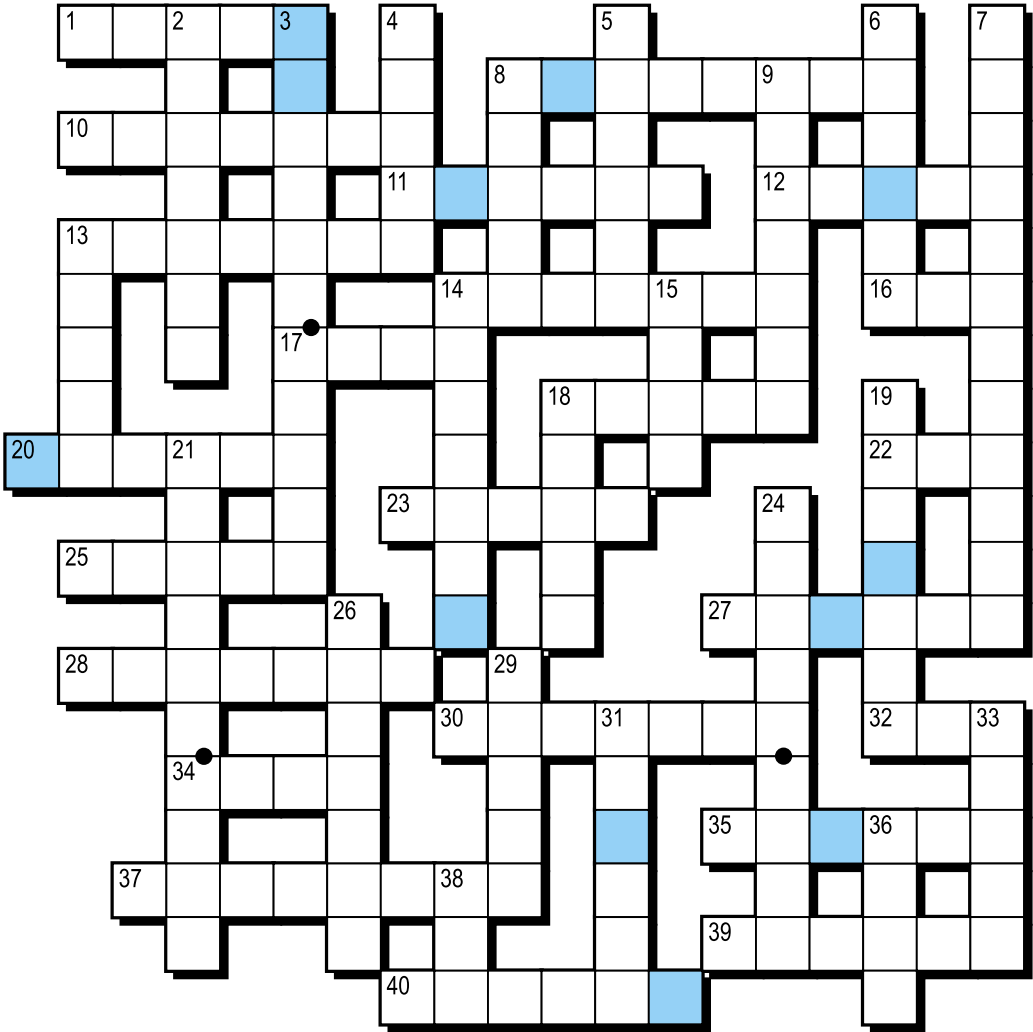
22 czerwca 1973 roku w Hong Kong premierę miało „Wejście smoka” – bo to o nim rzecz jasna od początku jest mowa. Bruce Lee, wynajęty przez brytyjski wywiad, przybywa na wyspę, by pod przykrywką uczestnictwa w turnieju dobrać się do skóry Hano i położyć kres jego działalności.

Film jest bez dwóch zdań najsławniejszym tytułem z katalogu kina kopanego, po którym zapełniały się szkoły karate i wszelkich innych sztuk walki na całym świecie. Zresztą, przy promocji - wzorcowej! - skrzętnie wykorzystano ten element, oferując darmowe lekcje „na zachętę”.

„Wejście smoka” to dzieło kapitalne, w czym spora zasługa całego zastępu prawdziwych gwiazd gatunku, z reguły będących także mistrzami sztuk walki. Kogóż tam nie ma? Rzecz jasna sam „Smok”, czyli wielki Bruce Lee, a obok niego John Saxon (Roper), Jim Kelly (Williams – uśmiercony na ekranie nota bene za sprawą filmowego przyjaciela, bowiem Saxon zgodził się zagrać tylko pod warunkiem zmiany w scenariuszu), Bob Wall (O'Hara), Bolo Yeung (Bolo), którzy swą obecnością uświęca każdy film karate. Było ich tak wielu, że w epizodycznych, niewymienionych nawet w napisach rólkach przemknęli Roy Chiao – jako przełożony w klasztorze Shaolin czy 19-letni wówczas Jackie Chan, który zagrał jednego ze zbiorów Hana. I którego Bruce Lee potraktował dość brutalnie.

Sam wielki mistrz nie doczekał niestety gigantycznego triumfu swego dzieła. Bruce Lee zmarł na sześć dni przed premierą „Wejścia smoka”. Teorii spiskowych było mnóstwo, łącznie z taką, że zginął za zdradę sekretów Shaolin. Oficjalną przyczyną śmierci Smoka były jednak obrzęk mózgu oraz zatory w płucach.

Wspominamy dziś wielkiego mistrza i zapraszamy do „Weekendówki” o smokach, w której Bruce Lee zajmie poczesne miejsce. **Andrzej Kulasek,** andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 163 z 19.07:

Poziomo: 6) borsalino
7) czepek 8) rogatywki
10) kapelusze 11) jarmułka
12) kepi 14) kornet 15) Ararat
18) modystki 22) panama
23) welony 25) khaki
26) zakonnice 28) tiara
30) kaszkiety 32) baranica
34) kokarda 35) natęczka
36) Napoleon.

Pionowo: 1) frygijka
2) kaptur 3) posiłki 4) berecik
5) perukarnia 6) biret
7) czapeczka 9) wsuwanie
13) hełm 16) Rosja 17) baskijka
19) dokerka 20) kwiaty
21) sombrero 24) piuska
27) fedora 29) czaka 31) król
33) noc.

HASŁO: SZLAFMYCA

SMOKI
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) smok z komiksów o Kajku i Kokoszu
8) startują w Smoczym Cross Maratonie
10) Bilbo, który rozmawiał sobie ze Smaugiem
11) sztuka walki bliska Bruce'owi Lee („Wejście smoka”)
12) Daenerys Targaryen, ... Smoków („Gra o tron”)
13) smoki, gorgony, lewiatany, harpie...
14) jeden z trzech smoków Daenerys
16) „... Smoka”, serial fantasy
17) „Smocze ...”, komiks Szarloty Pawel
18) film animowany, w którym Osiół zaprzyjaźnia się ze smoczącą

20) smok z „Niekończącej się opowieści”
22) niejeden w smoczej paszczy
23) ... Hesperyd, rosły w nim złote jabłka strzeżone przez smoka Ladona (mitologia grecka)
25) kraj, w którym smok jest popularnym symbolem
27) smok albo frankenstein
28) „... ze smoka”, zbiór opowiadań Stanisława Lema
30) „Gąbka i latające ...”, powieść Stanisława Pałaczkowskiego, w której występuje Smok Wawelski
32) ... Lee, reżyser filmu „Przyczajony tygrys, ukryty smok”
34) smocza ..., miękka żywica palmowa
35) rekwizyt niezbędny, by pokonać bazylijską
37) mały zielony smok z serialu animowanego
39) naczynie, w którym można posadzić dracenę – smoczą palmę

40) wielkie jaszczurki nazywane smokami z Komodo

Pionowo:
2) opowieści takie jak ta o krakowskim smoku
3) w heraldyce i sztuce zwykle przedstawiany na koniu jako pogromca smoka
4) niejedna na ciele smoka, uklei
5) dzięki i groźne stworzenia
6) smok z dawnego filmu animowanego
7) Smok na niebie
8) ... Trzy Kawkie, bohater opowiadania Andrzeja Sapkowskiego o polowaniu na smoka
9) smoczek w gwarze krakowskiej
13) „... profesora Gąbki”, druga część przygód Smoka Wawelskiego i jego przyjaciół
14) ... węgierski, smok z powieści „Harry Potter i Czara Ognia”
15) Smocze – w południowej części Afryki

18) smocza – pokryta łuskami
19) chłopiec z filmu animowanego „Jak wytresować smoka”, opiekun Szczerbatka
21) władca z legendy o smoku z wawelskiego grodu
24) w micie o Jazonie: skarb strzeżony przez smoka w Kolchidzie
26) legendarny bohater, zgładził smoka Grendela
29) europejski kraj z czerwonym smokiem w herbie
31) bohater powieści Christophera Paoliniego, wychował smoka o imieniu Saphira
33) dobre schronienie dla smoka
36) np. smoczy oddech w wykonaniu potykaçy ognia
38) ... komputerowa, np. Dragon Quest

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY

APLIKACJA WYBORCZEJ Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

